PAŹDZIERNIK 1930

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM IV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 10-36.

PAŹDZIERNIK 1930

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

162

TOM IV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 10-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 49-04.

TREŚĆ:

„RÓWNANIE KU GÓRZE".

Temat niniejszego artykułu należy właściwie do naszej Kroniki, umieszczanej na końcu tomu, a mającej za zadanie notować fakta polityczne i gospodarcze z całego świata, znamionujące zwrot pojęć i dążeń na prawo — od sprzeczności i wybujałości haseł demokratycznych do postulatów zdrowego, trzeźwego rozsądku. Fakta te mnożą się we wszystkich państwach drogą dyktatur, reform, skutków kryzysu gospodarczego, pociągnięć rządów i daleko sięgających zmian w nastawieniu opinji publicznej. Proces ten coraz jest widoczniejszy, coraz głębszy — ale nie dostrzegają go nieraz ci właśnie, którzy w pierwszym rzędzie powinni go zrozumieć, wzmocnić i wykorzystać.

Chcemy właśnie podnieść jeden z najwybitniejszych faktów tego rodzaju, który zaszedł w Polsce w drugiej połowie sierpnia b. r. Fakt ten posiada taką doniosłość dla dziejów bieżącego okresu, a — o ile kierunek ten konsekwentnie się utrzyma — także dla przyszłego rozwoju stosunków w państwie na daleką metę, a stanowi zarazem rozwiązanie tylu bieżących zagadek i oświetlenie tak jasnym projektorem ogólnych tendencji obecnych rządów, że zasługuje niewątpliwie na opublikowanie go na czele niniejszego tomu wydawnictwa celem tem większego zwrócenia nań uwagi czytelników. A fakt ten — prawdziwie przełomowy w dotychczasowej atmosferze stosunków wskrzeszonego państwa — złożył się właściwie z dwuch oficjalnych enuncjacji, które jednak, aczkolwiek rozdzielone odstępem kilkodniowym, wiążą się w jedną wyraźną, lapidarną całość.

Jak powszechnie wiadomo, myślą przewodnią i taktyką przewodnią demokracji wszelkich odcieni, od najbardziej umiarkowanych do wywrotowo-radykalnych, więc u nas

od narodowej czy chrześcijańskiej demokracji do płatnych przez Moskwę komunistów, było zawsze i jest — w najgłębszej istocie rzeczy — obniżenie i zniwelowanie wszelkiej wyższej kultury w państwie do poziomu najniższego proletarjatu. Mogą w tej ideologji i taktyce demokratycznej różne zachodzić stopnie czy kompromisy, ale ogólna zasada „równania społeczeństwa wdół", ze zniszczeniem wszelkich wyższych wartości moralnych i materjalnych, pozostaje zawsze ta sama, gdyż domaga się jej „sprawiedliwość demokratyczna". Stąd wynika w prostej konsekwencji zasada zawiści i walki klasowej, wyznawana i uprawiana przez wszystkie partje demokratyczne, aczkolwiek oczywiście z różnem natężeniem.

Wskrzeszona Polska hołdowała od pierwszej chwili tym właśnie zasadom, wywyższonym na piedestał zwłaszcza przez „zwycięską w wojnie światowej demokrację". Zdawało się do niedawna, że wszystko inne jest raczej możliwe, niż zejście rządów polskich z tej „oczywistej" i utartej na całym świecie platformy równości demokratycznej, równości, polegającej na niwelowaniu wdół najświatlejszego inteligenta z najciemniejszym proletarjuszem. Tembardziej zdawało się, że dawne historyczne tradycje różnych specjalnych walorów moralnych skazane są na zagładę i zapomnienie.

Wprawdzie pewne jednostki, grupujące się dzisiaj dokoła naszej Redakcji, twierdziły od kilku lat coś wprost przeciwnego: że demokracja, mimo pozornych jeszcze tryumfów, już się stanowczo własnymi absurdami zgrywa, że świat nietylko nie idzie już w kierunku doktryny Marksa, ale przeciwnie, rozpoczyna zwolna nawrót na prawo, w kierunku objektywizmu i zdrowego, zachowawczego rozsądku. Ale w powszechnym entuzjaźmie radosnej demokracji zakrzyczano nas i — jak to u nas zwykle bywa — potraktowano „z odcieniem lekkiej pogardy". Co zabawniejsze natomiast, że wielu gorących zwolenników rządów pomajowych nie zrozumiało wcale istoty polityki marszałka Pił-

sudskiego, w naiwnem mniemaniu, że Piłsudski, chcąc naprawić stosunki w państwie, może mieć na myśli oczywiście tylko takie lub inne poprawki w „urządzeniach demokratycznych“, ale nie tknie samych zasad bezkrytycznej równości i proletaryzacji społeczeństwa. Bo przecież dawni Peowiacy, wyrośli na tradycjach socjalistycznych, nie mogą hołdować innym zasadom, jak demokratycznym, nawet walcząc z sejmokracją, endecją i centrolewem! Stąd też nawet niektórzy entuzjaści w sferach zachowawczych zaczęli głosić na prawo i lewo, że niepodobna żyć dłużej pod pręgierzem „wstecznego konserwatyzmu“, ale — idąc z duchem czasu i postępu — trzeba oficjalnie przemianować się na „szczerych demokratów“, stuprocentowych wyznawców „zdobyczy rewolucji francuskiej“.

Nie były dla tych zapaleńców wskazówką te wszystkie przemiany, te wszystkie dowody stopniowego „zwrotu na prawo“, które od szeregu lat ostatnich skonstatować możemy we wszystkich państwach, do niedawna szczerze demokratycznych. Tym zapaleńcom lub oportunistom obserwacja nic nie mówiła. Szli naprzód w świętem przekonaniu, że prawa niwelującej wdół gilotyny rządzić będą światem, no a przedewszystkiem Polską.

Aż tu nagle w cały ten radosny pochód naiwnie-demokratyczny uderza jak grom mowa premiera Sławka, wypowiedziana wobec dziesięciotysięcznego tłumu na ostatnim zjeździe legjonistów w Radomiu. Mowa, nie będąca dla niektórych niespodzianką, ale tylko wyraźnem przypieczętowaniem ogólnego kierunku, w jakim dąży kierownictwo rządów pomajowych od kilku lat, to jest od czasu, gdy nabrało doświadczenia, do jakiej ruiny politycznej i materjalnej popędzają młodą, słabą jeszcze Polskę teorje demokratyczne wszelakiego kalibru. Ale, wyznajemy to chętnie, że nie przypuszczaliśmy, aby ciężkie to doświadczenie zdołało w umysłach kierownictwa reżimu pomajowego już dzisiaj tak daleko idące wykrystalizować przekonania i tezy. Posłuchajmy niektórych zwrotów.

„Spojrzyjmy w bardziej odległą przeszłość naszej ojczyzny. Zobaczymy, jak w ciągłych walkach o obronę państwa hartowało się i rosło rycerstwo, jak wybijały się najtęższe jednostki, jak ponad poziom przeciętny wyrastały nazwiska historyczne.

„Z zasług rycerskich wywodziła się szlachta. Mogła ona, w oparciu o swój dobrobyt, przez długie pokolenia przekazywać tradycję przodków-rycerzy, mogła wzbogacać swoją kulturę i cywilizację, mogła utrzymywać w swoich rękach decydującą rolę w Rzeczypospolitej.

„Lepszą jej część znamionowały dwie podstawowe wartości.

„Po pierwsze, w rycerskiej atmosferze wyrosła rycerska moralność — poczucie honoru, ambicja państwowa i żądza sławy. To, co w naszej przeszłości było wielkie, temi wartościami było ożywione i z nich obowiązujące nakazy stwarzało. Wartości te zachowały swoją treść i po dzień dzisiejszy. Nie dla obliczonego interesu, czy się opłaci, lecz dla honoru osobistego, związanego z poczuciem godności narodu, szły i ginęły pokolenia w walce o własną i narodu godność.

„Drugą cechą, znamionującą naszą dawną przeszłość, było przyznawanie herbów i szlachectwa tym, którzy zasługami wojennemi z rycerstwem się zrównali — proces równania ku górze, by ówczesnemu poczuciu równości stało się zadość.

„Obok tego, u schyłku wieku XVIII-go, w szeregach tej samej uprzywilejowanej warstwy szlacheckiej zjawiają się jednostki, rozumiejące potrzebę podciągnięcia ku wyższemu poziomowi życia publicznego szerszych warstw. To równanie ku górze obejmuje początkowo stan średni, by z kolei, poprzez dzieje wieku XIX-go i naszych walk wyzwoleńczych, ogarniając robotników i włościan, doprowadzić do pełnych i równych praw wszystkich obywateli Polski.

„To, co w innych narodach odbywało się kosztem szeregu krwawych walk społecznych, to u nas było zawsze dziełem światłych jednostek, które w instynkcie narodu znajdowały oddźwięk i poparcie.

„Wszelki postęp i rozwój były zawsze wynikiem twórczych pomyśleń pracy jednostek, wyrastających swemi wartościami moralnemi i umysłowemi ponad własne otoczenie, czy ponad naród cały. One w rozlicznych dziedzinach życia wnosiły i dobudowywały do dorobku przeszłości nową treść. One, dzięki swojej twórczej pracy, stawały się elitą społeczeństwa.

„Trzeba to czuć i rozumieć, aby dojrzeć głęboką istotę dzisiejszych przeobrażeń i umieć postawić sobie cele i drogi, któremi iść należy... Poprzez elitę ludzi umysłu i elitę ludzi charakteru, których jest wielu we wszystkich warstwach narodu, trzeba dotrzeć do instynktu całego społeczeństwa, trzeba podjąć walkę z tem, co rozwój twórczych sił hamuje.

„Zadanie to jest trudne w swojej istocie, trudne po wielekroć jeszcze dlatego, że zbyt wielu ludzi złych lub głupich poprzez demagogiczne oszukiwanie stara się bałamucić społeczeństwo, poniżając jego godność ludzką, hamując proces jego rozwoju.

„To trudne zadanie podjęte jednak zostało i jest naszym celem.

„Taki stopniowy postęp w podnoszeniu się mas do wyższych wartości ducha, to nie jest rzecz, która się dzieje sama z siebie. Postęp bywa dziełem tych jednostek, które wyrastają swemi wartościami ponad otoczenie, za sobą je ciągną. Jeśli treścią podstawową, wspólną dla wszystkich, będzie służenie państwu i jego wielkości, jeśli w imię takiego celu zdołają się zjednoczyć wszystkie żywe i czynne siły w narodzie, jeśli ustalą zasady moralności zbiorowej, oparte o honor i godność człowieka, a równocześnie pobudki czerpać będą w ambicjach państwowych, to stworzą najsilniejszą i najpiękniejszą podnietę w w i e c z-

nem pięciu się społeczeństwa ku wyższym wartościom ducha.

„To też... chcemy i postanawiamy: ...honor własny z ambicją państwową wiązać, a pomniejszycielom Polski miejsca nie ustąpić“.

Wyznajemy to szczerze, że żaden konserwatysta, nie mówiąc już o zwolennikach umiarkowanie demokratycznych poglądów, choćby największy patrjota i laudator temporis acti, nie byłby w stanie zdobyć się dzisiaj na takie słowa, na takie nawiązanie do szlachetnej przeszłości narodu, bezstronne oddanie jej sprawiedliwości, gdzie na to zasłużyła i wezwanie na wiecu publicznym obecnego, zdemokratyzowanego i zradykalizowanego pokolenia do nawiązania do tej przeszłości i wzorowania na jej szlachetnych zdobyczach kulturalnych dalszej pracy nad naprawą Rzeczypospolitej. A iluż mieliśmy dotąd kierowników rządu i mężów stanu, Paderewskich, Dmowskich, Grabskich, Hallerów, Ponikowskich, nie mówiąc już o radykałach, mieniących się patrjotami, w rodzaju Daszyńskich, Moraczewskich czy Witosów — a jednak żaden z nich nie zdobył się na podobne akcenty, żaden z nich nie miał odwagi cywilnej czy przekonania nawiązać do świetnych tradycji narodu i rzucić w zdemagogizowane społeczeństwo hasła „równania ku górze“, hasła uszanowania cennego dorobku naszej historji i kultury i podniesienia do jej poziomu warstw, w tym względzie jeszcze zacofanych! Przeciwnie — wszyscy nasi dotychczasowi „wielcy ludzie“ i „wielcy patrjoci“, drżąc ze strachu przed rozwichrzoną demagogją, przed groźbami Daszyńskich czy Witosów, zamknęli pośpiesznie wieko nad trumną przeszłości i zaczęli nam prawić o konieczności obniżenia kultury narodowej, gospodarstwa i ustroju państwowego do poziomu najniższego proletarjatu — jak tego wymagają kanony radykalnej demokracji. Chcąc czy nie chcąc szli oni wszyscy, bezpośrednio czy pośrednio, na rękę doktryny Marksa,

nie zdając sobie sprawy między zewnętrznym pozorem podnoszonego przez nich biało-amarantowego sztandaru a proletarjacką rzeczywistością, w którą wtrącali państwo i społeczeństwo.

To są fakta, odsłonione z pozorów patrjotycznej tromtadracji, których żadna djalektyka ex post nie będzie nigdy w stanie zatuszować. Dopiero głos legjonisty, członka przedwojennej Polskiej Organizacji Wojskowej, nawiązując siłą rzeczy do tradycji dawnych legjonów, do niezachwianej wiary w Polskę „póki my żyjemy“, zabrzmiał do społeczeństwa polskiego właściwem słowem, jakie powinno było odezwać się na samym początku z ust tych, którzy po ustąpieniu okupantów zaczęli niby Polskę budować. Powiadam „niby“, gdyż to, co zaczęli budować, było Polską tylko z pozoru, a w rzeczywistości jakąś proletarjacką, wrogą wyższej kulturze republiką ludową, radykalną, półsocjalistyczną, nawiązującą w gruncie rzeczy chętniej do sierpa i młota, niż do orła białego, któremu łobuzerskim gestem strącono koronę z głowy, jakby nic pilniejszego nie było w kraju do roboty. Wszak niedawny marszałek sejmu polskiego, Daszyński, debiutował swój udział w odbudowie Polski osławioną groźbą w Krakowie, że „głowy będą lecieć z karków, jak kominy z dachów!“. A potem pojechał do Lublina, aby podnieść tam czerwony sztandar proletarjatu, wzorem rewolucji rosyjskiej, która strasznie mu wówczas zaimponowała!

Trzeba było dopiero jedenastu lat walki i niedoli z duchem proletaryzującej niwelacji, aby usłyszeć z ust oficjalnego kierownika rządu to, co powinniśmy byli usłyszeć 11-go listopada roku 1919!

Dobrze, że słowa te nareszcie padły. Jako konserwatyści, nie oddajemy się bynajmniej entuzjastycznym porywom, nie chcemy przesądzać natychmiastowego, praktycznego słów tych rezultatu. Demagogja w społeczeństwie, ustawodawstwie, administracji i gospodarce krajowej nie da się usunąć jedną mową, choćby najenergiczniej-

szą, prezesa rady ministrów. To wiemy. Ale kapitalne znaczenie tej mowy polega właśnie na zdecydowanem wskazaniu kierunku, w którym odtąd ma iść rozwój państwa — kierunku ku górze, albo, jeśli kto tak nazwać woli, kierunku na prawo, a więc stanowczego odwrotu z dotychczasowej demagogicznej równi pochyłej, na której niemasz zatrzymania i na której dnie powiewa tylko czerwony sztandar komuny.

Bo naiwnym jest, kto sądzi, że w pochodzie wdół czy na lewo, a więc w kierunku, wskazanym przez idee demokratyczne, możliwem jest zatrzymanie się w dowolnym punkcie, że możliwem jest oznaczenie sobie zgóry: dotąd demokracja, a stąd zdrowy rozsądek, patrjotyzm, konieczności państwowe i t. d. Takiego wyboru rozpęd po równi pochyłej niestety nie dozwala. Nad wozem, pędzącym w przepaść, niemasz deliberacji, ani filozofji, ani eklektyki. Musi w przepaść runąć, jeżeli mu ktoś nie wrzuci zdecydowanym gestem zapory między szprychy i w ten sposób nie zahamuje. *To właśnie znaczenie mają wyżej zacytowane zwroty w mowie premiera Sławka. Stwarzają punkt zwrotny, otwierają możność konstruktywnej, szlachetnej pracy państwowej — w przeciwieństwie do kierunku, w jakim nas pchały dotąd wszystkie partje demokratyczne bez wyjątku.*

I jeszcze jedno wynika z tej mowy — wygłoszonej oczywiście nie bez porozumienia z marszałkiem Piłsudskim — jasno i wyraźnie: platforma, na jakiej reżim pomajowy chce stanąć w sprawie naprawy konstytucji i uzdrowienia stosunków. Platforma „nobilitowania“ całego produktywnie pracującego społeczeństwa. Bo naprawę naszej fatalnej konstytucji możnaby podjąć z różnych punktów widzenia. Możnaby np. ograniczyć się do wprowadzenia kilku poprawek celem formalnego wzmoc-

nienia władzy wykonawczej, bez zmiany jednak demagogicznego ducha konstytucji. Niewieleby się przez to w prańtswie zmieniło. Ale właśnie z mowy p. Sławka wynika wyraźnie zapowiedź zmiany zasadniczego nastawienia ideowego, którem rządy obecne, a w pierwszym rzędzie główny ich kierownik, mają zamiar natchnąć szerokie sfery społeczeństwa. A to uważaliśmy i uważamy zawsze za podstawowy warunek rzetelnej naprawy ustroju, bo w przeciwnym razie demokracja, a raczej demagogja, pozostanie ostatecznie tryumfującą.

Reasumując, mowa radomska nie zapowiada bynajmniej jakiejś „reakcji" w znaczeniu wstecznictwa, czemby ją czerwoni demokraci chętnie chcieli napiętnować. Przeciwnie, głosi wyraźnie program równości społecznej, równości obywateli wobec państwa i prawa, ale równości, dążącej w górę — ideologję arystokratyzacji wszystkich warstw narodu. Jeżeli taki program nie skończy się na jednej mowie, ale stanie się w praktyce, w każdym calu, istotnie przewodnią wytyczną rządów „systemu pomajowego", to każdy trzeźwo myślący obywatel, każdy prawdziwy patrjota, powinien poprzeć ze wszystkich sił dążenia obecnych rządów, nie zrażając się małodusznie, po filistersku, lokalnemi niedomaganiami różnych władz lub panującym kryzysem gospodarczym. Bo niedomagania te są nieodłączne od każdego zapoczątkowanego dzieła naprawy, a kryzys gospodarczy, wywołany zresztą ogólną konjunkturą światową, jest potęgowany u nas właśnie oddziaływaniem demagogicznych ustaw politycznych i gospodarczych, będących wytworem pierwszych siedmiu lat rządów sejmokracji i demokracji.

Zamiast więc narzekać, krytykować i oddawać się jałowej opozycji, która niedoli naszej ani o jedną jotę nie poprawi, powinny wszystkie światlejsze, prawdziwie patrjotyczne sfery społeczeństwa uchwycić, utrwalić i wzmocnić „zwrot na prawo", zapowiedziany

wystąpieniem premiera Sławka. Powinny wykorzystać tę oficjalną rewelację istotnego kierunku rządów pomajowych i ułatwić ich produktywne zamierzenia przeważeniem na prawo szali losów państwa całym ciężarem gatunkowym swych walorów. Oczekiwanie i przypatrywanie się wypadkom w bierności i w jałowej krytyce, w oczekiwaniu jakchś cudów czy ideałów, do niczego nie doprowadzi, a tylko dyskredytuje wartość wyższych sfer społeczeństwa i utrudnia niezmiernie zadanie tym wszystkim, którzy dążą czynnie do naprawy stosunków w myśl zasad, w mowie radomskiej ogłoszonych.

Jeszcze może wyraźniej i dobitniej formułuje w pewnych szczegółach te zasady wywiad redaktora Gazety Polskiej z marszałkiem Piłsudskim z końcem sierpnia r. b. Nie aprobujemy oczywiście formy enuncjacji Marszałka, chociaż rozumiemy dobrze jej celowość: znając małą wrażliwość nazbyt zmaterjalizowanego społeczeństwa na wszelkie wzniosłe apele, chce Piłsudski zabić demagogję i sejmowładztwo w oczach najszerszych warstw bronią najskuteczniejszą — ośmieszeniem. I dlatego używa tak dosadnych wyrazów. Mimo to jednak musimy dla samej zasady, w obronie powagi wystąpień władzy, potępić stosowanie aż takiego środka w enuncjacjach oficjalnych.

Ale, odrzuciwszy na bok tę niestrawną dla nas szatę zewnętrzną, znajdujemy w cytowanym wywiadzie znowu kapitalne tezy, o znaczeniu wprost historycznem, tezy, którym niepodobna zaprzeczyć.

„Nieraz wątpię o jakiejkolwiek wartości t. zw. demokratycznych pojęć, a jeszcze więcej o wartości t. zw. parlamentaryzmu, gdyż on prowadzi do musu oszukaństw i do musu życia w świecie oszukańczym.

„Pan poseł chce być wolnym od praw, które karzą sądownie, od praw honoru i od praw przyzwoitości. Moż-

na zebrać setkę łotrów *) i mówić, że to sejm. I od takich łotrów ma państwo zależeć?

„Pan poseł — to nikczemne zjawisko w Polsce“.

Prosimy, niech kto spróbuje zaprzeczyć tym oczywistym prawdom, stwierdzonym długiem doświadczeniem! Demokracja — to istotnie przymus wiecznego oszukiwania siebie i drugich obietnicami i doktrynami wszelakiego szczęścia, zdrowia i pomyślności, których, zwłaszcza po doświadczeniu bolszewickiem, nikt już na serjo nie bierze, bo widzi namacalnie, że ich realizacja jest bajką, jeżeli już nie wprost destrukcją i anarchją. A Pan poseł — oczywiście jako typ — to naprawdę nikczemne w Polsce zjawisko i to nie od wczoraj, ale od kilkuset lat. Wszak to ten typ — ongiś w czerwonych butach i karabeli, dzisiaj w wytartej marynarce — wiecznego warchoła, rozkrzyczanego, zachłannego na interes prywatny lub partyjny kosztem państwa, przeciwstawiającego się z najwstrętniejszą demagogją i tępym uporem wszelkim usiłowaniom wzmocnienia państwa na wewnątrz i na zewnątrz, gotowego nawet wzywać na pomoc nieprzyjaciela, aby utrącić każde zamierzenia uzdrowienia państwa.

Idea i praktyka demokratyczna, w których wartość Piłsudski słusznie wątpi (my oddawna wcale wątpić nie potrzebujemy!), obniżyły jeszcze znacznie dawny typ sejmowego posła-warchoła. Bo demokracja dopuszcza, toleruje i legalizuje zgóry wszelki skład sejmu, bez żadnej moralnej i kulturalnej selekcji. Wszystkie inne organizacje, instytucje i zawody wymagają, przynajmniej w zasadzie, pewnych kwalifikacji. Sejm demokratyczny nie wymaga żadnych od swych członków — ani fachowych,

---

*) Według demokratycznego prawa wyborczego! (Przyp. Red.).

ani moralnych — i w tem jego absurd i zarodek nieuleczalnej choroby. I dlatego słusznem jest twierdzenie, że w ustroju demokratycznym pewna ilość ciemnych figur, nieznanych nawet ogółowi, bo bezkrytycznie numerkami wybranych, może być sejmem i może narzucać państwu najgorsze urządzenia, najbardziej bolszewizujące ustawy!

I o to właśnie toczy się obecnie w państwie walka. Nie toczy się idealnie, bo nic idealnego nie dzieje się na świecie. Ale każdy rozumieć powinien, o co chodzi i krytykując różne usterki obecnej gospodarki czy polityki rządowej, postawić sobie przedewszystkiem winien pytanie, coby się z nim samym i z państwem działo, gdyby demokratyczne partyjnictwo i ów typ posła-warchoła znowu przyszły do władzy? A zdaje się, że olbrzymia większość naszych malkontentów i defetystów z pośród ugrupowań umiarkowanych wcale sobie tego pytania nie zadaje!

Tak więc, wobec obu powyższych oficjalnych enuncjacji, zniknąć musi wszelka wątpliwość co do ogólnego ducha i kierunku rządów pomajowych. Nikt nie może już twierdzić, że dążenia Piłsudskiego i jego miarodajnych, najbliższych współpracowników są sfinksową zagadką. Widzimy wyraźnie, od lat czterech, coraz bardziej zdecydowaną ewolucję tych dążeń na prawo, w kierunku zwalczenia radykalizmu i wprowadzenia rozwoju państwa na racjonalniejsze tory, nie bez pewnych wysokich akcentów historyczno-rycerskich, które całkiem inaczej brzmią, niż dotychczasowe chamstwo demokratycznego pseudo-patrjotyzmu wszelkich odcieni.

Ale słabą stroną tej tendencji, tego nastawienia moralnego w kraju, które obecne rządy — jak z obu enuncjacji

wynika — starają się wytworzyć, jest karygodna bierność lepszych elementów społeczeństwa, owa nieszczęsna taktyka wyczekiwania dalszych wypadków i cudów. Sądzićby należało, że te lepsze sfery społeczeństwa, zwłaszcza ziemiańskie, przemysłowe, handlowe i inne, wezwane tak wyraźnym apelem, zerwą się raz nareszcie do czynniejszego udziału w polityce państwowej i staną murem w walce przeciw elementom demagogji i wywrotu. Tymczasem, w okresie najbardziej decydującym i gorącym, sfery te — z nielicznymi wyjątkami — myślą tylko bezkrytycznie o sprawach gospodarczych, nie zdając sobie sprawy z tego, czy nie chcąc sobie sprawy zdawać, że pierwszym warunkiem polepszenia stosunków ekonomicznych w państwie, pierwszym warunkiem umożliwienia reformy ustawodawstwa fiskalnego i wdrożenia jakiegoś racjonalnego gospodarczego programu jest właśnie najpierw naprawa ustroju i w konsekwencji podniesienie poziomu parlamentu i administracji państwowej. A jeżeli ktoś narzeka na usterki panującego reżimu, których oczywiście nie brak, jak w żadnym rządzie, zwłaszcza w czasach powojennych, to, zamiast jałowych skarg i żalów, niechże czynnym swym udziałem w sprawie publicznej przyczyni się do stopniowej poprawy tych usterek!

Nie dokona tego w żadnym razie ani jęk wieczny po salonach ziemiańskich, ani wyrywanie sobie włosów z głowy w kantorach przemysłowych czy handlowych. Nie dokona tego niezdecydowanie, defetyzm, czy lawirowanie wśród różnych orjentacji politycznych, z „chytrem" wyczekiwaniem, kto ostatecznie będzie górą: Piłsudski czy narodowa demokracja? Taka polityka nietoperza do niczego nie prowadzi, osłabia tylko kraj i przewleka nietylko reformę konstytucji, ale i złagodzenie kryzysu gospodarczego. Kto chce by głos jego słyszano, musi eksponować się w pewnym kierunku i zaważyć osobiście na szali wypad-

k ó w. Społeczeństwo, które się dotąd tylko skarży, musi nareszcie zerwać się z bezczynności i dopomódz do realizacji swych postulatów. Bez tego nikt nie jest i nie będzie w Polsce na tyle wszechmocnym, aby sam wszystko za wszystkich zrobić i na półmisku gotowe każdemu podać!

A w tym wysiłku ci w pierwszym rzędzie stanąć winni, o których herbach i przodkach wspomniał tak pięknie premjer Sławek. Jego mowa była w tym względzie jakgdyby zadośćuczynieniem ziemiaństwu za bolszewickie zarzuty, wypowiedziane w ostatnim sejmie przez jakiegoś demagoga przy głośnej aprobacie socjalisty Daszyńskiego, którego naród polski dopuścił w zaślepieniu do marszałkowskiej laski. Niechże panowie, o których herbach i przodkach mowa, zastanowią się dobrze nad sytuacją. Może to po raz ostatni w dziejach Polski taki apel z oficjalnej trybuny do nich się rozlega?! Niech wykorzystają taką okazję, która się może drugi raz już nie nadarzy. Niech się dobrze zastanowią, czy wobec apelu rządu polskiego—choćby w ich oczach bardzo niedoskonałego—mają w dalszym ciągu służyć demokracji jakiegokolwiek odcienia, która ich tylko wyssie i z całą pewnością na bruk wyrzuci!

Teraz jest najlepsza okazja do wykazania, czy wyższe sfery społeczeństwa polskiego, w ich całości, a zwłaszcza sfera ziemiańska — ongiś stan rządzący — mają jeszcze tężyznę życiową i prawdziwy zmysł państwowy, czy nie?

Nie czas już na wahania i lawirowania. Zasłona podniesiona. Trzeba się wyraźnie opowiedzieć za apelem naprawy, lub za „poniżającem godność ludzką demagogicznem oszukaństwem“.

REDAKCJA.

POWTÓRNE ZAŁAMANIE SIĘ I PERSPEKTYWY PRAWOSŁAWIA W ROSJI SOWIECKIEJ.

Uwaga, którą w ostatnim czasie zwrócił cały świat cywilizowany na wypadki religijne w Sowietach, a w szczególności wystąpienie Papieża Piusa XI, na które zareagowały sowiety w osobach Rykowa i Jarosławskiego oraz przedstawiciele cerkwi w osobie metropolity Sergjusza i członków jego synodu — wszystko to zmusza do bliższego zastanowiena się nad temi wydarzeniami, jako stanowiącemi pewien i to ważny etap w układzie stosunków rosyjskich.

Na wstępie musimy zaznaczyć, że zobrazowanie zagadnienia cerkiewnego w sowietach nie należy do rzeczy łatwych, tembardziej, że z jednej strony musimy polegać wyłącznie na faktach, które trzeba brać cum grano salis, a z drugiej na perfidnej i zawikłanej akcji bolszewickiej, wynikającej z ukrytych planów rządu sowieckiego, w których z wielkim wysiłkiem trzeba odszukać i rozróżnić pierwiastki istotne od drugorzędnych — podniesionych nieraz celowo do rzeczy wagi zasadniczej.

Ale i z faktami niełatwo sobie poradzić, zwłaszcza, gdy mowa o faktach w Rosji sowieckej!

Rosja jest krajem olbrzymim. Życie religijne, zwłaszcza cerkwi prawosławnej, na tak rozległym terenie, przebiega obecnie, t. j. w warunkach rzeczywistości sowieckiej, całkowicie pod znakiem zupełnego rozbicia. Celowe zniszczenie przez bolszewików aparatu administracyjnego oraz informacyjnego, tak cerkiewnego, jak i społecznego, już z konieczności powoduje nietylko zbyt spóźnione otrzymywanie wszelkich wiadomości z różnych zakątków pań-

stwa rosyjskiego, lecz również sprowadza wszystko do rzędu przypadkowości, dzięki czemu bardzo wiele faktów i zjawisk ginie dla historji, a wiele rzeczy niepewnych nie można sprawdzić wskutek tysiącznych przeszkód i trudności. Jakiegoż tedy potrzeba olbrzymiego wysiłku, aby poruszone tutaj zagadnienie stanu prawosławia módz należycie oświetlić, pozostając poza potężnym „murem chińskim", jakim się sowiety odgrodziły od całego świata cywilizowanego, w mniemaniu, że karmiąc go tendencyjnemi wiadomościami oficjalnemi czy propagandą, zaspokoją jego ciekawość, a dla siebie uzyskają szereg korzyści politycznych, wynikających z tak skonstruowanego stanu rzeczy!

Czyniąc zadość wymaganiom objektywnego traktowania sprawy, pracę tę oprzemy wyłącznie na faktach, których analiza, zarówno jak i cały ich układ, pozwolą nam odtworzyć, niestety tylko pewną część, owego kolosalnego procesu walki religijnej, który trwa już trzynaście lat z coraz wzrastającem zaostrzeniem i tragizmem.

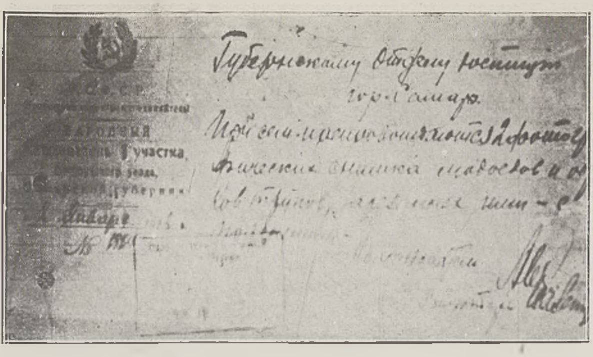
Gdybyśmy jednak mogli odtworzyć całość obrazu, to niewątpliwie, iż tem samem tylko jeszcze bardziej uwypuklilibyśmy nietylko straszny tragizm życia religijnego w sowietach, lecz również i te perspektywy, które, stając się jego wytycznemi, byłyby niewątpliwą dyrektywą i dla naszej przyszłości.

Celem nakreślenia możliwie wyczerpującego obrazu stosunków religijnych, panujących w sowietach, wyjaśnimy dwie zasadnicze kwestje, mianowicie: charakter i stosunek prawa sowieckiego do cerkwi oraz metody walki bolszewickiej z prawosławiem.

I.

PRAWO SOWIECKIE A CERKIEW PRAWOSŁAWNA.

Zasadniczy wyraz prawodawstwa sowieckiego w stosunku do cerkwi prawosławnej ujawnia nam paragraf 13-ty konstytucji ZSSR wraz ze słynnym dekretem Rady Komi-

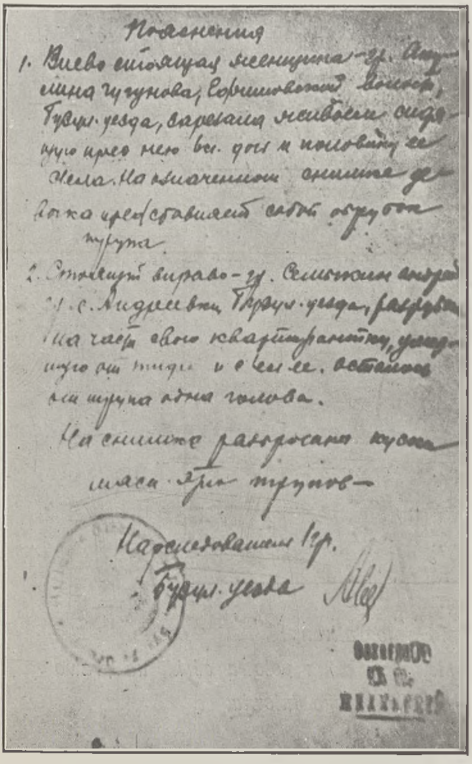


R. S. F. S. R
Proletarjusze wszystkich krajów
łączcie się
SĘDZIA LUDOWY
I Dzielnicy, pow. Buzułukskiego
Gubernji Samarskiej
2 stycznia r. 1922
Nr. 1834
Samarski Gubernjalny Wydział
Sprawiedliwości
Wchodz. Nr. 101, Nr. 597, Nr. 51

Do
Gubernjalnego Wydziału Sprawiedliwości
m. Samary

Przy niniejszem załącza się dwie fotografje ludożerców i kawałków trupów, zarżniętych przez nich—z wyjaśnieniem.

Sędzia ludowy (—)
Sekretarz (—)



WYJAŚNIENIA:

1. Stojąca na lewo) kobieta — obywatelka Akulina Czugunowa z gminy Jefimowskiej, powiatu Buzułukskiego, zarżnęła żywcem siedzącą przed nią córkę 6-letnią i połowę jej zjadła. Fotografja przedstawia odcięty kawał trupa dziewczynki.*

2. Stojący na prawo — ob. Siemykin Andrzej ze wsi Andrejewki, pow. Buzuł., porąbał na kawałki swoją lokatorkę, zmarłą na tyfus i zjadł ją Z całego trupa pozostała tylko głowa.

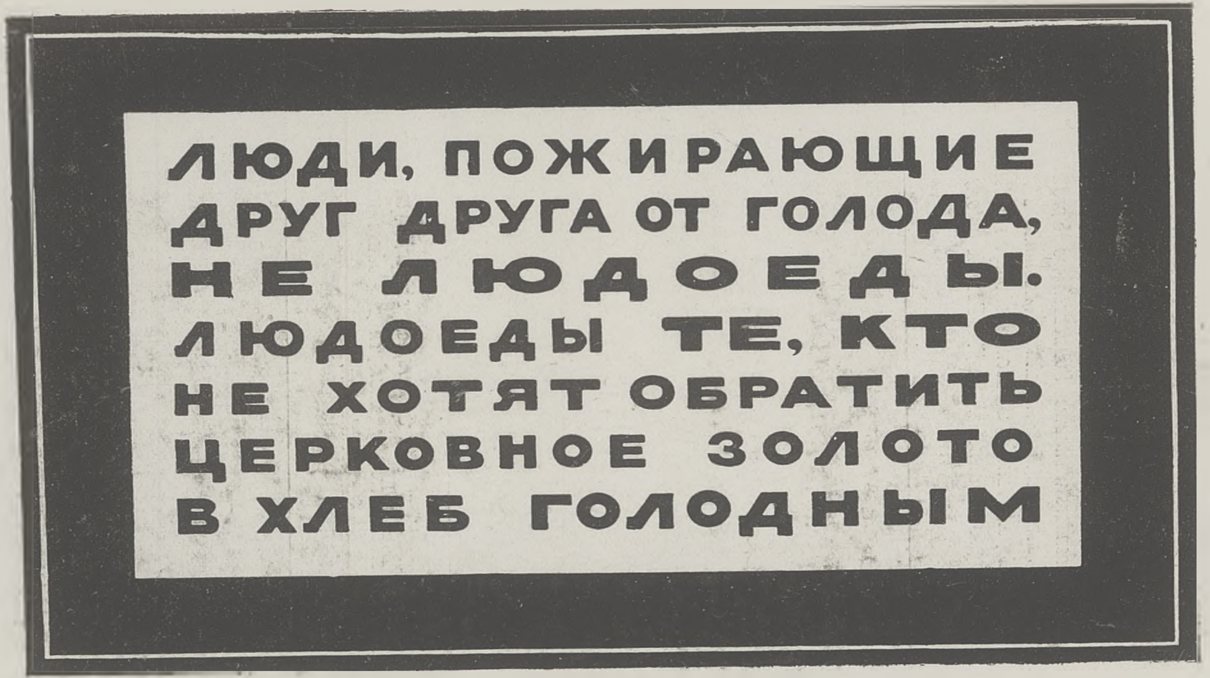
**) Patrz fotografje na następnej stronie.*



1. Załącznik fotograficzny do aktów powyższych: Ludożercy: Akulina Czugunowa i Andrzej Siemykin.

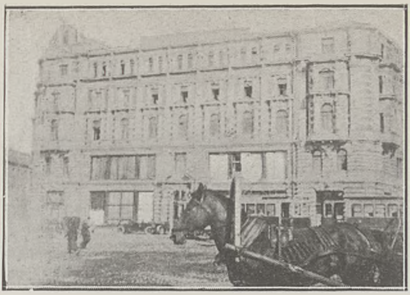


2. Załącznik fotograficzny:
Ofiary głodu i ludożerstwa: na lewo zjedzona połowa córki, na prawo głowa kobiety od zjedzonego tułowia.



Olbrzymia klęska głodowa w r. 1921, spowodowana reformami ustroju państwowego na ład komunistyczny, zmusiła Lenina do przejścia na tory N. E. P.'u. czyli Nowej Polityki Ekonomicznej — faktycznie zaś na tory kapitalistyczne. Aby usprawiedliwić się przed opinią rosyjską z przyczyn strasznej klęski głodowej i aby okpić całe społeczeństwo, bolszewicy wypuścili plakat powyższy, w którym piszą, że „Ludzie pożerający jeden drugiego z głodu — nie są ludożercami. Ci są ludożercami, którzy nie chcą przekształcić złota cerkiewnego na chleb dla głodnych".

Na podstawie tego hasła bolszewicy obrabowali cerkwie ze wszelkich kosztowności, które poszły na propagandę.



Główny gmach „Gosudarstwiennawo Politiczeskawo Uprawlenja" t. zw. G. P. U. czyli Czerezwyczajki w Moskwie, „Łubianka 2", która kieruje wszelkiemi sprawami politycznemi, a obecnie dokonuje rozbicia i niszczenia cerkwi prawosławnej w Rosji. (Fotogr. autor.).



Wygląd mogił masowych w gub. Samarskiej, składających się z olbrzymich i bezładnych stosów trupów zmarłych z głodu i przysypywanych śmieciem.



Orenburg: Składnica trupów zmarłych z głodu.

sarzy Ludowych z d. 13 stycznia 1918 r., wydanym w sprawie tak zw. „rozłączenia cerkwi od państwa i szkoły od cerkwi". Dekret ten stanowi oś główną, od której rozgałęziają się wszelkie inne prawa i ustawy.

Prawodawstwo sowieckie, według brzmienia jego LITERY, daje możność religji korzystania ze względnej wolności, jednakże zabrania wydawania takich praw, któreby ograniczały „wolność sumienia" (§ 2) i wprowadzały przywileje, związane z wyznawaniem jakiejkolwiek religji, lub przywileje za nieprzynależność do żadnej. Prawo sowieckie pozwala każdemu wyznawać lub nie wyznawać religję, określając, że kwestja wyznaniowa jest sprawą prywatną każdego obywatela (§ 3). Co do wolności propagandy religijnej i organizowania życia religijnego, to prawo sowieckie nawet „gwarantuje wszelką wolność", dając np. możność religijnego wychowywania dzieci w domu rodziców, a osób, mających ukończonych lat 18, w specjalnych zakładach naukowych. W stosunku do organizacji cerkiewnych, zjazdów, zebrań, prasy i obrzędów religijnych prawo sowieckie przewiduje całkowitą wolność, w tem jednakże znaczeniu, aby przejaw akcji religijnej nie był wiązany z życiem państwowem lub społeczno-prawnem, t. j. aby religja zawsze nosiła charakter sprawy czysto prywatnej, indywidualnej, do której państwo nie chce w niczem ingerować.

Przy dokładniejszem badaniu charakteru powyższego prawodawstwa sowieckiego zauważymy jednak, że podkreślona i akcentowana w niej zasada „wolności i tolerancji" jest fikcją i praktycznie nie daje możności korzystania z wolności sumienia. Wyraźnie o tem mówi ta część ustawodawstwa sowieckiego, która wszelkie organizacje religijne zasadniczo pozbawia praw t. zw. „osoby prawnej", nie dozwalając im posiadania żadnej własności, aż włącznie do rzeczy czysto religijnych, czyli obrzędowych. Oczywiście, że urządzenie w takich warunkach życia religijnego jest rzeczą zupełnie niemożliwą. Prawo takie należy uwa-

żać jedynie jako cios, wymierzony przeciwko organizacjom religijnym, które w porównaniu do organizacji społecznych i antyreligijnych są postawione w warunkach radykalnie odmiennych. O ile te ostatnie cieszą się pełnią praw „osoby prawnej" i mogą posiadać własność, o tyle organizacje religijne tego wszystkiego są pozbawione.

To samo należy powiedzieć w kwestji t. zw. „propagandy religijnej", którą prawo sowieckie dla organizacji religijnych bardzo ogranicza na rzecz wolności propagandy antyreligijnej. Głoszenia zasad i nauczania religji prawo sowieckie kategorycznie zabrania dla dzieci i osób, które nie skończyły lat 18, podczas gdy propaganda antyreligijna jest szeroko uprawiana przez państwo nietylko wśród dorosłych, lecz i w szkołach, ochronach i we wszelkich organizacjach dziecięcych.

Nadzór nad wprowadzeniem w życie wszelkich praw sowieckich w dziedzinie religijnej i „regulowanie" stosunków prawnych, dotyczących organizacji religijnych, są powierzone z jednej strony Komisarjatowi Sprawiedliwości i jego organom lokalnym (nadzór prokuratorski), a z drugiej specjalnemu oddziałowi kultów przy Komisarjacie Spraw Wewnętrznych oraz jego wydziałom lokalnym, znajdującym się przy każdym komitecie wykonawczym gubernjalnym, okręgowym i powiatowym.

Powyższe instytucje lokalne regulują według instrukcji i własnego widzimisię życie wszelkich organizacji religijnych, o ile podlegają one jakiemuś prawu, a zwłaszcza, o ile korzystają z mienia, dzierżawionego od państwa (np. świątyń, szat, naczyń liturgicznych itp.)

Wszystkie prawa, gwarantujące z litery swej wolność religijną, nie tyle są stworzone przez bolszewików dla nadania religji względnej chociażby wolności, ile raczej dla reklamy władz sowieckich (jak np. Rykowa czy Jarosławskiego), które w swoich występach w prasie, omawiających stan cerkwi w Rosji, aż do znudzenia zawsze je cytują, jako dowód najwyższej tolerancji religijnej.

Innym znowu celem istnienia wszystkich t. zw. „gwarancyjnych wolności sumienia i religji“ jest bałamucenie opinji Zachodu i wogóle społeczeństw cywilizowanych, obsolutnie nie orjentujących się w stosunkach, panujących w sowietach. Jako jaskrawy dowód tego może służyć interpelacja parlamentu angielskiego i zwrócenie się Hendersona do sowietów w „Białej Księdze“ w sprawie sporządzenia specjalnego wydawnictwa praw sowieckich, dotyczących religji, celem obznajomienia społeczeństwa angielskiego z tą sprawą.

Nie przesądzając wyniku zabiegów angielskich, w każdymbądź razie trzeba zaznaczyć, że każde społeczeństwo cywilizowane winno bliżej poznać drakońskie i barbarzyńskie prawa bolszewickie w zakresie religijnym na tle rzeczywistości sowieckiej.

Aby zrozumieć metody bolszewickie, skierowywane wyłącznie do tumanienia opinji światowej, trzeba wiedzieć, że oprócz dekretów, istnieje jeszcze druga strona tego medalu, składająca się z dwóch innych czynników, mianowicie: z polityki partji komunistycznej w stosunku do religji i z działalności GPU, czyli t. zw. czerezwyczajki.

Nie dekrety i prawa sowieckie, lecz właśnie te wyżej wymienione dwa czynniki bolszewickie są istotnymi i zasadniczymi motorami i regulatorami stosunków cerkiewnych w Rosji bolszewickiej.

Co do partji komunistycznej, to jej działalność przejawia się na zewnątrz nie inaczej, jak tylko na rozkaz Komitetu Centralnego, który dyryguje wszystkimi organami partyjnymi.

Akcja zaś czerezwyczajki ma charakter odmienny, gdyż polega na działalności tajnej, dla której prawodawstwo sowieckie jest tylko płaszczem, przykrywającym tajną politykę GPU.

Jakie stanowisko zajmuje partja komunistyczna w stosunku do religji i organizacji cerkiewnej, tego nie będziemy wyjaśniać. Wymowną odpowiedzią na to pytanie jest pro-

gram partji, który od początku do końca walczy z wszelką religją, nazywając ją „opjum“, a zniszczenie religji uważa za swój cel zasadniczy. Jasną więc jest rzeczą, że skoro wszystkie urzędy i organizacje sowieckie są kierowane wyłącznie przez partję i jej rozmaite komitety, to te natychmiast wspierają cały aparat państwowy, gdzie tylko styka się on z kwestjami religijnemi i ułatwiają mu bez większych wysiłków osiągnięcie celu. Na tem właśnie polega faktyczna strona życia w Rosji, którą można określić nie inaczej, jak tylko jako WALKĘ ORGANÓW SOWIECKICH Z RELIGJĄ, WALKĘ, KIEROWANĄ PRZEZ PARTJĘ KOMUNISTYCZNĄ, POD PRZYKRYWKĄ PRAWA O WOLNOŚCI RELIGJI.

Zresztą wskazuje na to najwyraźniej sama istota prawa sowieckiego o „wolności religji“, pozostająca w stałym konflikcie z polityką sowiecką w kwestjach religijnych. Prawa sowieckie w tej dziedzinie spełniają tylko mizerną rolę kurtyny, za którą w najdzikszy sposób jest realizowana zakulisowa antyreligijna polityka sowiecka, a z drugiej strony są one przynętą dla naiwnych, aby jak najdłużej łudzili się nadzieją uzyskania wolności dla religji i organizacji religijnych drogą tych niezliczonych starań i zabiegów w najrozmaitszych sprawach religijnych, jakie faktycznie, aż do chwili obecnej, czynią bezskutecznie wobec wszelkich urzędów oraz instytucji bolszewickich.

Cały jednakże ten kierunek działalności rządu bolszewickiego w osobie jego organów administracyjnych i partyjnych, czyli raczej NIEZŁOMNA JEGO WOLA NIEWYKONANIA PRAW, dających chociażby względną wolność dla religji, bynajmniej nie wyczerpuje sowieckiej polityki religijnej. Słynne bowiem GPU stanowi dla partji komunistycznej, jak i dla rządu sowieckiego, jeden z najważniejszych czynników, odgrywających poważną rolę w zwalczaniu religji.

Przy centralnym zarządzie GPU — t. zw. „Wszechzwiązkowem Zjednoczeniu GPU“ — istnieje specjalny

„Trzeci oddział sekretno - operacyjny“, na czele którego stoi znany Jewgenij Aleksandrowicz Tuczkow, który specjalnie czuwa nad sprawami religijnemi i cerkiewnemi. Ten „oddział trzeci“ posiada swoich pełnomocników we wszystkich lokalnych wydziałach GPU, którzy noszą specjalny tytuł „pełnomocników 3-ciej grupy wydziału sekretno-operacyjnego“.

Te właśnie organy GPU odgrywają wyjątkową rolę w religijnem życiu całej Rosji, do tego stopnia, że jedynie one są przyczyną wszelkich wydarzeń, będąc jednocześnie czynnikiem, decydującym nietylko w sprawach zasadniczych, lecz nawet w podrzędnych i najdrobniejszych. Stąd też powstał nowy aforyzm cerkiewny, że „E. A. Tuczkow jest oberprokuratorem cerkwi rosyjskiej“, albo, jak inni go nazywają: „Metropolitą Eugenjuszem“... itp. Na terenie Ukrainy Sowieckiej urzęduje specjalny kierownik „3-go oddziału czerezwyczajki ukraińskiej“, niejaki Sergjusz Karin, działający, rzecz jasna, z ramienia wspomnianego Tuczkowa.

Trzeba nadmienić, że działalność „3-go oddziału“ GPU, pod względem jego ustosunkowania się do polityki partji w kwestjach religijnych i do praktyki administracyjnej, jest regulowana przez inny organ, mianowicie przez specjalną komisję, istniejącą przy rządzie centralnym w Kremlu. Przewodniczącym tej komisji jest Śmidowicz, a udział w niej biorą Tuczkow oraz przedstawiciele komisarjatów: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, politbiura CKPartji i CIK (Centralnego Komitetu Wykonawczego).

Takie więc jest oblicze owego aparatu tajnego, który rządzi sprawami prawosławia w Rosji.

Ze wszystkiego, cośmy przytoczyli, wynika, że stworzenie sobie rzetelnego poglądu, opierając się wyłącznie na metodzie zwyczajnego zaznajomienia się z prawodawstwem sowieckiem, nietylko jest rzeczą ryzykowną, lecz wprost niemożliwą. Całe prawo sowieckie stanowi tylko efektowną dekorację, pozorną i stworzoną jedynie dla zmylenia

rzeczywistości, która jest zależna nie od praw, lecz od polityki, realizowanej wszelkimi sposobami praktyki administracyjnej, aż do tajnej działalności GPU włącznie.

II.

METODY WALKI RZĄDU SOWIECKIEGO Z PRAWOSŁAWIEM.

Zastanawiając się nad metodami walki bolszewików z prawosławiem, wypada zaznaczyć, że system ten jest tak skomplikowany i wielostronny, iż wymaga bliższego rozpatrzenia. Pod tym względem historję polityki sowieckiej w dziedzinie religijnej możemy podzielić na dwa zasadnicze, lecz nierównomierne okresy, z których pierwszy obejmuje czas od 1917 do 1922 roku, czyli pierwsze czterolecie rewolucji bolszewickiej, a drugi rozpoczyna się od roku 1922 i trwa aż do chwili obecnej.

Okres pierwszy, jako pokrywający się z okresem wojny domowej i rozbudowy sowieckiego aparatu państwowego, nosi piętno tylko zaczepnej walki z religją wogóle, a z prawosławiem w szczególności. W tym czasie partja komunistyczna, zarówno jak i organy władzy sowieckiej, były zajęte gwałtownem rozstrzyganiem rozmaitych problematów natury wyłącznie państwowej i dlatego nie miały możności skoncentrować swej uwagi nad kwestjami religijnemi. Okres ten można scharakteryzować jako okres względnego wykonywania prawa, dotyczącego „rozłączenia cerkwi od państwa". Nie oznacza to bynajmniej, aby bolszewicy pod tym względem kierowali się jakimikolwiek dobrymi zamiarami lub względami humanitarnymi, lecz rozumiejąc doskonale swoją słabość, nie ruszali religji jedynie dlatego, aby nie przysporzyć sobie nowego kłopotu w postaci wojny religijnej, która dla bolszewizmu mogłaby się zakończyć bardzo tragicznie.

Co do przejawów lokalnej walki partji komunistycznej i urzędów sowieckich z prawosławiem w tym pierw-

szym okresie, trzeba nadmienić, że w większości wypadków charakter tej walki zależał przeważnie od inicjatywy poszczególnych działaczy bolszewickich. Wpływ władz centralnych na działalność poszczególnych urzędów sowieckich polegał jedynie na zachęcaniu i podżeganiu do walki drogą wydawania najrozmaitszych instrukcji, przeważnie o charakterze ogólnikowym, dzięki czemu odnosiło się wrażenie, iż walka ta przebiega żywiołowo, chaotycznie i wogóle bez śladów jakiegokolwiek planu. Istotnie zaś chaos ten był zjawiskiem ściśle uplanowanem, akcją, zmierzającą do stopniowego zdezorjentowywania mas najszerszych i wciągania ich do walki z cerkwią, celem intensywnego osłabiania organizmu prawosławia, aż do chwili, kiedy się wzmocni sowiecki aparat państwowy na tyle, aby módz podjąć systematyczną walkę z cerkwią, jako jednym z najpoważniejszych swoich przeciwników.

To też ekwiwalentem walki planowej w tym okresie była akcja, na pozór chaotyczna, lecz w gruncie rzeczy arcyniszczycielska, skierowana wyłącznie na gromienie i zamykanie klasztorów i świątyń, aresztowanie duchowieństwa, aż do uprawiania masowego zabójstwa — bez żadnego dochodzenia i sądu, bez podawania zarzutów lub jakiegokolwiek oskarżenia.

W tym czasie zostały zamknięte wszystkie świątynie w Kremlu moskiewskim, a mnóstwo relikwji nietylko sprofanowano, lecz wprost zniszczono, jak np. relikwje św. Hermogena i Filipa w Moskwie, Aleksandra Newskiego w Petersburgu, Joasafa w Biełgorodzie i t. d. Niektóre z tych relikwji były przekazane do muzeów, a spora część była przedmiotem naigrawania się w formie zniekształcania, rąbania na kawałki itp. Ponieważ akcja tego rodzaju była aprobowana przez centralne władze sowieckie, przeto nic dziwnego, że wszelkie protesty wierzących nie odnosiły żadnego skutku.

Obok akcji deptania uczuć religijnych, rząd sowiecki, w osobie swoich adeptów, począł systematycznie grabić

mienie cerkiewne, a zwłaszcza wszelkiego rodzaju kosztowności, stanowiące olbrzymie bogactwo klasztorne (ławry: Aleksandro-Newska w Petersburgu, Kijowsko-Pieczerska w Kijowie, Siergijewska pod Moskwą i wiele innych), zamykać wszelkie perjodyczne wydawnictwa cerkiewne, oraz mordować wyższych dostojników cerkiewnych. Tak np. w Permie został wyrzucony z pociągu i zabity biskup Andronik, w Saratowie zatopiony w Wołdze biskup Hermogen, w gubernji Irkuckiej spalono żywcem w odrynie biskupa Efrema. Lista tych mordów jest bardzo długa.

Co do zabójstw i mordów niższego duchowieństwa prawosławnego, to jakkolwiek zginęło ich bardzo wielu, jednakże liczba ich dotychczas nie jest wiadomą. Cała wina zamordowanych była ta, że byli duchownymi. W ten sposób np. w klasztorze Achtyrskim na Ukrainie rozstrzelano 26 zakonników itp.

Mówiąc o mordach i zabójstwach, nie można pominąć milczeniem akcji czerezwyczajki, która do swoich piwnic więziennych wtrąciła setki biskupów i tysiące duchownych oraz wiernych, poddając ich najwyszukańszym torturom.

Drugi okres stosunku władz sowieckich do cerkwi, rozpoczynający się od roku 1922, odznacza się tą cechą charakterystyczną, że sowiety, po rozwiązaniu problematów organizacyjnych i po zlikwidowaniu walk zewnętrznych, postanowiły włączyć kwestję religijną oficjalnie w orbitę swej polityki i w tym celu został stworzony ścisły system walki z cerkwią, system nader plastyczny i szeroko uwzględniający wymagania każdej chwili.

Wstępem do tej akcji była ostateczna likwidacja wszystkich świątyń domowych czyli kaplic, w ilości około 2.000, a następnie generalna grabież wszelkich kosztowności cerkiewnych ze złota, srebra, kamieni szlachetnych, aż włącznie do zabytków archeologicznych i rzeczy, przeznaczonych do użytku liturgicznego. Kolosalnej tej grabieży dokonali bolszewicy z „powodu“ olbrzymiej katastrofy głodowej, która wybuchła na terenie kilkunastu gubernji, leżą-

cych wzdłuż rzeki Wołgi, na terenach najurodzajniejszych — katastrofy, pochłaniającej dziesiątki miljonów ofiar ludzkich, a wywołanej przez rząd sowiecki w roku 1921, który w tym czasie dążył do przymusowego wprowadzenia ustroju komunistycznego w Rosji *).

Pod przykrywką konieczności niesienia pomocy dla głodnych, bolszewicy obrabowali wszystkie cerkwie ze wszelkich kosztowności, które poszły na cele wywrotowej akcji bolszewickiej, tak wewnątrz kraju, jak i zagranicą. Moment ten był dla organizacji cerkiewnej w Rosji poważnym bodźcem do zorganizowania się przeciwko napaściom bolszewickim, a pasmo nieustannych represji wpłynęło tylko na konsolidację jej szeregów, czego bolszewicy nie mogli lekceważyć.

Okoliczność ta zmusiła bolszewików do gorączkowego szukania sposobów rozbicia cerkwi prawosławnej, które dają się streścić w następujących wytycznych:

1. zróżniczkowania, zdezorganizowania i rozbicia cerkwi, jako organizacji, wywołania w jej środowisku walki, którаby osłabiła jej organizm, a nie wymagałaby od rządu sowieckiego większych wysiłków w stosowaniu zasady divide et impera;

2. dyskredytowania poszczególnych przedstawicieli hierarchji cerkiewnej nietylko w oczach duchowieństwa niższego, lecz również wobec narodu, aby w ten sposób wywołać brak zaufania wzajemnego w łonie cerkwi, powodując tem samem jej osłabienie;

3. organizowania wewnątrz cerkwi a zwłaszcza wśród duchowieństwa, sieci swoich agentów informacyjnych, aby wiedzieć o wszystkiem, co się dzieje w cerkwi i aby zbadać dokładnie, który z działaczy cerkiewnych posiada autorytet lub jest najenergiczniejszym, a tem samem

---

*) Sprawę głodu w sowietach wyczerpująco oświetla źródłowa praca Antoniego Starodworskiego p. t.: „Sowiecka Reforma Rolna“, Warszawa, 1925.

mógłby być najbardziej niebezpiecznym dla władzy sowieckiej;

4. pozyskania wśród duchowieństwa osób, któreby pod wpływem represji, bądź też z pobudek materjalnych, mogły być posłusznem narzędziem w rękach rządu i wiernie wykonywać jego dyrektywy oraz posunięcia w kwestjach religijnych;

5. ograniczania wszelkimi sposobami administracyjnymi organizacji cerkwi, związku jej centrali z placówkami lokalnemi i rujnowania organizacji cerkiewnej;

6. ograniczania wszelkimi sposobami pozycji prawnej i materjalnej duchowieństwa, celem zmniejszenia jego liczebności, a osobliwie popierania i zwiększania wypadków porzucania stanu duchownego i wyrzekania się cerkwi;

7. uniemożliwiania przygotowania nowych szeregów duchowieństwa, osobliwie przez niedopuszczanie tworzenia naukowych zakładów teologicznych;

8. przeszkadzania wychowaniu dzieci i młodzieży w duchu religijnym, wprowadzając kosztem religji propagandę antyreligijną;

9. krępowania prawnego wogóle tych wszystkich, którzy dla cerkwi lub duchowieństwa okazują jakąkolwiek pomoc i pozbawienia cerkwi wszelkich podstaw materjalnych;

10. ograniczania, przy pomocy prawa i wygórowanego systemu podatkowego, wszystkich organizacji religijnych i uniemożliwiania egzystencji organizacjom słabszym i mniejszym;

11. ograniczania i uniemożliwiania utrzymania stosunków pomiędzy wyższą hierarchją cerkiewną a djecezjami, aby tym sposobem pozbawić cerkiew wszelkiego kierownictwa;

12. pozbawiania ludu dzielnych, utalentowanych i energicznych pasterzy, kaznodziei i organizatorów przez aresztowanie ich i zsyłanie;

13. ograniczania propagandy religijnej we wszelkiej formie, jak np. przez prasę, kazania, uroczyste nabożeństwa, procesje, uroczystości itp.;

14. możliwego zmniejszania ilości świątyń, przez ich zamykanie pod różnymi pozorami;

15. likwidowania klasztorów, jako ośrodków wpływu religijnego i powagi moralnej;

16. burzenia wyjątkowo słynnych świątyń, celem niszczenia ich szczególnego wpływu na lud;

17. szerokiego organizowania propagandy antyreligijnej.

Wyliczone wyżej metody, jako okaz wielostronnej polityki sowieckiej w dziedzinie religijnej, z wielką energją i sprytem były realizowane, poczynając od roku 1922 i to nie od razu, lecz zależnie od okoliczności.

Jednakowymi pozostały tylko środki, przy pomocy których owe metody były stosowane i które już poznaliśmy, mianowicie: z jednej strony — oficjalny aparat administracyjny pod nazwą „oddziału kultów", a z drugiej strony — „trzeci oddział GPU" wraz z organami pozostałymi, każdy oczywiście w zakresie własnej kompetencji.

Pierwsze swe zadanie, t. j. dezorganizację cerkwi, władza sowiecka osiągnęła i aż do chwili obecnej realizuje przy pomocy 3-go oddziału GPU, drogą stwarzania sztucznych ugrupowań wewnątrz cerkwi, prowokowania ich do walki z cerkwią i okazywania im jak najszerszej pomocy. To też w maju r. 1922 została stworzona przez bolszewików t. zw. „żywa cerkiew", której prowodyrzy korzystali z opieki rządowej, podczas gdy prawosławni byli prześladowani. Idąc za wskazówkami prowodyrów „żywej cerkwi", rząd sowiecki aresztował przedstawicieli cerkwi prawosławnej, odbierał świątynie od prawosławnych, oddając je do użytku nowatorów. Stosując metody gróźb i represji, władze sowieckie zmuszały prawosławnych do przechodzenia na stronę „żywej cerkwi". Cały ten ruch nowatorski korzystał ze wszelkich przywilejów bolszewickich,

zwłaszcza pod względem możności odbywania zjazdów, stwarzania organów administracyjnych i prasowych, kursów teologicznych itd., podczas gdy prawosławni byli tego wszystkiego pozbawieni. Przekształcając się na „obnowleńców“, a później na „cerkiew synodalną“, „żywa cerkiew“ aż do chwili obecnej korzysta z różnych przywilejów i pomocy państwowej, dzięki czemu mogła posiąść 5 czasopism perjodycznych, 4 akademje duchowne, mnóstwo seminarjów, kancelarje djecezjalne, oraz mogła corocznie zwoływać zjazdy i sobory, tak okręgowe, jak i wszechrosyjskie.

Na Ukrainie w tymże roku 1922 rząd sowiecki powołał do życia i utrzymywał pseudocerkiewną organizację ukraińską, z biskupem Lipkowskim na czele, oddając do jej dyspozycji świątynie i popierając wszelkie zjazdy, wydawnictwa itp.

Po załamaniu się akcji „żywej cerkwi“, co miało miejsce w połowie roku 1923, władza sowiecka, będąc zmuszoną do wypuszczenia z więzienia patrjarchy Tichona, znowu poczęła szukać sposobów do wzniecenia walk w łonie cerkwi prawosławnej *).

Głównym zabiegiem bolszewików w tej sprawie było wprowadzenie na członka Synodu patrjarszego znanego leadera „żywej cerkwi“ Krasnickiego, który dla pozoru okazał nawet skruchę przed patrjarchą i symulował całkowity powrót na łono prawosławia. Wyszydza to plakat, którego fotografję zamieszczamy. Biskupom zaś prawosławnym, którzy zgodzili się na tego rodzaju koncepcję rządu sowieckiego, t. j. na wprowadzenie Krasnickiego do grona członków Synodu patrjarszego, GPU, czyli czerezwyczajka, obiecywała nietylko wolność, lecz nawet wszel-

---

*) Materjały, dotyczące procesu Tichona oraz akcji „Żywej Cerkwi“, podaje rozprawa Antoniego Starodworskiego p. t.: „Patrjarcha Tichon i załamanie się prawosławia w Rosji“ w II (czerwcowym) tomie „Naszej Przyszłości“, 1930, str. 107.

kie dobrodziejstwa świata doczesnego (np. metropolicie Cyrylowi).

W lecie roku 1925 GPU dokonuje znowu przegrupowania swoich najmitów na Ukrainie, a stawiając na ich czele biskupa Pawła Pogoriłko, popiera jego akcję w zakresie jak najszerszym.

W jesieni tegoż roku, po uprzedniem aresztowaniu metropolity Pawła, powstaje nowa grupa nowatorska pod nazwą „Tymczasowej Rady Cerkiewnej“, z arcybiskupem Jerzym Jackowskim na czele, któremu czynniki sowieckie pomagają w walce przeciwko metropolicie Sergjuszowi.

W roku 1926 GPU czyni delikatne zabiegi wykorzystania osoby metropolity Agafangeła, który w tym czasie wraca z zesłania, aby w ten sposób wywołać walkę pomiędzy powracającym metropolitą a metropolitą Sergjuszem o tron patrjarszy, którego Sergjusz był t. zw. „miestoblustitielem“, to znaczy „piastującym w zastępstwie godność patrjarchy“.

Wreszcie w roku 1927, dzięki specjalnym swym zabiegom, GPU wywołuje nowy przejaw walki wewnętrznej w cerkwi pomiędzy stronnikami patrjarchy i jego zastępcy, metropolity Piotra, a zwolennikami metropolity Sergjusza, który wywołał prawdziwą burzę, dając się uwikłać w sieci polityki GPU. Przebieg tej sprawy oświetlimy na miejscu dalszem, gdzie postaramy się wyjaśnić szczegóły tej walki wewnętrznej oraz rolę władzy sowieckiej w osobie GPU.

Drugie zadanie rządu sowieckiego w walce z cerkwią, t. j. dyskredytowanie duchowieństwa, jest też realizowane wszelkimi sposobami.

Już w roku 1922 bolszewicy wpadli na pomysł stwarzania szeregu sztucznych procesów, których treść w tym czasie polegała narazie na udowadnianiu, że duchowieństwo prawosławne na szeroką skalę uprawia chowanie kosztowności cerkiewnych. We wszystkich tego rodzaju procesach oskarżyciele państwowi usiłowali wykazać, że pociągane do odpowiedzialności sądowej duchowieństwo jest ele-

mentem chciwym, nielitościwym, pozbawionym nietylko wszelkich zasad, lecz nawet poczucia miłosierdzia chrześcijańskiego, elementem, który ukrywa kosztowności cerkiewne jedynie z materjalnych pobudek osobistych i nie chce oddać ich na ratunek dla umierającej z głodu ludności nad rzeką Wołgą. Zwłaszcza dla prasy sowieckiej tego rodzaju procesy były bodźcem dla fabrykowania insynuacji, które przybierały wprost legendarny charakter.

Trzeba jednak powiedzieć, że mimo wszelkich wysiłków, mimo stosowania podstępu wszelkiego rodzaju, atak bolszewicki w tej formie nie miał powodzenia, do tego stopnia, że mnóstwo wspomnianych procesów wywołało skutek wręcz odmienny. Znane procesy i sądy nad arcybiskupem Serafinem Ostroumowym w Orle, metropolitą Benjaminem w Petersburgu, biskupem Joanikijem w Jekaterynosławiu itd., wykazały tylko całą bezpodstawność oraz kłamstwo oskarżycieli państwowych, podnosząc w oczach ludu autorytet sądzonych.

Widząc ujemne wyniki akcji tego rodzaju, bolszewicy w krótkim czasie zaniechali praktykowanych dotychczas metod i przeszli na tory inne. Próbowali mianowicie, aby z każdego poszczególnego procesu sądowego, w którym osoba duchowna odgrywa jakąkolwiek rolę, stworzyć proces t. zw. „pokazatielnyj", czyli pouczający masy, celem dyskredytowania nietyle danej osoby, ile raczej całego duchowieństwa i całej cerkwi. Tak np. w roku 1925 w Niżnim Nowogrodzie, bolszewicy wytoczyli proces przeciwko biskupowi Leontemu Ustinowowi, posądzając go o zabójstwo swej kochanki. Mimo bezpodstawności takiego zarzutu, do którego użyto kłamstwa i wyraźnego naciągania faktów, biskup Leontij został skazany na 10 lat więzienia. Znowu w roku 1929 zainscenizowany został w Kijowie identyczny proces przeciwko zakonnikowi ławry kijowskiej Czechunowi, również w sprawie zabójstwa kochanki. Wreszcie w początkach roku bieżącego wytoczono oszczerczy proces przeciwko biskupowi Łukaszowi Jasieniewskie-

mu w Taszkiencie pod zarzutem namowy z jego strony do wykonania zabójstwa. Wszystkie więc tego rodzaju procesy są niczem więcej, jak tylko specjalnemi metodami rządu sowieckiego, mającemi na celu per fas et nefas dyskredytowanie religji i duchowieństwa.

Trzecie zadanie władz sowieckich, t. j. organizowanie szerokiej sieci agentów-informatorów, czyli t. zw. tajnych współpracowników, ze środowiska duchowieństwa i wiernych, jest realizowane przez GPU sposobem bardzo prostym. Upatrzoną do tego celu osobę GPU aresztuje i przez pewien okres czasu trzyma ją w więzieniu w warunkach najgorszych, aż do chwili, kiedy ta osoba oświadcza zgodę podpisania wymaganego przez czerezwyczajkę zobowiązania oraz wyrazi niekłamaną chęć do współpracy tajnej. Wypuszczając taką osobę z więzienia, bolszewicy nietylko dają jej wolność zupełną, lecz nawet płacą odpowiednie pobory, zwalniają od podatków itp., oraz wydają jej na ręce specjalny „list ochronny“ z adnotacją, że dana osoba jest „duchowną“ tylko ze względów formalnych. Posiadanie takiego „listu ochronnego“ uwalnia daną osobę duchowną od wszelkich ograniczeń prawnych, materjalnych, podatkowych i innych, związanych z jej godnością i czyni ją pełnoprawną na równi z innymi obywatelami ZSSR.

Dlatego też wielu duchownych i wiernych, zwłaszcza takich, którzy nie odznaczają się większą siłą moralną lub którzy są związani z ciężką walką o byt dla bardzo licznej nieraz rodziny i dla których więzienie lub zesłanie jest równoznaczne ze śmiercią, idą na służbę do bolszewików. Gdyby zaś tego rodzaju duchowny, który zgodził się na wszystkie warunki bolszewickie, w czemkolwiek nie wypełnił swoich zobowiązań, natychmiast zostaje aresztowany i niezwłocznie wysłany do najdalszych zakątków państwa rosyjskiego.

Patrząc na rezultat wysiłków bolszewickich, trzeba stwierdzić, że GPU zdołało stworzyć tym sposobem obszerną sieć agentów w środowisku duchowieństwa prawosław-

nego, dzięki czemu zawsze posiada najdokładniejsze dane o wszystkiem, co się dzieje wewnątrz cerkwi. Wypada nadmienić, że nazwiska agentów duchownych są tajemnicą dla wszystkich, a zdrada tej tajemnicy jest bardzo surowo karana. Stąd też powstają wielkie trudności w ujawnieniu zdrajców prawosławia, o których ogół prawosławnych dowiaduje się zazwyczaj ex post. Tak np. arcybiskup ufimski, Borys Szipulin, został aresztowany i przez długi czas przebywał w więzieniu GPU w Moskwie. Dopiero w roku 1924 podpisał „zobowiązanie", na podstawie którego został zwolniony i „wydelegowany" do Charkowa, gdzie nawet rządził djecezją. W roku 1927, po tranzlokowaniu do Tuły na stolicę arcybiskupią, gdy odmówił wykonywania złożonych czerezwyczajce zobowiązań, został natychmiast aresztowany i wysłany na wyspy Sołowieckie. Analogiczne zobowiązanie złożyli biskupi Aleksander Rajewski, Mikołaj Pirski i cały szereg innych. W roku 1923 podobne zobowiązanie wobec kijowskiego GPU złożył duchowny Sergjusz Dubilin, który w roku bieżącym z powodu odmowy wykonania zobowiązań został rozstrzelany przez GPU.

Przytoczyliśmy tutaj dla zilustrowania stosunków zaledwo kilka faktów, które są znane w Rosji prawie powszechnie. Ile zaś tego rodzaju rzeczy jest ukrytych przed społeczeństwem rosyjskiem, oraz ilu zdrajców i najmitów bolszewickich grasuje w środowisku prawosławnem, tego nikt nie potrafi sobie nawet wyobrazić.

Co do utrzymania oficjalnego kontaktu władz sowieckich z odpowiedzialnymi przedstawicielami cerkwi prawosławnej, zwłaszcza w rozwiązywaniu wszelkich kwestji życia cerkiewnego, trzeba zaznaczyć, że tendencja tego rodzaju pojawiła się dopiero w roku 1925, kiedy poraz pierwszy rząd sowiecki począł przez GPU narzucać cerkwi konieczność t. zw. „legalizacji", czyli „uznania" przez państwo jej organizacji administracyjnej.

Wprowadzenie systemu „legalizacji" jest tylko dowo-



Okaz plakatu, przedstawiającego „tryumf chrześcijaństwa", który został sporządzony w myśl instrukcji z r. 1924, nakazującej zohydzanie chrześcijaństwa, jako światopoglądu i narzędzia kapitalizmu. Instrukcja wymaga wywieszania tego plakatu łącznie z innymi, stanowiącymi całość seryjną, w miejscach publicznych, zwłaszcza w kątach izb, gdzie dawniej były zawieszane obrazy świętych. Plakat ten stanowi treść główną i podstawową t. zw. „ugołka bezbożnika" t. j. kąta bezbożnika.



Plakat ten p. t. „Chrystus zmartwychwstał" jest seryjnie związany z poprzednim, a zadaniem jego jest zohydzenie Zmartwychwstania Pańskiego, jako podstawowego dogmatu chrześcijańskiego.



Plakat, zohydzający pasterską działalność duchowieństwa prawosławnego (karykaturalne wyszydzenie przykazania Chrystusa: „Paś owce moje").



Pod tytułem „Trójca niepodzielna" plakat przedstawia sojusz ideologiczny patrjarchy Tichona (w środku) z przedstawicielem odłamu t. zw. „Żywej Cerkwi" Krasnickim (na lewo), oraz z zamożnym elementem chłopskim, zwanym „Kułakiem" (na prawo). Plakat ten wydany został celem osłabienia wpływów patrjarchy Tichona i ośmieszenia nowatorów religijnych, którzy, oglądając się na Tichona, bali się całkowicie oddać na usługi bolszewików.

dem zmiany taktyki rządu sowieckiego, który przekonał się na podstawie doświadczenia z lat ubiegłych, że otwarta walka z cerkwią nie prowadzi do celu. Wynaleziono tedy system „legalizacji“, który polega na tem, że kierownicy cerkwi mają przyjąć szereg dyskretnych zobowiązań, wzamian za co rząd sowiecki obiecuje zezwolić na istnienie administracyjnej organizacji cerkiewnej. Wspomniane zobowiązania zmierzają do tego, aby:

1) spowodować wydanie takiego aktu deklaracyjnego, któryby wyrażał całkowitą lojalność cerkwi względem władzy sowieckiej, oczywiście w formie, zredagowanej przez rząd lub przez cerkiew, lecz po uprzedniem zaakceptowaniu treści przez rząd,

2) cerkiew potępiła i usunęła ze swego grona tych działaczy cerkiewnych, którzy przez władzę sowiecką są uznani za szkodliwych,

3) cerkiew rosyjska zerwała wszelkie stosunki z cerkiewnemi organizacjami zagranicznemi i potępiła ich wystąpienia przeciwko sowietom,

4) cerkiew stale uzgadniała swoją akcję administracyjną z odpowiednimi przedstawicielami władzy sowieckiej, t. j. z GPU, osobliwie w sprawie nominacji, tranzlokaty i zwalniania duchowieństwa wyższego i niższego.

Przyjmując na siebie takie zobowiązania, organizacja cerkiewna oddawała się faktycznie, w zakresie szeregu najważniejszych spraw swego życia, nietylko pod kontrolę, lecz i pod wpływy rządu, stając się do pewnego stopnia „cerkwią rządową“, a otrzymując za to pewne prawa administracyjne i względną nietykalność swoich działaczy.

Historja cerkwi prawosławnej w latach ostatnich ujawniła niezbicie, że t. zw. „obnowlenczestwo“, czyli nowatorstwo, we wszelkich jego formach, poczynając od cerkwi żywej, a kończąc na „Synodzie“, zarówno jak i inne powstające ugrupowania cerkiewne („Tymczasowa Wyższa Rada Cerkiewna“, „Autokefalja Białoruska“, „Łubieński Sobór Biskupi“ i t. d.), przyjmowały najpokorniej podykto-

wane przez rząd warunki, stając się posłusznem narzędziem w jego rękach i biorąc na siebie zobowiązanie do walki z prawosławiem.

Co do stanowiska cerkwi prawosławnej, to naczelna jej hierarchja stała aż do miesiąca kwietnia roku 1927 na stanowisku względnej niezależności cerkwi od państwa sowieckiego, znosząc nawet prześladowanie, aby nie oddawać cerkwi pod kontrolę, nadzór i wpływy państwa. Jednakże w roku 1927, czyli z chwilą zwolnienia z więzienia metropolity Sergjusza i wydania przez niego, jak również i przez metropolitę Michała na Ukrainie, słynnej „deklaracji", wyższy zarząd cerkwi prawosławnej, w osobach wyżej wspomnianych metropolitów, przeszedł na tory t. zw. „kontaktu" z władzą sowiecką.

Ponieważ niewtajemniczonym w skomplikowany bieg wypadków rosyjskich z czasów ostatnich wyda się dziwnem, a nawet niezrozumiałem, zjawisko „legalizacji", obok którego wiele się mówi również o „nielegalności", przeto wyjaśnimy tutaj arkana zasadniczej anomalji sowieckiej.

Jeżeli będziemy rozpatrywać wyraz „legalizacja" na tle prawodawstwa sowieckiego w dziedzinie religijnej, już a priori musimy zaznaczyć, że ten wyraz jest tylko przykrywką innych tendencji i sprzeczności. Z litery i ducha prawa sowieckiego wynika bez komentarzy, że cerkiew została rozdzielona od państwa jedynie w tym celu, aby nie otrzymała od niego żadnej sankcji, żadnego uznania lub nieuznania. Tymczasem w rzeczywistości jest co innego. Życie cerkiewne z okresu rewolucji jaskrawo świadczy o tem, że prawodawstwo sowieckie w dziedzinie religijnej jest fikcją i że głównem zadaniem władzy sowieckiej jest stała dążność nietylko do wtrącania się do wewnętrznego życia cerkiewnego, lecz nawet reglamentowania go, przez skierowywanie życia cerkiewnego w pożądanym dla interesów sowieckich kierunku.

Powstaje teraz pytanie, co to są „interesy" sowieckie

i czego rząd sowiecki chce od cerkwi, zwłaszcza, gdy sam jawnie uważa siebie jako władzę ateistyczną?

Otóż „interesy“, a raczej dążności rządu sowieckiego są prawie wyłącznie skierowane do tego, aby nietylko drogą bezpośredniego ucisku, lecz i przez akcję rozkładową wewnątrz cerkwi spowodować jej osłabienie, którego epilogiem ma być całkowita jej likwidacja. Wyraźnym dowodem tego rodzaju polityki sowieckiej jest cały przebieg stosunków sowiecko-cerkiewnych. W początkach bowiem rewolucji polityka sowiecka organizowała jawną i bezpośrednią walkę z cerkwią, jako całością, lecz widząc, że taka metoda wywołuje skutki wręcz odmienne, odrazu przechodzi na tory inne. Po nieudanych próbach bolszewicy obierają sobie system opanowania naczelnego kierownictwa cerkwi i tylko tę drogę uważają za właściwą do osiągnięcia powziętych zamiarów.

Zastosowanie tej metody walki z cerkwią spowodowało taki stan rzeczy, że pewne ugrupowania cerkiewne korzystały z całkowitej wolności, inne znowu zostały w swej działalności całkowicie ograniczone. Sztuczne to zjawisko nierówności, jak się okazało, wywołało u wielu prawosławnych nastrój ustępliwości dla władzy sowieckiej, aby tą drogą otrzymać dla siebie powabne przywileje i prawa wolnościowe.

Gdy więc sowiety proklamowały hasło „legalizacji“, kierując się nastrojami, część prawosławnych sądziła naiwnie, że ta chwila jest właśnie tym momentem, w którym będą nadane owe „prawa“, nie przypuszczając nawet, iż mogą to być rzeczy nominalne i pozorne.

Jasnem jest tedy, że tu właśnie była zastawiona pułapka sowiecka na łatwowiernych.

„Legalizacja“ polegała na tem, że organizacja cerkiewna, a raczej jej kierownictwo, zawierało cichą umowę z rządem sowieckim, biorąc na siebie szereg różnych zobowiązań. Jeśli chodzi o zdobycze w postaci otrzymanych praw na podstawie „legalizacji“, to okazuje się, jak stwier-

dza doświadczenie, że „zdobyte“ prawa nigdy nie wychodziły poza granice tych, jakie były zawarte w prawodawstwie sowieckiem, czyli inaczej mówiąc, cerkiew faktycznie niczego nie otrzymywała. Natomiast zobowiązania były zbyt wielkie, gdyż cerkiew dopuszczała i przyznawała rządowi sowieckiemu prawo regulowania swego życia wewnętrznego, to znaczy, że faktycznie wstępowała w takie stosunki z rządem, które przypominają stan cerkwi państwowej wraz ze wszelkimi przywilejami państwa.

Jasną jest rzeczą, że władza sowiecka, z chwilą zdobycia sobie prawa wglądu do wewnętrznego życia cerkiewnego, nie może go wykorzystać inaczej, jak tylko w kierunku rujnowania cerkwi. Dlatego przyznanie przez cerkiew tych praw dla władzy sowieckiej jest równoznaczne z samobójstwem. Aczkolwiek już w roku 1927 w ten sposób określili „legalizację“ niektórzy przedstawiciele prawosławia z metropolitą Arsenjuszem na czele, to jednak olbrzymia ich większość, na podstawie złudzeń, była zupełnie odmiennego zdania i raczej myślała, że w tym wypadku można „pieriechitrit“ czyli oszukać, a raczej „nabrać“ władzę sowiecką przy okazji „legalizacji“.

Wszystkie wyrachowania tak myślących prawosławnych prowadziły do tego, że otrzymując prawo na istnienie legalnej organizacji cerkiewnej, t. j. organizacji, przyjmującej podyktowane przez bolszewików warunki, potrafią oddziałać na wpływy władzy sowieckiej, dążącej do ujarzmienia życia cerkiewnego i że w ten sposób uda się im zabezpieczyć cerkiew przed niszczycielskiem działaniem bolszewickiem.

Tak właśnie myślał metropolita Sergjusz, a razem z nim działacze autokefalji ukraińskiej — Lipkowski i szereg innych.

Wyszło jednakże inaczej, bo gdy wspomniane powyżej kierownicze czynniki cerkiewne, idąc na lep „legalizacji“, przyjęły wszelkie zobowiązania, wynikające z istoty „legalizacji“, to zmuszone były potem nie myśleć o cerkwi

i jej losach, lecz niewolniczo, aż do ostatniej litery, wypełniać wszystkie te zobowiązania.

Wydając „deklarację“ czyli zobowiązanie, wynikające z legalizacji, metropolita Sergjusz, w mniemaniu, że nie posiada ona większego znaczenia praktycznego, już po upływie roku począł „rozumieć“ zjawisko pojawienia się w świątyniach władzy, która prześladuje wiarę, a po upływie dwuch i pół lat zmuszony był w swych słynnych „wywiadach“ wypowiedzieć wielkie kłamstwo i oszczerstwo na cerkiew i na siebie, zerwać z cerkwi wieniec męczeństwa i podeptać go w błocie bezbożności. Za kilka lat metropolita Sergjusz będzie zmuszony zapewne zrobić szereg innych kroków, które, rzecz jasna, doprowadzą cerkiew w niedalekiej przyszłości do całkowitej zagłady.

Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć takie skutki, gdyż przykład autokefalji na Ukrainie jest bardzo pouczającym. Kiedy w roku 1921/1922 została zorganizowana wspomniana autokefalja na podstawie zapewnień władzy sowieckiej, że ją podtrzyma i kiedy wskutek takiego paktu przyjęła cerkiew tamtejsza wszystkie warunki, podyktowane przez sowiety i otrzymała pomoc odpowiednią, lecz pozostającą istotnie w związku z realizowaniem akcji zwalczania prawosławia, leaderzy autokefalji ukraińskiej, z metropolitą Lipkowskim na czele, byli przekonani, że udało się im „nabrać“ bolszewików. Aczkolwiek wypełniali wszelkie żądania władzy sowieckiej we wszelkich kwestjach codziennego życia cerkiewnego i stwarzali ośrodki kierownicze pod wpływem sowieckim, sądzili jednak, że sprawę nacjonalistyczno-religijną rozwiązują na własną korzyść i bez żadnych przeszkód.

Nadszedł jednakże czas, kiedy autokefaliści zmuszeni byli porzucić swoich wybitnych wodzów. Na żądanie władz sowieckich w roku 1925 autokefaliści wyrzekli się swoich biskupów Jareszczenki, Piwowarowa i innych. W roku

1927 zostali pozbawieni Lipkowskiego, Moroza i wogóle tych wszystkich, którzy byli duszą ich organizacji. Nie zważając na tak dotkliwe ciosy, bez komentarzy wyjaśniające celowość posunięć rządu sowieckiego, autokefaliści ukraińscy, jakby z oczami zamkniętemi, szli dalej drogą kompromisu, myśląc, że ich sprawa stoi na dobrej drodze. Ale w styczniu roku 1930, na zwołanym przez nich soborze, ujawniło się zjawisko nadzwyczajne. Po dziewięcioletniem istnieniu pod pozornym niby protektoratem rządu sowieckiego, autokefaliści ukraińscy na tym soborze, zamiast mówienia o rozwoju swej organizacji, zdecydowali... zlikwidować siebie — „samouprazdniliś". A więc sami autokefaliści wydali wyrok na całą swą organizację cerkiewną, czyli inaczej mówiąc — skończyli samobójstwem.

Stało się to, jak widzimy, po upływie dziewięciu lat niby twórczej pracy, po dziewięciu latach „podtrzymywania" organizacji przez rząd sowiecki. W rezultacie haniebna porażka i pogrom! I niema się czemu tutaj dziwić, skoro władza sowiecka, maskując swą akcję burzycielską fikcyjnem popieraniem danej organizacji cerkiewnej, całą swoją robotę kierowała do jedynego celu, a mianowicie do upadku wiary i doboru odpowiednich do tej akcji ludzi, zdolnych na jej rozkaz wypełnić wszystko, aż włącznie do samounicestwienia cerkwi.

Oczywiście, iż nie inaczej należy rozumieć i tę grę, którą sowiety prowadzą z cerkwią prawosławną w osobie metropolity Sergjusza, jako „miestoblustitiela", czyli zastępcy patrjarchy prawosławnego. Stopniowo i nieznacznie przygotowują bolszewicy pogrom cerkwi z wewnątrz— i na tem właśnie polega istotne znaczenie metody „legalizacji". To też pogrom jest przygotowany od wewnątrz rękami tych, którym obecnie z woli GPU metropolita Sergjusz oddaje w ręce najwyższe stanowiska cerkiewne.

Wśród innych metod walki z cerkwią, ograniczają sowiety na szeroką skalę działalność administracyjnego aparatu cerkiewnego.

W roku 1923 zostały skasowane wszelkie instytucje djecezjalne i dekanalne, pomijając już sam patrjarchat. Istnienie bowiem administracji cerkiewnej było uważane przez bolszewików za rzecz nielegalną. Wskutek tego biskupi prawosławni byli zmuszeni składać deklaracje w GPU, że nie wyjadą ze swych miejsc pobytu i tym sposobem rząd sowiecki uniemożliwił im odbywanie wizytacji pasterskich. Wszelkiego rodzaju zarządzenia biskupów w postaci listów pasterskich, cyrkularzy i t. p. były kwalifikowane do rzędu przestępstw państwowych i kontrrewolucyjnych. Wreszcie biskupi prawosławni bez żadnych powodów byli poprostu wysiedlani ze swoich djecezji.

Do roku 1926 rząd sowiecki praktykował wysyłanie biskupów do większych centrów, jak np. do Charkowa i Moskwy, gdzie nadzór nad nimi nie był związany z żadnemi trudnościami. Dzięki temu djecezje zostały osierocone i porzucone na pastwę losu, ponieważ utrzymanie stosunków wymagało poważnych środków, zwłaszcza, gdy przestrzenie były zbyt wielkie. Gdy zaś bolszewicy stwierdzili, że deportowani do miast centralnych biskupi znajdują jednak sposoby utrzymywania stosunków ze swemi djecezjami, to od roku 1926 rząd sowiecki począł ich wysyłać do najdalszych zakątków Rosji.

Od biskupów, którzy zostawali na miejscu, GPU odbierało deklaracje, że nie będą kierowali djecezją, a nawet, że nie będą wtrącać się do spraw cerkiewnych, a w razie przeciwnym grozić im będzie zesłanie.

W taki więc sposób dokonywano i nadal się dokonuje rozbijania administracji cerkiewnej.

Obok akcji powyższej, rząd sowiecki na szeroką skalę uprawia ograniczanie bytu duchowieństwa pod względem prawnym i materjalnym. Aby stworzyć dla duchowieństwa położenie bez wyjścia, rząd sowiecki pozbawił je praw wyborczych i przyrównał do elementu niepracującego, co spowodowało szereg następstw w traktowaniu podatkowem. Podatek dochodowy nakładany jest na duchowień-

stwo w rozmiarach największych (do 10.000 rubli rocznie). Tak zwane „samoopodatkowanie“, czyli „dobrowolne“ opodatkowanie się ludności na potrzeby miejscowe, zostaje wymierzane i duchowieństwu, które musi płacić jednorazowo sumy, grubo przewyższające jego możność płatniczą (100—200 rubli jednorazowo). Duchowieństwo wiejskie, bez względu na to, że według prawa sowieckiego nie może trudnić się rolnictwem, przemysłem, rzemiosłem i t. p., jest również opodatkowane w tym zakresie, osobliwie daniną w naturze, w postaci ziarna, chleba, masła, wełny i t.p.

Oprócz tego, w roku 1928 zostało wydane prawo, w myśl którego wszystkie osoby duchowne winny wykupić za olbrzymią cenę patent, dający im prawo spełniania posług religijnych i przytem są zmuszone do płacenia wszelkich związanych z nim podatków.

W sprawie komornego, duchowieństwo, jako według praw sowieckich element niepracujący, musi płacić 6 rubli od sążnia kwadratowego, czyli około 18 do 24 rb. za najmniejszy pokój. Odpowiednio wyśrubowane ceny musi płacić duchowieństwo za wodociągi, kanalizację oraz wszelkie inne urządzenia.

W roku 1929, z chwilą opublikowania prawa o wysiedleniu z domów państwowych (wszystkie domy w Rosji są upaństwowione) elementu niepracującego, duchowieństwo było zmuszone przenieść się na odległe przedmieścia, do takich zabudowań, które nie zostały objęte aktem nacjonalizacyjnym. Znalezienie mieszkania, zwłaszcza przy olbrzymim kryzysie mieszkaniowym w miastach, nie jest rzeczą łatwą, tembardziej, że sprawa ta wymaga poważnych sum na pokrycie odstępnego, których duchowieństwo nie posiada. Jeszcze gorzej przedstawia się ta sprawa na wsi, zwłaszcza tam, gdzie jest przeprowadzana kolektywizacja. Tam duchowieństwo jest wprost wyrzucane ze wsi, bez prawa i nadziei otrzymania dachu nad głową. Warto przytoczyć tu szczegół charakterystyczny, że i metropolita Sergjusz, współdziałający z bolszewikami, został w stycz-

niu 1930 roku wysiedlony ze swego mieszkania w Moskwie. We wsi Gruszki wysiedlono duchownego w przeciągu 24 godzin, a w wiosce Średniaja Carica nietylko wysiedlono duchownych w sposób gwałtowny, lecz nawet mienie ich zostało skonfiskowane.

Problem aprowizacyjny wskutek zaprowadzonego po miastach systemu kartkowego jest kwestją tragiczną dla duchowieństwa. Pozbawione kartek żywnościowych, zmuszone jest duchowieństwo kupować produkty i artykuły pierwszej potrzeby na rynku prywatnym, gdzie ceny są niemożliwe. Ale i to źródło już zanika wskutek stopniowej likwidacji handlu prywatnego — co oczywiście stwarza dla duchowieństwa perspektywę prawdziwego głodu. Niezliczone rodzaje wewnętrznych pożyczek państwowych, z całą bezwzględnością praktykowane przez rząd sowiecki, przymusowo są narzucane osobom duchownym w dość poważnej wysokości. Odmowa nabycia obligacji stwarza perspektywę rozmaitych represji lub dowolnego zwiększania wszelkiego rodzaju podatków.

Wreszcie po miastach szerokie zastosowanie znajduje system pracy przymusowej dla elementu „niepracującego" na korzyść rzekomych potrzeb ogólnych. I w tym wypadku duchowieństwo prawosławne jest ofiarą, bez względu bowiem na wiek i stan zdrowia, zmuszają je bolszewicy do pracy najcięższej, której niewykonanie powoduje wymierzenie odpowiedniej kompensaty pieniężnej. Tak np. we wsi Jemaszówka, w gubernji Ufimskiej, 65-letni duchowny został zmuszony do rąbania lasu podczas zimy. W wiosce Łuk, okręgu Wołżskiego, proboszczowi miejscowemu kazali wyrąbać, popiłować i dostarczyć do wsi 200 sążni drzewa. Co do duchowieństwa, które nie jest w stanie uiścić żądanych podatków w terminie, stosowana jest licytacja mienia bez żadnej decyzji sądowej. Okoliczności powyższe dają bolszewikom okazję do licytowania całego mienia włącznie do obuwia, odzienia i rzeczy użytku po-

wszedniego, które nawet prawo sowieckie zabrania licytować.

Dzieci duchowieństwa są pozbawione wszelkich praw właśnie z tytułu swego pochodzenia. Nie mogą korzystać ze szkół, a tembardziej z wyższych zakładów naukowych, a te, które z jakichś powodów przypadkowych pobierały wykształcenie w szkołach, są wydalane. Dzieci duchownych, osiągające pełnoletniość, wyłączone są od rejestracji na giełdach pracy lub ze związków zawodowych, będąc w ten sposób pozbawionemi jakiejkolwiek pracy i utrzymania.

Nie inaczej stoi sprawa w dziedzinie korzystania z pomocy lekarskiej w państwowych instytucjach medycznych, poliklinikach, szpitalach, gdzie wszędzie odmawiają pomocy duchowieństwu.

O d s t y c z n i a r o k u b i e ż. w s z y s t k i e u r z ę d y p o c z t o w e, t e l e g r a f i c z n e i t e l e f o n i c z n e o d m a w i a j ą d u c h o w i e ń s t w u m o ż n o ś c i k o r z y s t a n i a z t y c h i n s t y t u c j i i z t e g o p o w o d u l i s t y, p r z e k a z y, p o s y ł k i, t e l e g r a m y, n i e s ą o d d u c h o w i e ń s t w a p r z y j m o w a n e a n i m u d o s t a r c z a n e ! W związku z tem wprost tragiczne staje się położenie zwłaszcza duchowieństwa zesłanego, które żyło wyłącznie z tej pomocy, jaką otrzymywało od najbliższych i przyjaciół w postaci przesyłek i przekazów.

Wszystkie te środki i sposoby, stawiające duchowieństwo poza prawem, mają wyłącznie na celu jego zniszczenie. Nic też dziwnego, że duchowni, osobliwie obarczeni liczną rodziną, wpadając w ostatnią nędzę, porzucają z rozpaczy, dla ratowania rodziny i siebie, stan duchowny, publicznie wyrzekają się wiary, cerkwi i t. d. Wszystkie tego rodzaju fakty władza sowiecka chętnie publikuje w prasie. Nie trzeba nawet mówić o tem, że każdy duchowny codziennie na ulicach, w tramwajach, pociągach i t. d., słowem na wszystkich miejscach publicznych, jest

ośmieszany, wyszydzany i obrażany, w myśl haseł, rzucanych w prasie i na plakatach, licznie rozlepianych na ulicach.

W takich warunkach nie może być mowy o przygotowaniu nowych kadrów duchowieństwa w Rosji. Już w roku 1923 pozamykano wszystkie zakłady teologiczne i od tego czasu, bez względu na niezliczone zabiegi i wbrew dekretowi rozłączenia cerkwi od państwa, otwarcie takich zakładów zostało uniemożliwionem. Stworzone przez obnowleńców, t. j. nowatorów, w r. 1925—27 szkoły teologiczne zostały w roku 1927 zamknięte.

Rząd sowiecki, bacznie obserwując sprawę kursów, szkół i zakładów teologicznych i przypisując wielkie znaczenie „problematowi kadrów", prowadzi dość oryginalną statystykę duchowieństwa, dzieląc je na szereg grup wiekowych. Zgodnie z oficjalną statystyką „Oddziału kultów" 50% duchowieństwa należy do kategorji, przekraczającej wiek lat 50-ciu, 35% jest w wieku od 40—50 lat, 20% w wieku 30—40 lat i zaledwie 5% w wieku do lat 30.

Zdaniem autorów statystyki, po upływie 20 lat, t. j. po minięciu 4 pięcioleci (piatiletka — okres planu gospodarczego), ilość duchowieństwa winna się zmniejszyć o 50%, przyczem grupy starsze i większe będą wymierały, a generacja nowsza będzie stanowiła bardzo nikły procent. Z tego wynika, że użycie wszelkich sposobów do zapobieżenia powstawaniu „nowych kadrów" duchowieństwa jest bezpośredniem zadaniem rządu sowieckiego.

W sprawie wychowania religijnego polityka sowiecka jest identyczna z poprzednią. Według prawa sowieckiego wychowywanie publiczne w duchu religijnym dzieci do lat 18 jest wzbronione. Aby zaś mieć stałą kontrolę nad domowem wychowaniem dzieci i wogóle przeszkadzać możliwości tajnego wychowywania religijnego pod pretekstem nauki prywatnej, prawo sowieckie zabrania wogóle osobom prywatnym uczyć dzieci jakiejkolwiek nauki w ilości, przekraczającej

3 uczniów. Wszelkie grupy dziecięce, których liczebność wykracza poza 3 dzieci, winne być zarejestrowane w oddziałach komisarjatu oświaty i podlegają jego kontroli. Nauczyciele i nauczycielki niezwłocznie są wydalani z posad, jeśli zdradzą przekonania religijne. Zawodowy zaś związek pracowników oświatowych ogłosił się za organizację bezbożną. Propaganda antyreligijna i antyreligijny charakter wszelkich nauk w szkole są obecnie obowiązującą zasadą i podstawą oświaty sowieckiej.

Metody represyjne przeciwko duchowieństwu stosowane są również i do tych obywateli, którzy w ten czy inny sposób okazują pomoc dla cerkwi. W miejscowościach wiejskich tych obywateli, którzy dają mieszkanie dla duchowieństwa, władza opodatkowuje bardzo wysoko; biorących zaś udział w chórach cerkiewnych usuwają ze związków zawodowych, osobliwie artystów. Członkowie rad parafjalnych, starostowie cerkiewni, psałterzyści, jakkolwiek według prawa sowieckiego nie należą do duchowieństwa, są jednakże traktowani na równi z duchowieństwem i zaliczeni do elementu niepracującego, a zatem pozbawieni są praw wyborczych i muszą płacić podatki zwiększone. Każdy, kto bierze udział w organizacjach parafjalnych, jest zwolniony z posady rządowej, wykluczany ze związków zawodowych i t. d. Tak np. w ostatnim czasie zostały wydalone siostry miłosierdzia ze służby w szpitalu melitopolskim za to, że brały udział w chórze cerkiewnym i w zebraniach religijnych, oraz że podtrzymywały miejscowego proboszcza. Podobny los spotkał intendenta tegoż szpitala tylko za to, że w dnie świąt cerkiewnych dawał chorym lepsze potrawy. Takich przykładów można przytoczyć mnóstwo; stwierdzają one tylko nieugięte stanowisko rządu sowieckiego w stosowaniu najostrzejszych środków walki ze wszystkimi obywatelami, pomagającymi duchowieństwu lub broniącymi sprawy religijnej — aż do zesyłania ich na wyspy Sołowieckie.

W stosunku do zrzeszeń religijnych stosowane są

wszystkie metody ustawodawcze i podatkowe, mogące powodować ich likwidację całkowitą. Przedewszystkiem prawo z roku 1918, przewidujące wystarczalność 20 osób do założenia zrzeszenia religijnego p. n. „grupy wierzących“ (zamiast parafji), było zmienione w r. 1925 na nowe, wymagające już 50 ludzi. Zrobiono to jedynie dlatego, aby uniemożliwić istnienie parafji małych, zwłaszcza tam, gdzie wszyscy pracują w urzędach państwowych. Ponieważ żaden urzędnik nie zechce poświęcić swego stanowiska dla cerkwi, przeto zwiększenie ilości osób, potrzebnych do założenia parafji, jest środkiem celowym i zmierzającym do niszczenia życia organizacyjnego cerkwi.

Do pomysłowych zabiegów władz sowieckich w walce z cerkwią należy też zaliczyć stosowaną w ostatnich latach, skomplikowaną metodę „perjodycznego przerejestrowywania“ istniejących organizacji cerkiewnych, połączonego z opłacaniem wysokich stawek stemplowych. Pod tym względem osobliwem jest prawo z dn. 8 kwietnia 1929 r., wymagające, aby organizacje religijne, reflektujące na dalsze swe istnienie, zarejestrowały się na nowo do dnia 1 maja 1930 roku, pod rygorem rozwiązania. W danym wypadku chodziło bolszewikom o stworzenie trudności zwłaszcza dla parafij wiejskich, które słabo orjentując się w ustawodawstwie sowieckiem, najczęściej przeoczają terminy i wskutek tego są likwidowane.

Powstawanie organizacji nowych jest połączone z przeszkodami i trudnościami niepokonalnemi. Władze poprostu odmawiają rejestrowania nowych gmin. Z każdym rokiem podatki są dla gmin cerkiewnych zwiększane. Dzierżawa świątyń i mienia religijnego, która dawniej była bezpłatną, obecnie już jest płatną. Obowiązkowa asekuracja świątyni i mienia jest podniesiona do norm najwyższych. z powodu, że ocena wartości świątyń jest dokonywana celowo przez władze lokalne, a następnie, że podatek asekuracyjny zwiększa się z każdym rokiem. Przeciętnie biorąc, oszacowania świątyń w r. 1929 wzrosły

podwójnie, a płaca za asekuracje, stanowiąca 1 rb. pro mille w r. 1929, w chwili obecnej stanowi już 9 rb. To też np. za asekurację najmniejszej świątyni trzeba płacić rocznie do 3.000 rb. Oszacowanie zaś mienia cerkiewnego, jako podlegającego asekuracji, jest rzeczą zupełnie dowolną; np. ocena prostego obrazu wynosi nieraz 1000 rb.!

Oprócz wydatków na asekurację i dzierżawę, gmina cerkiewna musi opłacać asekurację śpiewaków, płacić 5% od wszelkich dochodów na korzyść t. zw. „honorarjum autorskiego“, t. j. za wykonanie w świątyni utworów, należących do kompozytorów. Również muszą gminy płacić podatek jednorazowy na industrjalizację, kolektywizację, na potrzeby miejscowe. Wreszcie w roku 1929 wprowadzono typ specjalnego patentu na sprzedawanie świec, proświru (chleba mszalnego) i t. d., przyczem taki patent w wioskach kosztuje do 1000 rb. na miesiąc. Tak olbrzymie i niepomierne brzemię podatkowe powoduje, że wiele gmin cerkiewnych nietylko wpada w nędzę, lecz bardzo często się likwiduje.

Niezależnie od powyższego, każda gmina, dzierżawiąca świątynię, winna dokonać w niej remontu w myśl zarządzenia władz sowieckich. Takie remonty, w większej części kapitalne, wymagają zazwyczaj środków olbrzymich, których gminy zebrać nie mogą i wskutek tego są likwidowane, a świątynie zamykane.

Usuwanie biskupów i duchowieństwa drogą aresztów i zesłania stanowi jedną z ulubionych metod walki sowietów z cerkwią. Trzeba stwierdzić, że w latach ostatnich 196 biskupów zostało aresztowanych lub zesłanych i że ta cyfra nie jest bynajmniej wyczerpującą.

Co do duchowieństwa niższego, to jest rzeczą niemożliwą podać chociażby w przybliżeniu cyfrę aresztowanych i zesłanych w całej Rosji. Cyfra ta jest olbrzymia. Wystarczy, jeśli wskażemy na fakt, że w pewnych okręgach niema już obecnie żadnego duchownego, np. w powiecie

Czembarskim, w gub. Penzeńskiej. W innych znowu do 80% przebywa w więzieniu (okręg Kijowski).

Podczas jednej tylko nocy, 15 kwietnia 1927, w 18 miastach Ukrainy aresztowano 85-ciu duchownych. W Moskwie w jesieni roku 1929 zesłano 60 duchownych. W Petersburgu podczas pewnej nocy listopadowej w roku 1929 aresztowano 12 duchownych. Wogóle liczba zesłanych jest olbrzymia, a sam wykaz nazwisk wymagałby licznych tomów.

Ograniczenie propagandy religijnej, wbrew prawu sowieckiemu, zapewniającemu jej wolność, stanowi również jeden z systemów walki sowietów z religją. Pomijając to, że na terenie ZSSR nie wydaje się żadnego czasopisma religijnego i że już w roku 1927 zostały zawieszone wszelkie wydawnictwa nowatorskie, władze sowieckie surowo zakazały drukowania ksiąg religijnych, teologicznych, Ewangelji, modlitewników i t. p. Mało tego — księgi wydrukowane i złożone na składach w kilku ławrach, zostały przez rząd sowiecki częściowo zniszczone, a częściowo sprzedane na makulaturę, z której robiono torebki do cukru, kaszy i t. p.

Księgi o charakterze religijnym, a nawet o treści wogóle idealistycznej, zostały wycofane ze wszystkich bibljotek i zniszczone. Za szerzenie literatury religijnej jest wyznaczona kara, jak za przestępstwo kryminalne lub kontrrewolucyjne. Tak np. niejaki Wołkow, zakonnik, został skazany na 4 lata więzienia za nawoływanie do pokuty w rozdawanych przez niego odezwach. Zakazane są również procesje religijne i pogrzebowe. Zabronione jest używanie dzwonów i dlatego w całej Rosji zdejmowane są dzwony ze wszystkich świątyń.

Nadzwyczajne ograniczenia są wydane przez sowiety dla duchowieństwa, odprawiającego nabożeństwa. Zabraniane są nabożeństwa nocne. Biskupi i kapłani danego miasta, w myśl prawa z dn. 21 września 1928 r., aby módz odprawić nabożeństwa, winni zarejestrować się w miejsco-

wym „oddziale kultu“. Jeśli znowu który z duchownych przyjeżdża do miejsca innego, aby tam odbyć nabożeństwo, winien uprzednio wymeldować się z poprzedniego „oddziału kultu“ i zameldować się w nowym. Za pominięcie tego prawa grozi kara 100 rb. lub aresztowanie.

Zrozumiałą jest rzeczą, iż tego rodzaju ciągłe „rejestracje i meldunki“ całkowicie utrudniają uroczyste celebry na wsi. Duchowny, aby pojechać do wsi sąsiedniej, najpierw musi jechać do miasta, aby się tam zameldować w urzędzie, potem jechać na wieś, odbyć nabożeństwo, i znowu jechać do tegoż samego miasta, aby się wymeldować. Ponieważ takie przejazdy połączone są z wielkiemi trudnościami i kosztami, przeto duchowieństwo odmawia się od nich.

Tak samo utrudnione jest odbywanie nabożeństw na cmentarzach i grobach, a wprost *zakazane spełnianie ostatniej posługi, spowiedzi, ostatniego namaszczenia i Wiatyku dla umierających w szpitalach, więzieniach lub dla skazanych.* W niektórych zaś miejscowościach zabroniono udzielania chrztu, odprawiania nabożeństw i t. p., zwłaszcza w domach prywatnych, np. we wsi Tamiłówce, okręg Białocerkiewny.

W Twerze uniemożliwiono nawet korzystanie z prądu elektrycznego dla soboru miejscowego.

Zamykanie świątyń przybrało w czasach ostatnich charakter masowy. Zgodnie z danemi statystyki oficjalnej na Ukrainie, od roku 1917 do 1927 zamknięto 2.573 cerkwi prawosławnych, 48 Kościołów Katolickich, 14 Luterańskich, 328 synagog, razem 2963.

W roku 1927 zamknięto na Ukrainie 28 cerkwi prawosławnych, w r. 1928 zamknięto 219, a w r. 1929 zamknięto 422 i poczyniono starania przez różne czynniki sowieckie o zamknięcie dalszych 317 świątyń.

Wypada tu kilka słów powiedzieć o sposobach zamy-

kania świątyń, praktykowanych przez władze sowieckie. Zamykanie następuje:

1. na żądanie rozmaitych zebrań i organizacji „religijnych“, inscenizujących wolę ludności danej okolicy,

2. za niewypełnianie zobowiązań, wynikających z umowy dzierżawnej, a dotyczących remontu mienia (wystarcza do tego, jako dowód, chociażby nawet połamane krzesło, a wnet świątynia będzie zamknięta),

3. za niepłacenie podatków,

4. po skonstatowaniu starości budynku,

5. na zarzut, że świątynia jest zawadą dla ruchu ulicznego,

6. na skutek decyzji władz miejscowych lub GPU.

Że zaś dana świątynia bywa stale przepełniona, że jest przy niej zorganizowana wielka gmina parafjalna, że dług podatkowy może być w terminie najkrótszym pokryty, wszystko to dla władz sowieckich żadnego znaczenia nie posiada. Świątynie są zamykane lub rujnowane do fundamentu, albo przekształcane na teatry, kluby, kina, składy, muzea bezbożności, albo też są oddawane organizacjom religijnym, popieranym przez rząd sowiecki, wskutek czego w najkrótszym czasie świecą pustkami i są zamykane.

Oprócz cyfr powyższych, należy zwrócić uwagę i na to, że zgodnie z oficjalnem oświadczeniem Gławnauki (t. j. Centralnej Instytucji Naukowej), usunięto z pod jej opieki 6.000 świątyń, faktycznych zabytków architektonicznych, które oczywiście są przez to skazane na ruinę.

Z mnóstwa faktów, o których bardzo jaskrawo przemawiają wyżej przytoczone cyfry, wypada podkreślić jeszcze następujące: zrujnowanie klasztoru „Simonowa“ w Moskwie, przerobienie słynnego soboru Izaaka w Piotrogrodzie na muzeum antyreligijne, świątyni Spasa (wzniesionej na miejscu zabójstwa Aleksandra II) na klub politycznych katorżników, św. Zofji Nowgorodzkiej na muzeum antyreligijne, soboru św. Włodzimierza w Kijowie na muzeum antyreligijne, wysadzenie w powietrze cerkwi

Wozniesienja w Niżnim Nowogrodzie, przerobienie klasztoru Dońskiego w Moskwie na klub, zniszczenie mogiły patrjarchy Tichona, oraz zamknięcie soboru w Archangielsku.

Na wsi świątynie nietylko są zamykane pod pretekstem nawet bardzo wątpliwych przyczyn natury „prawnej“, lecz wprost niszczone. Tak np. we wsi Czepielówka, w okręgu Białocerkiewnym, komsomolcy (związek młodzieży komunistycznej) pod koniec Bożego Narodzenia r. ub. spalili cerkiew miejscową.

Ornamentyka świątyń, oddawanych przez rząd sowiecki dla klubów i t. p., jest niszczona, cząsem zaś zachowana, lecz w tym celu, aby robić napisy bezbożne i wywieszać obok plakaty antyreligijne dla większego wyszydzenia religji i świętości chrześcijańskich.

W mieście Bogorodzku, które ogłosiło siebie „ryczałtowo bezbożnem“, wszystkie świątynie zostały zamknięte.

Z zamykaniem świątyń łączy się jednocześnie zamykanie klasztorów. Już dawno zostały zlikwidowane trzy największe klasztory prawosławne, mianowicie: ławra Aleksandra Newskiego, ławra Troicko-Siergijewska i ławra Kijowsko-Pieczerska. W roku 1927 zamknięto sporo większych klasztorów, a w tej liczbie: Sarowski, Daniejewski, Optina Pustynia, Niłowa Pustynia, klasztor Dońśki, Simonowski, Ugrieński i t. d. W roku 1930 zamknięto klasztory pozostałe. Zakonnicy zostali z nich wypędzeni, świątynie zamknięto, a zabudowania klasztorne zostały oddane do dyspozycji „kolchozów“ (gospodarstw kolektywnych).

Ze zniszczeniem klasztorów ściśle łączy się sprawa niszczenia wszelkich świętości.

Na zjeździe bezbożników Ukrainy, odbytym w Kijowie w styczniu 1930 roku, postanowiono zniszczyć relikwje i obrazy świętych, które już częściowo były niszczone w latach 1927 i 1928; tak np. w Tule spalono przeszło 2.000 obrazów, w Bachmucie 4.000 i t. d.

Dla zaokrąglenia opisu stosunków powyższych, jeszcze kilka słów o propagandzie antyreligijnej.

W chwili obecnej propaganda bezbożna dochodzi jakby do szczytu rozwoju, zakorzeniając się głęboko i mocno w szkołach wszelkiego rodzaju, od niższych do wyższych, w życiu społeczno-państwowem i wciska się również do życia prywatnego, pozostawiając coraz straszniejsze ślady.

Celem stworzenia zastępów bezbożników władza sowiecka założyła specjalne uniwersytety antyreligijne w Saratowie, Mikołajowie, Orle, Tyflisie, Baku, Taszkiencie, Czerepowie, Astrachaniu, Iwanowo-Wozniesieńsku, Moskwie, Rostowie, Odessie, ogółem 13 zakładów, a oprócz tego *każdy uniwersytet posiada katedrę ateizmu, jako przedmiot obowiązkowy. Wykłady ateizmu wprowadzone są do wszystkich szkół średnich i zawodowych.* Wydawnictw antyreligijnych, nie licząc perjodycznych, wyszło z pod prasy przeszło 500.

Niezależnie od agitacji, uprawianej w tak poważnym zakresie, antyreligijna praca bolszewicka obejmuje również wszelkiego rodzaju świętokradztwa, drwiny i zbezczeszczania wiary. Na szeroką skalę organizowane są *karnawały antyreligijne*, osobliwie podczas obchodów rewolucyjnych, *na które ściąga się przymusowo uczniów wszystkich szkół*, niszczenie obrazów, rozwieszanie ohydnych plakatów na ulicach i t. p. Najczynniejszy udział w tej akcji bierze partja komunistyczna, a zwłaszcza komsomolcy, którzy są ślepymi wykonawcami różnych instrukcji tajnych i jawnych.

Pod tym względem jest bardzo charakterystyczną instrukcja oficjalna, wydana przez rząd i partję komunistyczną, określająca szczegółowo metody akcji bezbożnej. Miejsce naczelne w tej instrukcji zajmuje drobiazgowy plan urządzania t. zw. „ugołka bezbożnika“ (kątek bezbożnika), jako antytezy rosyjskiego zwyczaju religijnego umieszcza-

nia w kącie izby licznych wizerunków świętych, przed którymi pali się lampka wieczysta. Aby zohydzić ten zwyczaj religijny, „Gosizdat“ (czyli Centralne wydawnictwo państwowe) produkuje w olbrzymich nakładach serje plakatów, zohydzających wiarę i mających zastępować obrazy, umieszczane w kącie izby, zwłaszcza w mieszkaniach komunistów. Plakaty tego rodzaju winny być umieszczane w kącie według planu, załączonego do instrukcji, która wymaga, aby komuniści indywidualnie tworzyli odpowiednie napisy i hasła, silnie oświetlając je elektrycznością, zwłaszcza w miejscach publicznych.

W myśl tejże instrukcji, każdy oddział miejscowy bezbożników winien z wyżej wspomnianych haseł tworzyć szereg innych i jednocześnie nietylko potępiać publicznie komunistów, obojętnie odnoszących się do tych haseł, lecz wprost siłą usuwać z ich meszkań obrazy święte, nie bacząc na protesty rodziny, niepodzielającej poglądów komunistycznych. Wyśmiewanie i publiczne szydzenie z duchowieństwa instrukcja zalicza do obowiązku komunistów, którzy pod tym względem winni się organizować w oddziały i wciągać do nich bezpartyjnych.

Główny nacisk kładzie instrukcja na szereg zasadniczych zagadnień religijnych, domagając się oświetlenia ich w znaczeniu antyreligijnem, mianowicie: pochodzenie i rozwój wiary w Boga, judaizm, religje wschodnie, wyzwolenie z pod jarzma religijnego, nauki przyrodnicze a religja, medycyna a religja, Biblja.

Co do chrześcijaństwa, instrukcja wymaga oświetlania go w roli narzędzia kapitalizmu, podpory ustroju obszarniczego, narzędzia kolonjalnej polityki burżuazyjnej i systemu ujarzmiającego kobietę; nakazuje wyśmiewanie świętych, sekciarstwa, przykazania miłości i pokory, roli Chrystusa i cerkwi w stosunku do wojny i rewolucji *).

---

*) Por.: Bezbożnik. Kak ustroit' ugołok bezbożnika. Izdatielstwo żurnała „Bezbożnik u stanka“, Moskwa 1924.

Stąd też system ten w mowie ludowej otrzymał nazwę „sowietskaja popowszczina“, t. j. kościelnictwo sowieckie.

Zjazdy bezbożników odbywają się w większych świątyniach. Np. zjazd w styczniu r. b. urządzono w soborze Ławry Kijowskiej, podczas którego bezbożnicy zrujnowali ikonostas, a całą świątynię sprofanowali umieszczeniem gorszących napisów.

Oto mała ilustracja zaledwo częściowego przejawu owej słynnej „wolności religijnej“, którą jest obdarzona religja w ZSSR.

Rozpatrując na tle szeregu przykładów metody walki sowieckiej z cerkwią i powstający w takich okolicznościach układ i charakter działalności cerkiewnej, gdy wszystko to zestawimy z prawem o „wolności religji“, narzuca się mimowoli kilka pytań o charakterze zasadniczym, mianowicie: czy rzeczywistość życiowa faktycznie odpowiada prawom sowieckim w dziedzinie wolności sumienia i na czem polegają stosunki państwa z cerkwią?

Jakkolwiek wszystkie wyżej przytoczone przykłady dają już odpowiedź wyraźną i jaskrawą, jednakże możemy je streścić jeszcze w dwóch tezach zasadniczych.

1. — Władza sowiecka w stosunku do cerkwi nigdy nie wypełniała wydanego przez się prawa, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o wolność cerkwi. Stąd więc pochodzi zjawisko, że historja cerkwi za czasów ustroju sowieckiego nigdy nie odpowiadała prawom sowieckim. Byłoby więc absurdem wnioskowanie o wolności religji w sowietach na tle badania prawodawstwa sowieckiego, bez uwzględnienia rzeczywistości sowieckiej.

2. — Stosunek pomiędzy władzą sowiecką a cerkwią może być określony nie inaczej, jak tylko mianem ostrego, systematycznego, przeciągłego prześladowania cerkwi i religji, skierowanego jedynie i wyłącznie do całkowite-

go zniszczenia cerkwi i wymazania religji nietylko z życia, ale i z pamięci ludzkiej.

III.

ZNACZENIE FRAZESU BOLSZEWICKIEGO: „W ROSJI SOWIECKIEJ NIEMA PRZEŚLADOWANIA RELIGJI".

Przedstawiwszy faktyczne oblicze stosunków sowiecko-cerkiewnych, uwypuklimy teraz możliwie plastycznie przechytre metody dyplomacji sowieckiej, stosowane wyłącznie dla wprowadzenia w błąd opinji społeczeństw cywilizowanych, usiłujących żywiołowo reagować na brutalność bolszewicką w sprawie prześladowania religji wogóle, a w szczególności cerkwi prawosławnej.

Jakkolwiek w tym wypadku stałą odpowiedzią bolszewicką jest twierdzenie, że w Rosji niema prześladowania religji i cerkwi, jednakże wypada koniecznie podkreślić metodę bolszewicką, polegającą na tem, że władze sowieckie wszelkimi sposobami uchylają się od dawania wyjaśnień bezpośrednich, odnajdując pewne czynniki, które podstępną ich rolę znakomicie wypełniają.

Klasycznym przykładem pod tym względem może służyć osoba znanego nam metropolity Sergjusza, jako głównego zwierzchnika cerkwi prawosławnej, który z powodu ostatniej fali protestów całego świata cywilizowanego, niby od siebie, a faktycznie w imieniu bolszewików, złożył skandaliczne i bezczelne oświadczenie wobec opinji Zachodu, że w Rosji PRZEŚLADOWANIA NIEMA I ŻE TAM ISTNIEJE CAŁKOWITA „WOLNOŚĆ RELIGJI". Jako środek posłużył w tym celu wywiad, zainscenizowany przez bolszewików, jakiego udzielił metropolita przedstawicielom prasy sowieckiej i „zagranicznej" w d. 15 i 18 lutego 1930 roku, który dla nas w danym wypadku posłuży jako materjał dla analizy i wyjaśnienia bezczelnych

manipulacji sowieckich, obliczonych najwidoczniej na wielkie nieuświadomienie zagranicy.

Jeśli chodzi o wrażenie, jakie te dwa wywiady wywarły na cerkiewnej społeczności rosyjskiej, to opierając się na źródłach miarodajnych, trzeba stwierdzić, że spotkały się one z głębokiem OBURZENIEM POWSZECHNEM, czego większość świata cywilizowanego nie wie wskutek owego „muru chińskiego", jakim czujące i myślące nie po bolszewcku społeczeństwo rosyjskie od lat 13 jest odgrodzone od reszty świata.

„KŁAMSTWO I ŁGARSTWO" — oto wyraz opinji społeczności cerkiewnej w Rosji, którym określa ona treść wynurzeń Sergjusza, oczywiście dyktowanych mu przez bolszewików.

Wywiad ten obejmuje dziesięć zasadniczych tez w formie pytań, zadanych Sergjuszowi, a dotyczących istoty zagadnienia religijnego w sowietach, które rozpatrzymy nietylko w formie, podanej przez bolszewików, lecz i w świetle źródeł objektywnych, co da nam możność wyrobienia sobie pojęcia o faktycznych planach i charakterze gigantycznej walki, jaka z całą bezwzględnością toczy się na terenie Rosji sowieckiej aż do dnia dzisiejszego.

1. Pierwsze pytanie przedstawicieli prasy: Czy rzeczywiście w ZSSR istnieje prześladowanie religji i w jakich formach ono istnieje?

1. Odpowiedź metropolity Sergjusza: W ZSSR nigdy nie było i niema żadnego prześladowania religji. Na mocy dekretu rozłączenia cerkwi od państwa wolno jest wyznawać wszelką wiarę zupełnie swobodnie i żadne organy państwowe nikogo nie prześladują. Naodwrót, ostatni dekret CIK (centralnego komitetu wykonawczego) i SNR (Rady komisarzy ludowych) RSFSR z d. 8 kwietnia 1929, dotyczący organizacji religijnych, wyklucza nawet najmniejszy cień jakiegokolwiek prześladowania religji.

1. Wyjaśnienie faktyczne: W ZSSR odbywa się aż do chwili obecnej ostre prześladowanie religji, a w szcze-

gólności cerkwi prawosławnej. Prawa sowieckie o wolności sumienia są fikcją, która pokrywa konsekwentny system prześladowania religji. Prawa sowieckie są po to wydane, aby biskupi prawosławni bez sądu i żadnego dochodzenia byli wtrącani do więzień, lub zsyłani do najdalszych zakątków kraju i aby dzielili taki sam los niżsi duchowni i wierni. Prawa sowieckie są po to, aby rozstrzeliwanie i zabójstwa biskupów, duchowieństwa i wiernych mogły być dokonywane najswobodniej, t. j. bez sądu i badania sprawy. Prawa sowieckie są po to, aby świątynie i klasztory były zamykane wbrew życzeniu i woli ludności, zas wszelkie świętości i relikwje były profanowane i niszczone. Prawa sowieckie są tak skonstruowane, że dają możność władzy bolszewickiej celowego nakładania niemożliwych i nieznośnych podatków na duchowieństwo i wszelkie organizacje religijne. PRAWA TE JUŻ OD LAT 13 CIĄGLE POZBAWIAJĄ CERKIEW PRAWOSŁAWNĄ MOŻNOŚCI ZWOŁYWANIA SOBORÓW, ZJAZDÓW, UŻYWANIA PRASY, KORZYSTANIA ZE SZKOLNICTWA, SWOBODNEGO ODPRAWIANIA NABOŻEŃSTW, UDZIELANIA OSTATNIEJ POSŁUGI UMIERAJĄCYM I GRZEBANIA ZMARŁYCH. Prawa sowieckie są po to, żeby za szerzenie religji KARAĆ ŚMIERCIĄ LUB CIĘŻKIEM WIĘZIENIEM, a natomiast w najszerszych rozmiarach prowadzić propagandę ateizmu. Prawa sowieckie są po to, żeby wierzących pozbawiać pracy w urzędach, w fabrykach i we wszelkich przedsiębiorstwach, jednem słowem, pozbawiać nawet praw obywatelskich i tem samem skazywać ich na głód i straszną nędzę, zaś duchowieństwo — od najwyższych stopni do najniższych — i jego rodziny stawiać faktycznie poza prawem, w nędzy i głodzie, skoro pozbawia się je nawet prawa do kart na produkty żywnościowe.

2. Drugie pytanie: Czy prawdą jest, że bezbożnicy zamykają świątynie i jak się do tego odnoszą wierni?

2. Odpowiedź Sergjusza: Faktycznie niektóre świątynie są zamykane. To odbywa się jednak nie z inicjatywy władzy, lecz na żądanie ludności, a w niektórych wypadkach nawet na życzenie wiernych. W ZSSR bezbożnicy są zorganizowani w organizacje prywatne, to też ich żądania zamykania świątyń organy sowieckie nie uważają jako obowiązek do wykonania.

2. Wyjaśnienie faktyczne: Na terenie ZSSR zamykane są świątynie w sposób masowy przez rząd sowiecki na żądanie organizacji bezbożnych, bez względu na żywy protest wiernych. Wszelkie skargi z powodu brutalnego zamykania świątyń, skierowane do władz centralnych lub miejscowych, pozostają bez skutku. Na właściwem miejscu przytoczyliśmy liczby świątyń zamkniętych oraz przyczyny, które wymownie świadczą o „niewtrącaniu się rządu sowieckiego" do akcji zamykania. W jaki zaś sposób reaguje na to ludność wierząca, świadczą o tem niezliczone wypadki tego rodzaju, jakie miały miejsce w sierpniu 1927 roku podczas zamykania soboru w Tulczy, w gub. Podolskiej, gdzie ludność, niechcąca dopuścić do zamknięcia świątyni, została srodze skatowana przez milicję sowiecką, wśród zabójstw i krwi przelewu. We wsi Piaski, w okręgu Mikołajewskim, wierni, zebrani w świątyni podczas nabożeństwa świątecznego, przeciwstawili się bandzie bezbożników, usiłujących wtargnąć do świątyni. Powstała bójka, w której porwano w strzępy plakat antyreligijny, a w rezultacie tego wszystkiego nastąpiły masowe areszty, a proboszcz miejscowy Pawleńko, djakon Bielnow i 4 parafjan zostało rozstrzelanych! To samo stało się w Wieniewie, w gub. Tulskiej.

3. Pytanie: Czy jest prawdą, że duchowieństwo i wierni są poddawani różnym represjom z powodu swych przekonań religijnych, że są aresztowani, zsyłani i t. p.

3. Odpowiedź Sergjusza: Represje, stosowane przez

rząd sowiecki w stosunku do duchowieństwa i wierzących, nie są praktykowane z powodu ujawniania przekonań religijnych, lecz w trybie postępowania ogólnego, z powodu różnych przekroczeń antypaństwowych. Trzeba nadmienić, że całe nieszczęście cerkwi polega na tem, że w przeszłości, jak wiadomo, cerkiew zbyt zespoliła się z ustrojem monarchistycznym. Ponieważ koła cerkiewne nie zdołały we właściwym czasie ocenić znaczenia wielkiego przewrotu socjalnego, jaki się w Rosji dokonał, zajęły przeto stanowisko wrogie względem władzy sowieckiej (za czasów Kołczaka, Denikina i t. d.). Osobistości zaś wybitniejsze, jak np. patrjarcha Tichon, zrozumiały ten stan rzeczy i starały się naprawić sytuację, zalecając swoim stronnikom nie przeciwstawiać się woli ludu i być obywatelami, lojalnymi względem władzy sowieckiej. Niestety, aż do chwili obecnej, niektórzy z nas nie mogą tego zrozumieć, że przeszłość nie wróci i dlatego zajmują stanowisko wrogie wobec sowietów.

3. Wyjaśnienie faktyczne: Biskupi, duchowieństwo, zarówno jak i wierni, są już od lat 13, bez sądów i dochodzeń, masowo aresztowani, wtrącani do więzień, wysiedlani do miejscowości najodleglejszych. O ilości uwięzionych i zesłanych mówiliśmy wyżej, a tutaj dodamy, że niektórzy z prześladowanych byli nawet kilkakrotnie zsyłani. Liczba tych ofiar jest niemożliwą do ustalenia. Zresztą oświadczeniom Sergjusza, a tem samem i bolszewików, zadaje kłam ich własna prasa, która codziennie podaje liczne fakty represji rządu sowieckiego właśnie tylko z powodu przekonań religijnych.

4. Pytanie: Czy w ZSSR jest dozwolona propaganda religijna?

4. Odpowiedź Sergjusza: Odbywanie nabożeństw i wygłaszanie kazań (niestety, nie stoimy pod tym względem na wysokości zadania) nie jest wzbronionem dla duchowieństwa. Nawet jest dozwolone nauczanie i wykładanie religji dla osób pełnoletnich.

4. Wyjaśnienie faktyczne: W ZSSR propaganda religijna jest tłumiona. Do dziś dnia nie istnieje żadne czasopismo religijne, nie wyszła z druku żadna książka o charakterze religijnym. Nawet wydawnictwa nowatorów zostały zawieszone (1928). Drukowanie ksiąg liturgicznych jest zakazane, a znajdujące się w bibljotekach dzieła treści religijnej, filozoficznej i prawnej zostały wycofane i zniszczone. O szkołach i zakładach teologicznych niema żadnej mowy, zaś zakłady, nawet nowatorskie, zostały zamknięte jeszcze w roku 1928. Wykłady religji dla dzieci, nawet o charakterze prywatnym, są zakazane, podczas gdy w szkołach państwowych jest systematycznie prowadzona propaganda antyreligijna. Szerzenie literatury religijnej jest uważane za przestępstwo i karane długoletniem więzieniem.

5. Pytanie: Czy zgodne są z rzeczywistością pojawiające się w prasie zagranicznej wiadomości, że sowieckie czynniki rządowe traktują poszczególne osoby duchowne okrutnie i nielitościwie (np. Morning Post z d. 20 lipca 1929 r. i z 4 lutego 1930 r.)?

5. Odpowiedź Sergjusza: Wszystkie te wiadomosci nie odpowiadają zupełnie rzeczywistości. Wszystko jest czczym wymysłem i łgarstwem, niegodnem ludzi poważnych. Do odpowiedzialności są pociągani poszczególni duchowni nie za ich działalność religijną, lecz z powodu wystąpień antypaństwowych, przyczem odbywa się to nie w formie jakiegokolwiek prześladowania, lecz w formie, ogólnie praktykowanej w stosunku do oskarżonych.

5. Wyjaśnienie faktyczne: Nie potrzeba nawet wdawać się w meritum informacji, udzielonych prasie zagranicznej, aby na podstawie powszechnie znanych faktów stwierdzić, że w stosunku do poszczególnych osób duchownych agenci sowieccy stosują wszelkie okrucieństwa. O faktach zabójstw i mordów mówiliśmy już na miejscu właściwem. Dodamy tutaj fakt nowy, jak np. zabójstwo starca biskupa

Ijeriefieja w Nikolsku, w gub. Wołogodskiej, zamordowanego przez GPU podczas aresztowania, którego zwłoki zginęły. Zresztą, zamiast wyliczania faktów, należy zapytać, ile wogóle zostało zabitych, rozstrzelanych, ile zesłanych i aresztowanych??!!! Okrucieństwa były i do dziś dnia są praktykowane z niesłabnącą energją przez rząd sowiecki.

6. Pytanie: Jaki jest zarząd cerkwi i czy istnieją jakiekolwiek ograniczenia w zarządzaniu?

6. Odpowiedź Sergjusza: Obecnie tak samo, jak i w czasach przedrewolucyjnych, istnieje zarząd centralny cerkwi i organy lokalne. Na czele cerkwi stoi patrjarcha, raczej jego zastępca, rządzący razem z Synodem, na czele djecezji stoją biskupi i rady djecezjalne. Oprócz tego w każdej parafji istnieje organ wykonawczy, wybierany przez parafjan. Do tego czasu nikt nie przeszkadza w rządzeniu organom cerkiewnym, a wszyscy biskupi są w swoich djecezjach.

6. Wyjaśnienie faktyczne: Poczynając od roku 1918, t. j. od chwili rozpoczęcia prześladowania cerkwi przez rząd sowiecki, cerkiew istnienie swoje bynajmniej nie zawdzięcza sowietom i woli ludzkiej, a natomiast, jak powiadają prawosławni, „cerkiew istnieje z łaski Chrystusa Pana". Zaś w kwestji, czy są ograniczenia w rządzeniu cerkwią, wyraźnie przemawia ostre prześladowanie cerkwi, poczynając od patrjarchy Tichona i jego zastępcy, a kończąc na biskupach, duchowieństwie i wiernych, rozstrzeliwanych, mordowanych, aresztowanych, zsyłanych i usuwanych od wszelkiej akcji organizacyjnej drogą różnych deklaracji, wymaganych przez GPU. Jednym z ostatnich przejawów ograniczania cerkwi w rządzeniu, jest pojawienie się na horyzoncie Rosji Sowieckiej metropolity Sergjusza wraz z jego Synodem fikcyjnym, identyfikującym siebie z Synodem patrjarszym. Powstał on drogą kompromisu z władzą sowiecką i kupił sobie względną wolność rządzenia, czego dowodem jest deklaracja, złożona przez Sergju-

sza w roku 1927 i omawiane tutaj dwa wywiady prasowe. Mimo to, ta „wolność rządzenia“ jest całkowicie ograniczona, a stworzona przez Sergjusza organizacja cerkiewna, zdaniem prawosławnych, N I E J E S T K A N O N I C Z N Ą. Wybrany bowiem przez Sergjusza Synod, składający się z osób przygodnych, nic nie ma wspólnego z byłym Synodem Patrjarszym, rozpędzonym przez bolszewików w roku 1922, wskutek czego sfery prawosławne uważają, że C e r k i e w R o s y j s k a w d o b i e o b e c n e j ż a d n e g o k i e r o w n i c t w a c e n t r a l n e g o w c a l e j u ż n i e p o s i a d a.

7. Pytanie: Czy jest takie ugrupowanie religijne, które korzysta z przywilejów władzy sowieckiej i czy ta ostatnia okazuje mu pomoc?

7. Odpowiedź Sergjusza: Zgodnie z prawem sowieckiem wszystkie organizacje religijne korzystają z praw jednakowych (!).

7. Wyjaśnienie faktyczne: „Obnowleńcy“ czyli nowatorstwo, we wszelkich jego formach ewolucyjnych, poczynając od „Żywej Cerkwi“ 1922 r., aż do „Synodalnej“, zawsze korzystało z pomocy państwowej. Oprócz tego wszystkie powstające grupy cerkiewne, mające na celu walkę z prawosławiem, zawsze były podtrzymywane przez władze sowieckie: jak np. Autokefalja ukraińska i białoruska, Sobór Łubieński, i t. d. Podtrzymywanie i poparcie w tem się wyrażało, że wszystkie te organizacje korzystały z możności wolnego zwoływania soborów, zjazdów, wydawania prasy, literatury, utrzymywania szkół i t. d. Biskupi tych organizacji znajdowali się w swych djecezjach i mogli je wizytować bez żadnych przeszkód. Oddawano im świątynie, zabrane od prawosławnych, a szkodliwe dla bolszewików osoby z łona prawosławia były aresztowane i zsyłane.

8. Pytanie: Jak może istnieć cerkiew w warunkach ciężkiego położenia politycznego, ekonomicznego i społecznego duchowieństwa i wiernych, a zwłaszcza przy takich

objawach, jak pozbawienie praw, wysiedlanie z mieszkań, niemożliwość otrzymywania kart żywnościowych, a nawet, zgodnie z ostatnim dekretem, zabranianie mieszkania w Moskwie?

8. Odpowiedź Sergjusza: Co do praw wyborczych oraz kwestji innych, związanych z konstytucją, jako prawem narodowem, obowiązującem wszystkich, to w tej dziedzinie żadne zmiany nie zaszły. „W kwestji zaś praw wyborczych, to co do aktywnych parafjan muszę zauważyć (mówi Sergjusz do korespondentów zagranicznych), że panowie posiadacie informacje, pochodzące ze źródeł zupełnie fałszywych. Miljony aktywnych parafjan naszych są to ludzie pracy, którzy korzystają z wszelkich praw, a w tej liczbie i z wyborczych, zgodnie z konstytucją. Wszyscy ci parafjanie podtrzymują nas materjalnie i wskutek tego nie potrzebujemy żadnej pomocy, a tembardziej jakiejkolwiek ingerencji zewnętrznej. W sprawie zaś pytania panów co do kwestji wysiedlenia wszystkich duchownych z Moskwy, to zagadnienie to jest rzeczą, niezgodną z rzeczywistością. Wypadki bowiem wysiedlenia poszczególnych duchownych odbywają się na mocy decyzji sądowej, a tem samem niczem się nie różnią od wysiedlania innych obywateli, np. za nieuiszczenie komornego, za nieopuszczanie budynków, przeznaczonych do zniesienia i t.p.“

8. Wyjaśnienie faktyczne: Warunki bytu cerkwi prawosławnej z każdym rokiem są coraz trudniejsze i gorsze. Ucisk duchowieństwa bynajmniej nie ogranicza się do tego, że mu nie dają kart żywnościowych lub wyrzucają z mieszkań. Nieznośne brzemię podatkowe, absolutna samowola władz miejscowych w stosunku do duchowieństwa, zwłaszcza na wsi, wszystko to czyni jego położenie niemożliwem (np. wysiedlanie, połączone z konfiskatą mienia). Biskupowi Iżewskiemu kazano zapłacić podatek w wysokości 17.300 rb., proboszcz parafji Jemanówka, starzec 75-letni, został zmuszony do rąbania lasu. Co do wysiedlania z mieszkań, wypadki te mają miejsce, wbrew oświad-

czeniom Sergjusza, a w dodatku nietylko z powodu nieuiszczania komornego lub decyzji sądu. Najlepszym dowodem może służyć fakt, że sam metropolita Sergjusz 22 stycznia 1930 roku został wysiedlony z własnego mieszkania w Sokolnikach przy zaułku Jermakowskim w Moskwie, wcale nie za zaległe komorne lub na mocy decyzji sądu!... W sprawie dalszego istnienia cerkwi, to w warunkach obecnego prześladowania należy oczekiwać, jak zapewniają prawosławni, że w czasie najbliższym cerkiew będzie zmuszona schować się do podziemi i za przykładem pierwszych chrześcijan pójść do katakumb, czego wierzący wcale się nie lękają i z całą stanowczością są do tego kroku przygotowani.

9. Pytanie: Jak metropolita zapatruje się na zarządzenia administracyjne, skierowane przeciwko cerkwi prawosławnej co do: 1) zabronienia używania dzwonów w Moskwie, 2) skasowania niedziel oraz innych świąt cerkiewnych, 3) zamknięcia cerkwi, np. w Odesie, zgodnie z dekretami sowietu odeskiego?

9. Odpowiedź Sergjusza: Panom, jako obcokrajowcom, wiadomo napewno, że w kilku krajach już dawno prawo ogranicza używanie dzwonów, a w niektórych wypadkach nawet zabrania. W pewnych miejscowościach ZSSR używanie dzwonów jest zakazane na żądanie ludności pracującej. W tego rodzaju przejawach nie widzimy nic takiego, coby mogło poniżać naszą religję (?). Co cię tyczy świąt religijnych, to władza sowiecka, jakkolwiek nie uznaje ich w instytucjach państwowych i społecznych, jednakowoż w niczem nie przeszkadza obchodzenia ich w cerkwi. Obchodząc te święta w czasie właściwym, nie możemy uskarżać się na to, aby brakło wiernych w świątyniach. Przejście władz sowieckich na system tygodnia pięciodniowego i „tydzień nieprzerwalny“ mało wpłynęło na liczebność modlących się w świątyniach, jak to stwierdzamy na podstawie obserwacji. O decyzji sowietu odeskiego nic nie wiemy. Przypuszczam, że taką decyzję, o ile

ona istnieje, wierzący zaskarżą do władz centralnych, które ją zmienią, skoro jest aktem bezprawnym.

9. Wyjaśnienie faktyczne: Zagadnienia, poruszone powyżej, należy rozpatrywać w świetle ogólnego, systematycznego i powszechnego prześladowania religji, a w szczególności cerkwi prawosławnej. Jakkolwiek używanie dzwonów jest zabronione w Moskwie, jednakże mało kto wie o tem, że z setek cerkwi w różnych miejscach Rosji nietylko są zdjęte, lecz nawet zniszczone. Stare dzwony soboru Kostromskiego, dzwony soboru Izaaka w Petersburgu, z płaskorzeźbami Monferona i Witali, dzwony soboru św. Włodzimierza w Kijowie i t. d. są zniszczone. O zamykaniu świątyń mówiliśmy już wyczerpująco, dodać tylko należy, że w ostatnich miesiącach w Petersburgu zamknięto 6 świątyń, a w mieście Bogorodsku, w gub. Moskiewskiej, wszystkie.

10. Pytanie: Czy metropolita ma jeszcze inne dane i jak się zapatruje na wystąpienie: 1) Papieża Piusa XI i 2) arcybiskupa kantemberyjskiego oraz różnych działaczy rzymsko-katolickich, mających na widoku cele nie chrześcijańskie, lecz a) szkodzenie prawosławiu i b) spowodowanie szkody państwu sowieckiemu tak w granicach ZSSR, jak i zagranicą?

10. W odpowiedzi na pytanie powyższe, postawione przez korespondentów obcokrajowych, metropolita Sergjusz przypomina im to, co już na temat ten powiedział w rozmowie z przedstawicielami prasy sowieckiej. Tym zaś ujawnił swoje zdziwienie z powodu wystąpienia Papieża przeciwko władzy sowieckiej. Papież, powiada Sergjusz, uważa siebie jako następcę Chrystusa, który został umęczony za uciemiężonych. Tymczasem Papież z powodu swego wystąpienia przeszedł do obozu obywateli angielskich i franko-włoskich. Chrystus nie byłby tak postąpił i taki krok napiętnowałby jako odstępstwo od chrystjanizmu. Jeszcze dziwniejszemi wydają się słowa, pochodzące z ust Głowy Kościoła Katolickiego, mówiące o prze-

śladowaniach. Idąc w ślad za słynnym Iłowajskim i wyliczając wszelkie brednie historyczne przeciwko Kościołowi Katolickiemu, jako dowód prześladowania inaczej myślących i wierzących, Sergjusz stwierdza, że jego zdaniem Papież kroczy tylko śladami tradycji katolickich, drogą podniecania świata katolickiego przeciwko Rosji i rozpalania ognia do przygotowywanej wojny narodów przeciwko ZSSR.

Wystąpienie Papieża uważa metropolita Sergjusz za zbyteczne, ponieważ takiej pomocy prawosławni nie potrzebują. My sami, powiada, możemy bronić naszą cerkiew. Papież zaś oddawna marzy o zamianie prawosławia rosyjskiego na katolicyzm, co mu się nie uda, gdyż cerkiew prawosławna nigdy nie zmieni swojego stosunku do katolicyzmu, jako do nauki fałszywej. W tym celu wydamy w dniach najbliższych obszerny list pasterski do wiernych, w którym, wskazując na zamiary Papieża, wyjaśnimy, że droga ta jest niedopuszczalną.

Do tejże kategorji Sergjusz zalicza wystąpienie arcybiskupa kantemberyjskiego oraz biskupa Longli z Ameryki, który oświadczył, jak powiada Sergjusz, że w danym wypadku nie trzeba nawet cofać się przed konfliktem krwawym. Sergjusz wyraża z tego powodu nadzieję, że wszelkie tego rodzaju wystąpienia będą potępione przez cały świat chrześcijański.

Na pytanie, dlaczego katolicyzm jest wrogiem prawosławia, Sergjusz wyjaśnia, że dowodzi tego katolicyzm polski, dzięki któremu w przeciągu roku 1929 przemocą odebrano prawosławnym w Polsce około 500 cerkwi prawosławnych i przekształcono je na kościoły. Tymczasem żaden z biskupów anglikańskich, amerykańskich lub innych wcale nie wystąpił z protestem przeciw takiej przemocy katolicyzmu polskiego.

Mocno się dziwi Sergjusz zapytaniu korespondentów zagranicznych, żądających podania im dowodów, że mianowicie wystąpienia Papieża i innych mają na celu spowo-

dowanie wyrządzenia szkody dla ZSSR tak na wewnątrz, jak na zewnątrz, oraz wywołania pochodu krzyżowego. Najlepszym dowodem tego, powiada Sergjusz, jest prasa zagraniczna, która w czasie ostatnim jest wprost przepełniona ostremi wystąpieniami przeciwko ZSSR i nawoływaniem do akcji wrogiej.

10. Wyjaśnienie faktyczne: *Z miarodajnych źródeł opinji społeczności prawosławnej w Rosji dowiadujemy się, że wystąpienie Papieża Piusa XI i innych było przyjęte z poczuciem gorącej nadziei i głębokiego szacunku.* W latach ciężkiego prześladowania, kiedy zdawało się, że cerkiew rosyjska jest opuszczona i zapomniana przez wszystkich, w tej walce nierównej z wrogiem potężnym wystąpienie to posłużyło za olbrzymią moralną pomoc dla cerkwi wogóle, a dla każdego z jej członków w szczególności. Pomoc braterska w modlitwie i w pamięci, osobliwie zaś w dniach modlitwy powszechnej za Rosję 16 i 19 marca 1930 roku, napełnia cerkiew i jej wyznawców świadomością i poczuciem jedności wszystkich wierzących i wszystkich Kościołów wobec strasznej a niesłychanej bezbożności i największego prześladowania. Cerkiew rosyjska ze swej strony, w dnie modłów za nią, również gorąco będzie się modliła za swoich braci w wierze i będzie prosić Boga, aby wszystkim chrześcijanom dopomógł znieść walkę i prześladowanie i aby najrychlej przybliżył chwilę zjednoczenia wszystkich w jeden Kościół. Opinja prawosławna, wbrew twierdzeniu Sergjusza, w wystąpieniach Papieża i innych bynajmniej nie upatruje żadnego momentu politycznego lub jakiegoś celu innego, lecz rozumie je jedynie jako wystąpienie w obronie prawdy i wiary oraz obrony cerkwi rosyjskiej.

Do jakiego stopnia Sergjusz cynicznie kłamał wobec przedstawicieli prasy w swoim wywiadzie, najlepiej świadczy o tem jego własny memorjał, złożony rządowi so-

wieckiemu zaraz trzeciego dnia po wywiadzie, t. j. 19 lutego 1929 roku.

W akcie tym pod tytułem: „Memorjał o potrzebach patrjarszej cerkwi prawosławnej w ZSSR“ (dokument ten pochodzi z pod pióra metropolity Sergjusza i został złożony na ręce „towarzysza Śmidowicza“), odtwarza Sergjusz w 21 punktach straszną gehennę stosunków cerkiewnych:

W punkcie pierwszym, mówiąc o fantastycznych podatkach, nakładanych na duchowieństwo i wiernych, Sergjusz żąda, aby podatek był znacznie obniżony.

Drugi punkt ujawnia anachroniczny pomysł bolszewicki wprowadzenia podatku „kompozytorskiego“ za wykonywanie w świątyni utworów muzycznych, a w punkcie następnym żąda Sergjusz zniesienia płacenia asekuracji za śpiewaków... aż od roku 1922!!

W punkcie czwartym, piątym i szóstym narzeka Sergjusz na podatki w naturze, wymagane od duchowieństwa i żąda ich zniesienia oraz niezaliczania służby cerkiewnej do elementów „kułackich“.

Punkt siódmy nader jaskrawo maluje położenie duchowieństwa, jako zostającego poza prawem.

W punkcie ósmym metropolita Sergjusz przekonywuje władze sowieckie, aby zamykanie świątyń nie uzależniały od bezbożników.

Punkt dziewiąty, dotyczy rejestrowania gmin parafjalnych, których władze miejscowe nie chcą zatwierdzać, a zarejestrowane rozwiązują.

Punkty 10 do 17 włącznie wyliczają opłakany stan duchowieństwa prawosławnego z powodu aresztów, prześladowań i strasznej nędzy materjalnej, spowodowanej przez ustawodawstwo sowieckie. Z tego powodu Sergjusz błaga sowiety, aby złagodziły swe prawa i umożliwiły życie dla duchowieństwa i organizacji cerkiewnych.

Punkt 18 jest interwencją Sergjusza, proszącego, aby artyści, występujący ze śpiewem podczas nabożeństw w świątyniach, nie byli wydalani ze służby państwowej.

Punkty 19 i 20 zawierają prośbę Sergjusza o otwarcie wyższych kursów teologicznych w Piotrogrodzie, oraz otrzymanie pozwolenia na wydawanie czasopisma cerkiewnego.

Wreszcie w punkcie 21 Sergjusz prosi rząd sowiecki o obronę interesów cerkwi wobec projektu całkowitego zabronienia propagandy religijnej i działalności cerkiewnej.

Przytoczyliśmy w streszczeniu „memorjał" Sergjusza, aby w jego zestawieniu z wywiadem z przedstawicielami prasy zagranicznej dowieść, że jego „kontakt" z władzą sowiecką jest aż nadto jasny i niedwuznaczny. Wywiad na tle memorjału jest niczem więcej, jak tylko pokryciem z rozkazu sowietów niszczycielskiej i perfidnej działalności bolszewickiej w rujnowaniu życia religijnego. Możliwą jest rzeczą, że Sergjusz, licząc na swoje „zasługi", chce, jak trafnie powiadają miejscowi rosjanie, „dobitsia kojekakich pobłażek swojego rodana czajoks Waszej miłosti" (t. j. wycyganić jakieś błahostki w rodzaju — „proszę pana o datek na piwo").

Jest znowu rzeczą charakterystyczną, że zakres jego „wymagań" nie sięga poza granice kwestji stosunkowo drobnych i dotyczących przeważnie spraw materjalnych, które posiadają znaczenie dla duchowieństwa, zostającego na wolności, t. j. dla stronników i przyjaciół rządu. Grobowe natomiast milczenie zachowuje Sergjusz w sprawach zasadniczych, a osobliwie łączących się z tragizmem cerkwi i losem aresztowanych, zesłanych, skazanych biskupów, tysięcy duchowieństwa i wiernych!

Sprawy te interesują go tyle, co i wywiad, udzielony prasie, który przecież jest tylko wodą na młyn bolszewicko-sowieckiej bezbożności i tej bachanalji, która coraz bliżej zmierza do całkowitego wytępienia śladów życia religijnego wogóle.

Jakiekolwiek mielibyśmy zapatrywania i poglądy na prawosławie, trzeba jednakże przyznać, że rola Sergjusza jest niestety bardzo głęboko sięgająca, gdyż jest smutną rolą pocałunku Judasza i zdrady najbezczelniejszej. W ogóle rola kierowniczych czynników prawosławia rosyjskiego w dobie obecnej dowodzi z całą jaskrawością coraz większego i powszechnego załamywania się starej organizacji cerkiewnej.

Są to oczywście skutki owego procesu historycznego, którego przyczyny kryją się już w odległej przeszłości.

Bolszewizm, mimo całej siły swego przejawu, oraz jego barbarzyństwa i niszczycielstwa, nie przekracza w danym wypadku charakteru czynnika okolicznościowego, spełniającego — w perspektywie dziejowej — tylko rolę owego ognia historycznego, który wybucha, aby wzmagać słabości i namiętności ludzkie, zwłaszcza w sferze najwyższych zagadnień ideologicznych.

Jakkolwiek trudno jest określić matematycznie długość trwania tego procesu, jednakowoż można twierdzić, że rozwiązanie jego jest zależne wyłącznie od układu i konstelacji stosunków ideologicznych nietylko w Rosji, lecz i poza jej granicami.

Walka bolszewików z religją nie jest bynajmniej sprawą tylko rosyjską. Sądząc z ekspansji bezbożnej akcji bolszewickiej, jest to sprawa, która żywo obchodzi cały świat chrześcijański. W ataku na religję bolszewizm tylko zajął miejsce kierownicze, lecz jeszcze nie zdołał zaatakować całego obozu przeciwnego, t. j. chrześcijaństwa i wogóle całego świata religijnego, który na różnych odcinkach życiowych jest stale prowokowany do wojny.

Z chwilą, gdy zwarty obóz religijny powstanie, wówczas tylko będzie można mówić o upadku bolszewizmu,

który gasnąc, ustąpi miejsca odrodzeniu ludzkości, opartemu na śpiżowych podstawach wiary czystej i mocnej, oraz moralności, kierowanej we wszelkich swych aspiracjach duchowych oraz przejawach społecznych, kulturalnych i cywilizacyjnych pobudkami wyższemi, wolnemi od błędów historycznych, socjalnych i ludzkich.

Antoni Starodworski.

Z DZIEJÓW STAROŻYTNEGO EGIPTU.

MATERJAŁ BARDZO NA CZASIE.

Zbyt wielka jednostronność wykształcenia — niechęć różnych uczonych, pisarzy i polityków do zajrzenia niekiedy w inne, bardziej im obce gałęzie wiedzy — i wynikła stąd nadmierna apodyktyczność sądu w różnych kwestjach minionych i aktualnych, płata im nieraz dotkliwe figle.

I tak powstał w ostatnich latach wśród poważnych kół umiarkowanych w Polsce i zagranicą specjalny prąd socjalno-polityczny pod nazwą „demokratycznego konserwatyzmu“. Kierunek ten, będący oczywiście wyrazem daleko idącego oportunizmu wobec „nowoczesnych zdobyczy demokracji i postępu“, usiłuje par force pogodzić, zidentyfikować, zlać w jedno ideologję ewolucyjno-zachowawczą z ideologją rewolucyjno-demokratyczną i nagiąć gwałtem — a przedewszystkiem nadmiernie uczoną djalektyką — logiczne, konsekwentne, realizmem życiowym dyktowane zasady konserwatywne do wszelakich doktryn, wybryków i absurdów „zwycięskiej demokracji“.

Niema chyba potrzeby szeroko uzasadniać, jak szkodliwym jest ten kierunek, który w praktycznym rezultacie leje tylko wodę na młyn doktryn wywrotowych, a w pierwszym rzędzie na młyn doktryny Marksa. Jestto w gruncie rzeczy lekkomyślna, małoduszna kapitulacja przed złem, określona już w katechiźmie jako „zezwalanie na grzech cudzy“ lub „uniewinnianie cudzego grzechu“. Jest również koncepcją zgoła fantastyczną, nierealną. Zwolennicy bowiem takiego „demokratycznego konserwatyzmu“ — skądinąd ludzie nieraz zdolni i rozumni — konstruują sobie eklektycznie lub dowolnie kanony jakiejś bardzo umiarkowanej, wielce świętobliwej demokracji, czerpiąc coś niecoś

z Ewangelji, coś niecoś z „praw człowieka", coś niecoś z różnych innych źródeł, nawet z socjalistycznych (jak np. konieczność kontroli państwa nad produkcją) — i w ten sposób wydają na świat z pod pióra dziwadła filozoficzno-polityczne, nie mające nic a nic wspólnego z rzeczywistością. A na dnie całego tego prądu leży najniewątpliwiej płaski, małoduszny strach przed „groźbą rewolucji socjalnej" i chęć wykazania się przed demagogją sztucznie sfabrykowanym patentem „postępowości".

Nie rozumieją w swej płochliwości, że kłaniają się niepotrzebnie przed słomianym chochołem, gdyż adorowana przez nich demokracja, zgrzybiała, wyjałowiona, pozbawiona w praktyce wszelkiej siły twórczej, jest już tylko cieniem swej produktywnej przeszłości. I dlatego demokratyczny konserwatyzm jest przedewszystkiem spóźniony o trzy kwadranse na zegarze dziejowym.

Ale — co najciekawsze — zapaleni adepci demokratycznego konserwatyzmu (nazwałbym go raczej: demagogicznym oportunizmem), przeważnie — o ile mi wiadomo — ludzie ciężko uczeni, zrobili nagle wielkie odkrycie, które tak dosadnie przywodzi na myśl opowiadanie Podkomorzego w Panu Tadeuszu, że

„. . . . . . . jacyś Francuzi wymowni
Zrobili wynalazek, iż ludzie są równi,
Choć o tem dawno w Pańskim czytamy zakonie
I każdy ksiądz to codzień głosi na ambonie".

Tak i nasi protagoniści „demokonserwatyzmu", idąc widocznie za przykładem owego Podczaszyca w kusym fraczku, objeżdżającego powiat oszmiański na karjolce z nowinkami o francuskiej demokracji, wyciągnęli nagle ze starych szpargałów — zdobycze rewolucji francuskiej, prawa człowieka, kontrakt socjalny (uzgadniany oczywiście na gwałt z konserwatywnem pojęciem pochodzenia władzy od Boga!) i inne, zarówno wzniosłe, jak i arcynowe koncepcje z przed stupięćdziesięciu lat! Tak z omszałych, zażywnych, zachowawczych szeregów wyszedł w roku Pańskim

1829/30 nagle a niespodziewanie entuzjazm dla Wielkiej Rewolucji. Są nawet tacy, którzy, bijąc się z emfazą w piersi, mienią się głośno stuprocentowymi, panie dobrodzieju, demokratami i radziby nowożytną rachubę czasu rozpocząć np. od rzezi wrześniowej lub ścięcia Ludwika XVI.

Nie żenujcie się panowie! Stuprocentowy mężczyzna, protagonista Wielkiej Rewolucji, nie powinien działać połowicznie. Wszak — jak to słusznie napisał przy innej oczywiście okazji ś. p. prof. Jaworski — polityk nie powinien być mazgajem! Jeżeli więc wołacie z zapałem: „Niech żyją zdobycze wielkiej rewolucji — demokracja, wolność, równość i braterstwo!“ — to wołajcie w konsekwencji także: „Niech żyją Danton, Marat, Robespierre! Niech żyje kult rozumu, precz z religją, śmierć arystokratom!“. Bo rewolucja francuska i demokracja są to rzeczy, których nie można przykrawać, sztukować i fastrygować, jak to robi szwaczka ze starą suknią lub redaktor z artykułem dziennikarskim — ale trzeba je albo w całości przyjąć, albo w całości odrzucić. Ludzie, którzy naśladują owego nietoperza z bajki, co to w bitwie zwierząt z ptakami stawał raz po jednej, raz po drugiej stronie, zależnie od szans zwycięstwa, nie wzbudzają specjalnego szacunku i narażają się mocno na los tego nietoperza, którego w końcu obie strony zatłukły!

Ale nie w tem leży najkomiczniejsza (a może tragikomiczna?) strona wielkiego odkrycia zwolenników demokonserwatyzmu, lecz w ich świętem przekonaniu, że Rousseau, Voltaire, Diderot, Mirabeau i wielcy dyktatorowie gilotyny dali — razem wziąwszy — coś nowego światu, że wraz z nimi rozpoczął się jakiś nowy, nigdy przedtem niebywały okres historji: epoka demokratycznego oświecenia. Epoka ta zaś — zdaniem pp. demokonserwatystów — polega na zdobyciu przez ogół społeczeństwa prawa równości oraz zasadniczej możności osiągania najwyższych stopni społecznych, majątkowych i urzędowych drogą zalet osobistych — pracy, zapobiegliwości, energji, wykształcenia

i talentu. Dochodzą do tego coraz dalsze dobycze w zakresie kontroli ogółu nad administracją i gospodarką państwa, systemu reprezentacyjnego oraz ingerencji państwowej w mienie i życie prywatne obywateli na rzecz całości, a zwłaszcza na rzecz warstw najuboższych.

Zapomnieli ci panowie, na widok nowoczesnego parlamentaryzmu i różnych mniej lub więcej raptownych reform demokratycznych, o starem twierdzeniu Ben-Akiby, że „wszystko to już było“ i że zarówno Voltairzy i Maraci, jak i nowocześni socjaliści i radykali nie wynaleźli nic nowego. Trzeba tylko wyjść z nazbyt wąskiego podwórka i sięgnąć dobrze w przeszłość.

Otóż odkrycia — prawdziwe odkrycia — w kraju Faraonów (nie obawiajmy się pewnej dozy egzotyzmu!), napisy, rzeźby, papirusy i grobowce, dostarczają nam tak bogatego, absolutnie pewnego materjału do rekonstrukcji jego dziejów, że daleko więcej wiemy dziś o drobnych nawet szczegółach życia staroegipskiego w niektórych jego epokach, niż o naszej własnej historji np. z czasów piastowskich. Odkrycia takie, jak np. przed kilku laty prawie nienaruszonego grobowca Tut Ank Amona, w połączeniu z dawniej już zdobytym i odcyfrowanym materjałem, wprowadzają nas *) nietylko w barwnie i plastycznie przedstawione wielkie wypadki polityczne najstarszego mocarstwa, które zrealizowało już na parę tysięcy lat przed Rzymem imperjum światowe, złożone ze wszystkich wówczas cywilizowanych krajów, ale i w najdrobniejsze szczegóły publicznego i prywatnego życia tego wielkiego narodu, poczynając od urządzeń, stosunków i stosuneczków administracyjnych (bo i wówczas panowały już w administracji różne stosuneczki!), aż do scen z życia najniższych warstw ludowych. Przed naszemi oczyma przesuwa się bajecznie kolorowy kalejdoskop życia i pracy, doli i niedoli, intryg politycznych i społecznych nad brzegami Nilu, przechowa-

---

*) G. R. Tabouis: Le Pharaon Tout Ank Amon, sa vie et son temps. Paris, 1929.

ny w rzeźbie i piśmie niemniej trwale od mumji tych, którzy brali w nich udział.

Oto, co nam prawią ówczesne kroniki, wygrzebane z piasków pustyni i z grobowców, a dotyczące krótkiego panowania Tut Ank Amona.

Stoimy w okresie „nowożytnych“ dziejów Egiptu. Okres starożytnego feudalizmu, dzielącego państwo na drobne księstewka „nomy“, dawno już minął, jak również następny okres średniowiecznego absolutyzmu Faraonów. Wielka rewolucja polityczno-socjalna przed kilkuset laty zmieniła gruntownie ustrój państwa i nastrój społeczeństwa, wprowadzając zasady „demokratyczno-konstytucyjne“. Żyjemy w pełnej epoce reform demokratycznych. Wieki jeszcze upłyną, zanim kultura grecka odtworzy podwaliny i stworzy nazwę nowocześniejszej demokracji, a już nad brzegami Nilu rozwijają się i realizują pojęcia i instytucje demokratyczne, sejmowładztwo, biurokracja, ba, nawet demagogja w całej okazałości!

Faraon jest już tylko pozornym, aczkolwiek jeszcze niby suwerennym dzierżycielem najwyższej władzy. Jest uświęconą głową państwa, której decyzji podlegają wszelkie sprawy w ostatniej instancji. Ale tylko formalnie, w rzeczywistości bowiem absolutna ongiś władza królewska rozproszkowała się już dawno na stan kapłański, ogromną biurokrację oraz narodowe ciała reprezentacyjne. Król wyraża we wszystkiem właściwie tylko swą „zgodę“, ale w istocie rządzą i decydują o losach państwa ciała zbiorowe.

„Ustrój demokratyczny stanowi podstawę państwa. Oświata otwarta jest dla wszystkich. Każdy najniższy skryba ma możność osiągnięcia rangi dygnitarza, nawet gubernatora prowincji, na podstawie tylko własnego talentu i wiedzy.

„Ustrój demokratyczny wyraża się także w ciałach reprezentacyjnych. Małe zebrania „Quenbet“, czyli sejmiki prowincjonalne, krytykują swobodnie działalność króla.

Delegacje zaś sejmików tworzą przy władzy centralnej parlament — „Wielki Quenbet“ — którego uchwały ciążą poważnie na decyzjach królewskich.

„Liberalizm panuje w polityce ekonomicznej i społecznej. Znikła już dawno niewola robotników, którzy tworzą obecnie niezależne korporacje, stanowiące podstawę ustroju rzemieślniczo-przemysłowego.

„Śmiała reforma agrarna nakazuje parcelację ziemi na korzyść włościan.

„Doskonale rozwinięta biurokracja administracyjna, dostosowując się przemyślnie do wymagań ewolucji, tworzy wspaniałą organizację, która przetrwa wieki, wywołując nawet jeszcze podziw u Rzymian w czasie podboju przez nich Egiptu. Biurokracja ta potrafiła w ciągu długich wieków podbić i zorganizować cały ówczesny świat cywilizowany pokojowo i „legalnie“, utrzymując go w posłuszeństwie i porządku rozumną polityką, dostosowującą się zręcznie do warunków każdej danej epoki. Ona to zabezpiecza ciągłość polityki państwowej wśród różnorodnych perypetji dynastycznych.

„Prawie całe społeczeństwo bierze już jednak udział w rządzeniu państwem — każdy według swych funkcji, zasług i stanowiska“.

Idźmy dalej. Oto na ulicach olbrzymiej stolicy, stubramnych Teb, powstaje nagle tumult. Mazain (policjanci) powstrzymują z trudem groźny napór tłumu zrewoltowanych robotników, którzy, opuściwszy wielkie warsztaty kamieniarskie, szklarskie i metalurgiczne, ruszają do pałacu gubernatora z wyciem: „Jesteśmy głodni, jeszcze osiemnaście dni do pierwszego, żądamy chleba!“. Po drodze poturbowano kilku urzędników i kapłanów, usiłujących tłum uspokoić. Murarze, pracujący obok nad budową świątyni Khonsu, przyłączają się do strejku i zanoszą swe żale i żądania przed szefa robót publicznych.

„Faraon spogląda ze swego pałacu dość obojętnie na ten tłum rozszalały. Przecież strejki są w Tebach zjawiskiem tak powszedniem! Wie zresztą doskonale, że cała administracja — od szefa robót publicznych do ostatniego pisarczyka, uskuteczniającego wypłaty — kradnie. Niema nikogo, ktoby z powierzonych mu pieniędzy publicznych nie przywłaszczył sobie jakiejś „tantjemy“ w takiej czy innej formie. Cóż więc dziwnego, że robotnicy muszą strejkować! „Na Amona — krzyczą strejkujący — którego gniew zabija, nie będzemy dłużej pracować!“. Otaczają pałac szefa robót. Kraty parkanu łamią się, strejkujący wpadają do pałacu, rabują magazyny żywnościowe. Król uśmiecha się zdala ironicznie, uważając za słuszny wybuch gniewu robotników.

„Strejkujący, obładowani zdobytą żywnością, wracają spokojnie do pracy, a policja aresztuje tylko kilku szczególnie opornych menerów, bo przecież autorytet władzy musi być jako tako salwowany!

„Chłopi pod panowaniem Tut Ank Amona posiadają już pełne prawa wolnych i dziedzicznych dzierżawców ziemi państwowej *) oraz całkowitą swobodę sposobu jej uprawy i wyzyskania. Ale chcoiaż ustrój rolniczy kraju oparty jest na dobrze wykształconych prawnych podstawach, to jednak stosunki agrarne, zwłaszcza włościańskie, cierpią dotkliwie wskutek wzajemnych zazdrości i d z i k i e j z a c h ł a n n o ś c i c h ł o p ó w, jak również wskutek bezwzględnego ściągania podatków, co wszystko razem wywołuje ciągłe konflikty i pretensje i wzmaga pożądliwość na cudzą ziemię. Stąd urzędy zalewane bywają papirusowemi podaniami, które biurokracja usiłuje przedewszystkiem „składać ad acta“, nie będąc w stanie ich za-

---

*) Tak postępowem nie jest jeszcze żadne państwo w dzisiejszej dobie, za wyjątkiem Sowietów! Mają więc nasi demokraci i demokonserwatyści dużo jeszcze do roboty w Polsce i w Europie wogóle, aby osiągnąć postęp Egiptu z przed trzech i pół tysiąca lat!

łatwić. Oburzeni podatnicy zwracają się osobiście do sądów, apelując aż do Faraona".

Wierzyć się nie chce, że to wszystko dzieje się w XIV-ym wieku przed Chr., gdyż tak przypomina w każdym szczególe dzisiejsze warunki i stosunki! (oczywiście z pominięciem wspomnianej nieuczciwości urzędników, która w owych odległych czasach była regułą, a w dzisiejszej cywilizacji bywa bądź co bądź tylko wyjątkiem).

Reforma rolna wraz z etatyzmem i nadmiernym ciężarem podatkowym wytworzyły w Egipcie już takie stosunki, że jeden ze współczesnych pisarzy kieruje długą apostrofę do młodzieży, żeby nie obierała sobie zawodu rolnika. „Nie zwracaj nigdy twych oczu na pracę na roli. Miej zawsze w pamięci położenie rolnika w chwili oszacowania jego zbiorów i ściągania podatków. Oto robactwo zniszczyło mu połowę ziarna, hipopotam pożarł resztę, a jednak wysłaniec królewski żąda od ciebie daniny. Rolnik, który jej uiścić nie może, zostaje zbity i wrzucony do dołu, gdzie nurza się głową na dół w błocie".

Czyż — pomijając hipopotama i wrzucenie do dołu — kilka tych przestróg egipskiego publicysty nie przypomina żywo naszych dzisiejszych stosunków agrarnych, wywołanych w znacznej mierze eksperymentami demokracji, etatyzmem i nadmiarem ciężarów publicznych?!

Ale takie warunki rolnicze powodują w Egipcie (czyż tylko w starożytnym Egipcie?) generalną dezercję rąk roboczych z roli i napływ do miasta. Trzeba tej klęsce zaradzić — więc publicysta przedstawia z kolei w czarnych barwach los robotników miejskich, aby zniechęcić przybyszów ze wsi.

„Nie widziałem jeszcze nigdy, aby kowal został ambasadorem, albo hutnik stawał na czele misji politycznej *). Widziałem natomiast robotnika metalurgicznego przy pracy: smaży się on przy drzwiczkach swego pieca, pracuje

*) Pod tym względem starożytna demokracja egipska była istotnie bardzo zacofaną w porównaniu z naszą młodocianą demokracją!

nago, wystawiony na wszystkie wiatry i choroby, jego ręce wyczerpują się przy pracy, jego strawa miesza się z wszelkiemi nieczystościami. Zjada on samego siebie, gdyż nie ma chleba, oprócz swych własnych palców. Balwierz zrywa sobie ręce, aby napełnić swój żołądek. Los tkacza jest gorszym w jego własnej chacie od losu kobiety. Skurczony, z kolanami przy brzuchu, nie może nawet oddychać. Piorący nad brzegiem rzeki sąsiadują z krokodylami. Malarz cuchnie wyziewem rybim, jego powieki opadają ze znużenia, jego ręka nie wstrzymuje się ani na chwilę, a ponieważ spędza całe życie na krajaniu szmat, na których maluje, więc ma wstręt do wszelkiej szaty".

A więc nie brak już i literatury społecznie podburzającej, której argumenty nie różnią się od nowoczesnego języka demagogji wiecowej!

I cóż wy na to wszystko, panowie demokraci, a zwłaszcza demokonserwatyści? Czyż powyższe obrazki, sięgające trzy i pół tysiąca lat wstecz, nie tchną najżywszym modernizmem? Czyż zawsze jeszcze twierdzić będziecie, że dopiero rewolucja francuska przyniosła światu nowe myśli ustrojowe, zrodziła demokrację, postęp społeczny i walkę klasową? Czy piejąc hymny na cześć tak stosunkowo niedawnych wypadków, jak rewolucje demokratyczne na przełomie i w pierwszej połowie zeszłego stulecia, zawsze jeszcze mniemać będziecie, że zrobiły one — i że zrobiliście wy — wielkie, niebywałe, epokowe odkrycia?

Wszystko to bowiem dawno już było, na tysiące lat nietylko przed waszą, ale i przed grecko-rzymską demokracją. I wielkie rewolucje socjalno-polityczne i wzniosłe zasady praw człowieka i strejki z interwencją policji i biurokracja i sejmokracja i etatyzm i „nabyte prawa ludu i postępu" i reformy rolne i ograniczanie głowy państwa do roli manekina, poruszanego zakulisowemi pociągnięciami potężnych klik partyjnych i demagodzy-doktrynerzy i nawet uczeni-oportuniści, usprawiedliwiający wszystko „wy-

maganiami ducha czasu". Wszystko to już było — na szereg wieków przed wojną trojańską i powstaniem poezji Homera, na kilka tysięcy lat przed rewolucją francuską i jej ponownem przez was odkryciem, panowie demokonserwatyści! Stare, zużyte, wytarte! Tylko, że okres demokracji starego Egiptu, rządzącego ówczesnym światem, trwał około tysiąca lat, podczas gdy wasza nowoczesna, odgrzewana demokracja trwa dopiero lat stokilkadziesiąt i już się na całej linji załamuje, przesłaniając się dyktaturami wszelkiego rodzaju, bo nie jest już w stanie dać ludziom — mądrego słowa i chleba.

Jeżeli świat cały, zagrożony bolszewizmem, tym najkonsekwentniejszym wykwitem ideologji demokratycznej, zrywa się do walki o wyższe ideały i o postulaty zdrowego rozsądku, a wy, panowie demokonserwatyści, upieracie się przy odgrzewanych „zdobyczach" czcicieli gilotyny, to pamiętajcie dobrze, że każdem waszem słowem, każdem pociągnięciem waszego pióra, przyczyniacie się mimowoli do usprawiedliwienia, poparcia i utrwalenia doktryn radykalizmu, ateizmu i wywrotu. Nic to, że oburzacie się na radykałów. Zwalczanie ich przez was żadnego praktycznego nie może mieć skutku, skoro pomagacie im mimowoli waszym naukowym autorytetem i oportunizmem.

Tysiąc lat przetrwała po wielkiej rewolucji demokracja nad brzegami Nilu, a potem rozsypała się w proch pod mieczem Persów, Aleksandra i Rzymian — pod naporem absolutystycznego, zbrojnego imperjalizmu. I cóż z niej pozostało? Niezrozumiałe dla ogółu hieroglify, które piasek pustyni zasypał grubą warstwą w mrokach średniowiecza. Czyż więc entuzjaści „zdobyczy rewolucji francuskiej" mogą być tak bardzo pewni, że podobny los nie spotka dzisiejszej demokracji?

Chcąc być ultrapostępowymi, odgrywacie panowie w gruncie rzeczy rolę dotkliwego hamulca, bo usiłujecie pochód cywilizacji cofać o stokilkadziesiąt lat wstecz, regenerując sztucznie idee, dawno przebrzmiałe. N i e o r j e n-

t u j e c i e s i ę w s y t u a c j i ! Nie zdajecie sobie sprawy, że w dziejach wszystko jest płynnem, że rozwój idze wciąż naprzód, przynosząc ze sobą kolejno coraz nowe fale potrzeb, pojęć i warunków bytu. Przywiązujecie zbytnią wagę do form zewnętrznych, z zapoznaniem głębszej istoty ewolucji. Ostatnia fala, demokracji i walki klasowej, zrobiła już swoje i obecnie opada z wyczerpania. Przychodzi po niej nowa, całkiem odmienna, której widocznie nie widzicie, zapatrzeni w księgi i wypadki z końca XVIII-go wieku.

I dlatego, mimo niewątpliwie dobrych chęci, złą oddajecie przysługę społeczeństwu i dziełu naprawy państwowego ustroju, które wymaga ludzi, umiejących lepiej patrzeć zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość.

Jan Bobrzyński.

CZY NIE ZBLIŻA SIĘ OKRES WĘDRÓWKI LUDÓW?*)

Historja powtarza się, lecz nie jest to bynajmniej wynikiem jakiegoś „fatum", ale poprostu skutkiem świadomie lub bezmyślnie popełnianych błędów przez kierownicze sfery ludzkości.

Wędrówka ludów w pierwszych wiekach naszej ery nie była ani pierwszą, ani ostatnią i tylko dlatego tak wyraźnie zaznaczoną jest w historji, że była początkiem „historycznym" tych wszystkich narodów, które dzisiaj, stanowiąc kompleks europejski, są dla nas jedynymi historycznie żywymi ludami. Ślady jednak poprzednich wędrówek spotykamy często i w Europie i w Azji, gdzie np. około

---

*) Politycy-aktualiści, którzy uznają tylko to, co bezpośrednio leży na zielonych stołach w Genewie, Londynie, Paryżu, lub choćby w Warszawie, nie lubią różnych tematów „egzotycznych" i odnoszą się do nich z lekceważeniem, jako do rzeczy — ich zdaniem — nierealnych czy fantastycznych. Dlatego różnymi doniosłymi wypadkami, które rzeczywistość tak często ze sobą przynosi, bywają z reguły zaskoczeni i stają wobec nich bezradni, albo karkołomne muszą w ostatniej chwili wykonywać koziołki, aby się do sytuacji przystosować.

Przychodzi nam na myśl choćby drobny, ale wielce znamienny i zabawny przykład owego polskiego biurokraty w wiedeńskiem ministerstwie dla Galicji, cytowany już na innem miejscu w tem piśmie, który na niespodziewaną wiadomość o wskrzeszeniu niepodległej Polski krzyknął chwytając się za głowę: „Na nic mój piękny referat, właśnie ukończony, nad którym namordowałem się przez trzy miesiące!".

Jeżeli więc wskrzeszenie Polski, na które zanosiło się bądź co bądź przez cztery lata wojny światowej, było dla wielu wówczas tematem „egzotycznym", nad którym „realnie myślący" ludzie nie uważali za stosowne się zastanawiać, a potem zostali zaskoczeni i sparaliżowani faktem powstania „niepodległej republiki ludowej" — to wyciągnąć należy stąd naukę nawskroś praktyczną, że nie wolno żadnych problemów „egzotycznych" lekceważyć, bo nie wie się dnia ani godziny, kiedy one stać się mogą nagle aktualne i zmusić nas po niewczasie do zajęcia stanowiska, na które wskutek przesadnego „aktualizmu politycznego" nie będziemy wcale przygotowani! (Przyp. Red.).

1500-go roku przed Chrystusem potężne narody, zamieszkujące cały Indostan, zostały zgniecione i wyparte na wyspy i aż hen, do Australji, przez pochód Arjów. Wszystkie najścia tatarskie, tureckie, arabskie, cała bogata historja cywilizowanego świata między IX-tym a XIV-tym wiekiem, nie są przecież niczem innem, jak nowszą wędrówką ludów i obecnie nic nie stoi na przeszkodzie nowej, potężniejszej i groźniejszej od wszystkich poprzednich — wędrówce! Wystarczy nam uważniej spojrzeć na naszego sąsiada od wschodu i nie wzdychając ani do czasów Mikołaja II-go, ani do błogich wspomnień nieboszczki „Dumy", patrzeć trzeźwo możliwościom w oczy. Bolszewizm nie jest ani doktryną, ani tembardziej ustrojem, tak, jak niemi nie są więzienia lub szubienice; b o l s z e w i z m j e s t p o p r o s t u k a r ą z a l i b e r a l i z m, k a r ą z a „n i e ś m i e r t e l n e z a s a d y 1 7 8 9 r."! Ale jest kara, podobna chorobom; udręka, która nie poprawia winowajcy, lecz go poniża i niszczy.

Otóż w bolszewji system kolektywizacji, logiczny i konieczny wynik każdego socjalizmu (bo niech mi p. poseł Czapiński wybaczy, ale mój „obskurantyzm" zmusza mnie do absolutnego identyfikowania socjalizmu z bolszewizmem, z tem wszakże zróżniczkowaniem, że ten ostatni uważam za szczerszy względem ludzkości, za socjalizm bez maski), system kolektywizacji gospodarstw rolnych, nędza wywołana etatyzmem i wszystkie inne utopje piekielnej maszyny Marksa, poruszyły z miejsca zamieszkania niemal trzy czwarte całej ludności Rosji. Ludność ta, przenoszona z miejsca na miejsce, koszarowana, jak bydło, w kolektywistycznych hangarach, pozbawiona religji, ojcowizny, związków rodzinnych, nawet widoku rodzimych stron, stanowi już obecnie wielkie morze lotnych piasków. Wystarczy jedna dobra klęska głodowa — a przecież w krajach, socjalistycznie rządzonych, jest ona regułą — a tłumy wynędzniałe, głodne, do poziomu zwierzęcej demokracji doprowadzone, ruszą gdzieś przed siebie w kierunku... chleba!

Z bolszewji wszystkie drogi prowadzą do śmierci, prócz tej jednej, prastarej drogi na zachód! A wtedy?... O, wtedy na nic się nie zdadzą wszelkie pakty, sojusze, czy inne paneuropejskie mrzonki politycznych manjaków. Wtedy Europa stanie odrazu w obliczu rzeczywistości. Przecież tych miljonowych rzesz nie zatrzyma żadna komisja, chociażby z samych genjuszów złożona, nie zatrzyma żadna nota, ani protest, nie zatrzyma ich też żadna armja, bo nie widzę armji europejskiej, nie zbolszewiczałej, któraby mogła mordować całymi dniami miljony bezbronnych i głodnych nędzarzy.

Takie wędrujące masy muszą wytworzyć lawinę, bo idąc ruszać będą z miejsca ludność tuziemną, rujnując ją, ogładzając, niosąc ze sobą wszelkie zarazy. Zatrzymać się same nie będą w stanie, bo sama ich obecność wytworzyć musi anarchję i pustoszyć do szczętu zajmowane ziemie. Wyniknąć mogą walki lokalne, wsie, miasta będą się może spontanicznie broniły, odrzucały od siebie ciągnące tłumy, lecz to tylko pogłębi chaos, wywoła zbrojne ataki, powtórzy jota w jotę walki ludów tuziemnych lub Rzymu z barbarzyńcami. Wstrzymać ruchu narodów ten ostateczny opór nie będzie w stanie. Zresztą w wątpliwym wypadku, by jakaś wieś lub miasto oparły się zwycięsko, nic to w całości kataklizmu nie zmieni, bo zostaną one jak wyspy wśród morza nędzy i zmuszona głodem ludność ich sama wkrótce ruszy dalej na zachód, na zachód!

Wędrówka taka nie jest bynajmniej jakiemś pesymistycznem przywidzeniem, fantasmagorją. Całkiem odwrotnie, byłoby prawdziwym cudem, gdyby, przy dalszej biernocie europejskiej polityki, nie nastąpiła w najbliższej przyszłości.

Z tego stanu rzeczy zdaje sobie sprawę zupełnie jasno większość naszych polityków, większość ogromna całej myślącej ludności, tak w Polsce, jak i we wszystkich „pogranicznych“ z sowdepją krajach. Zdają sobie z tego sprawę i... nie mówią o tem, tak, jak wszyscy ludzie wiedzą

dokładnie, że muszą kiedyś umrzeć, a nie chcą za nic w świecie myśleć lub mówić o śmierci. Polityka egzotycznego strusia lub krajowej kuropatwy, a też i charakterystyczna mentalność tych, co to w chwili pożaru zamiast gasić ogień lub ratować najcenniejsze rzeczy, rozprawiają o swym „pechu“, bo nisko lub wcale się nie ubezpieczyli!

Czy dla zapobieżenia tej nieuniknionej katastrofie można obecnie coś zrobić? Można! Tylko trzeba umieć prawdzie spojrzeć w oczy i rozróżnić interesa handlowe od zagadnienia istnienia kraju, rozróżnić „pokój za wszelką cenę“ od konieczności obrony przyszłości całego cywilizowanego świata, stosunki dyplomatyczne od uprawiania szpiegostwa i organizacji rozkładu społecznego. Wreszcie, oprócz dbania o pozory i iluzoryczne korzyści finansowe, t r z e b a t e ż p o s i a d a ć t r o c h ę o d w a g i c y w i l n e j i p o c z u c i a h o n o r u n a r o d o w e g o.

Więcej nic dla załatwienia sprawy bolszewji nie potrzeba, poza solidarnością ludów kulturalnych.

Ale sprawa „integralnej bolszewji“ nie wyczerpuje bynajmniej wszelkiego zagadnienia przyszłej wędrówki ludów, przesunięcia się mas ludzkich w takich ilościach i w takiem rozpięciu, jakiego dotychczas świat jeszcze nie zaznał. Nieuniknionym ku temu powodem jest fakt przeludnienia Azji i fatalna, bo czysto komercjalna tylko polityka kolonjalna mocarstw, posiadających jeszcze „do wczoraj“ głos rozstrzygający w sprawach tego olbrzymiego i nietyle tajemniczego, ile poprostu z a p o z n a n e g o k o n t y n e n t u.

W tym wypadku również, z dziwnem zaślepieniem i lekkomyślnością, najwybitniejsi politycy Europy i Ameryki nie chcą patrzeć prawdzie w oczy, nie chcą, jeśli już nie zapobiedz niechybnej katastrofie, bo to nie leży w możliwościach dzisiejszej cywilizacji, to przynajmniej przygotować swe narody do myśli o nadciągającej rzeczywistości.

Takeśmy się przyzwyczaili do myśli, że mieszkamy w Europie — a więc w jednej z „pięciu części“ świata—i że wobec tego wszystko to, co się dzieje w Europie, musi nas znacznie więcej zajmować, niźli to, co się tam „gdzieś w innych częściach świata“ tworzy. Zapomnieliśmy zupełnie, iż podział właśnie Europy i Azji jest sprawą li tylko „umowy“ geograficznej!

Europa stanowi przecież stosunkowo nie tak duży „półwysep“ wielkiego kontynentu i to półwysep, tak szeroką podstawą związany z całością, że „naturalna“ granica jest czystą fikcją. Przecież łańcuch gór Uralu, to tylko szereg małych pagórków, zaś rzeka Ural i granice Kaukazu stanowią linję, wynikającą z konfiguracji. Żaden z półwyspów świata nie jest tak niejasno odgraniczonym od kontynentu, jak „półwysep“ europejski od Azji.

Czemżeby zresztą była cała historja Europy i jakżebyśmy inaczej wyglądali, gdyby właśnie ta łączność z Azją była mniejszą? Azja i jej wędrówki ludów są rzeczywistym powodem istnienia „dzisiejszej“ Europy i jest to fakt, o którym należy dobrze pamiętać, bo przyczyna największych przemian politycznych i antropologicznych świata istnieje wciąż dalej — bez zmian.

A jednakże o tych zmianach my, mieszkańcy Europy, w XX-ym wieku nic nie wiemy i wiedzieć nie możemy, bo pomimo całej naszej wiedzy, Azji nie znamy i poznać jej nie chcemy. A raczej, jak to wyżej wspomniałem, nie chcemy prawdzie patrzeć w oczy, odwracamy wzrok od coraz to aktualniejszej rzeczywistości.

Ludy Azji! Owo nieprzeliczone mrowie obcych nam kulturą ludzi dusi się w ograniczonych, bądź przez naturę, bądź przez najfatalniej błędną politykę wielkich mocarstw, kilku państwach największego kontynentu świata.

Europa posiada dziś z jednej strony Amerykę, która w dziedzinie materjalnej rozszerza swą produkcję w niesłychany sposób: jej wytwórczość przemysłowa przewyższa wszystkie inne całego świata łącznie, jej reklama i pro-

paganda zalewa wszystkie kontynenty, jej bogactwa kanalizują ruch wszelkich kapitałów świata ku niej i ssą w ten sposób żywe siły wszystkich narodów. Organizacja ekonomiczna Ameryki tak przewyższa wszystkie organizacje Europy, jak jej drapacze nieba, jej buildings'y górują nad naszymi kilkopiętrowymi domkami. A jej egoizm i pewność siebie amerykańskiego nouveau-riche'a zamyka przed resztą ludności świata wciąż nowe drogi życia. Z drugiej strony, w dziedzinie społeczno-antropologicznej, rozpościera się olbrzymia Azja ze swymi niezbadanymi rezerwuarami ludzi, swymi mrowiącymi się wszędzie tłumami! Azja, zawierająca w sobie większe rojowisko ludzkie, niźli suma wszystkich białych narodów świata. Mnogości nieznane, wrogie, obce nam umysłowością i obyczajami, obce duchem, dyszące jakiemiś żądzami, które tem są straszniejsze, im więcej się z niemi zapoznaliśmy. Tłumy nieznanej nam bierności, a zarazem wytrwałości i wytrzymałości, obojętne i okrutne, zdaje się nam, że śpiące, a w rzeczywistości ruchliwe, oparte o odwieczne tradycje i pogardzające tymi „białymi djabłami", tak, jak Amerykanie gardzą murzynami.

Mimo, iż to mrowie istnieje od wieków — Azja od wieków zdaje się być martwą, nic nie tworzy, nic nie wydaje, bo przecież tłum niczem nie jest i nic nie znaczy w ekonomice świata, o ile nie jest kierowanym przez jednostki. Zastanowienie się nad tem zjawiskiem zupełnie winno wystarczyć, aby w dziedzinie duchowej i filozoficznej dojść do wniosku, że t. zw. „duch ludzkości", w oznaczeniu czegoś całego, lub ów słynny „duch tłumu", nie jest niczem innem, jak jałowym frazesem teozofów.

Duch tłumów kierowanym być może jako wielka burza, potencjalna energją, przez jednostki i duch tłumu często podpada pod wyraźnie trancendentalne, demoniczne wpływy, lecz sam w sobie jest twórczem zerem, gorzej, bo nawet zaprzeczeniem wszelkiego ładu, a więc bytu. Zastanawiając się w płaszczyźnie politycznej nad tłumami

Azji, musimy uznać, jak nieracjonalną, bezpodstawną i mylną, gorzej, bo wrogą postępowi ludzkości, jest wszelka konsekwentnie przeprowadzona teorja demokratyczna, a wyrażając się po polsku, teorja „ludowładztwa“ i wciąż u nas propagowana doktryna „równi tłumu“. Demokracja europejska dobrzeby zrobiła, przyglądając sę logice swoich teorji na tłumach Azji!

Nie o ten szczegół jednak chodzi. Tłumy azjackie tłoczą się i giną krociami w swojem ciasnem kole: nędzy, klęsk żywiołowych, zaraz i głodu. Tłumy te, od wieków zamarłe pod względem wszelkiej nowej myśli i postępu, są typowym obrazem tego, czem właściwie jest masa ludzka bez kierownika, bez władzy i hierarchji — boć w Azji dotąd hierarchja równa się kastowości, a władzę przedstawia sojuszniczka demokracji — biurokracja, obie nieodrodne córy — demosu! I trwałoby to tak może jeszcze przez kilka wieków więcej, możeby nawet demos azjacki pożarł się sam w jakimś katakliźmie nędzy, ale dyplomacja kapitalistów i skutki wojny odwróciły niechcąc nową kartę w historji Azji.

Dziś Azja posiada już wodzów, bierne dotychczas tłumy zaczynają się poruszać w różnych wskazanych kierunkach; ruch ten rośnie i podnosi się, jak nieopatrznie na ogniu pozostawiony kocioł mleka i biada nam, gdy „wybiegać“ zacznie poza brzegi.

„My Chińczycy — woła Sun-Yat-Sen, przemawiając dnia 28.XI.1924 roku na kongresie azjatyckim w Kobe — liczymy zgórą 400 miljonów dusz! Największy to tłum ze „wszystkich tłumów świata“. Z natury jesteśmy łagodni (możnaby co do tego mieć poważne wątpliwości!), ale z chwilą, gdy zaczniemy walkę o nasz byt, to czyż i nadal pozostaniemy biernymi? Gdybyśmy, Azjaci, utworzyli związek, to koniecby nastąpił dla Europy! Chiny liczą 400 miljonów ludzi, Indje 350, Birmanja, Anam Syam, każde po kilka dziesiątków miljonów, sama Japonja przekracza 60 miljonów! My, Azjaci, stanowimy trzy czwarte

ludzkości, jest nas 1.200 miljonów przeciwko 400-stu miljonom Europejczyków i Amerykanów. Jakżeby łatwem stało się dla nas zwycięstwo, gdybyśmy się uciekli do broni!...“

Dr. Sun-Yat-Sen pragnął może przerazić nas, gdyż jakakolwiek liga panazjatycka jest dotychczas nie do pomyślenia i łatwiejby można utworzyć ogólno-europejskie przymierze. Ale od czasów Sun-Yat-Sena wypadki w coraz to bardziej przyśpieszonem następują tempie. Wiele się zmieniło w Azji, a tolerowany w całym świecie bolszewizm nie napróżno słał tam bez przerwy swych emisarjuszy. Nie darmo pracujące dla zguby Europy Niemcy słały tam tysiące swych instruktorów i ślą bez przerwy transporty broni i amunicji; nie bez skutku działają tam ciągle międzynarodowi agenci wszelkiej rewolucji. Azjaci już zrozumieli, czem jest w rzeczywistości kultura europejska, poczuli się na siłach przeciwstawić się na wszystkich polach przewadze dotychczasowej „białych djabłów“.

Trzy zasadnicze momenty występują tu w tej niezwykle skomplikowanej sprawie: pierwszym jest upadek prestiżu tak Europy, jak i Ameryki od chwili wielkiej wojny w oczach Azjatów, drugim, to owa materjalna, fizyczna masa ludzka, nieustannie wzrastająca i która bez najmniejszej wątpliwości w najbliższym już czasie przeistoczy się w nieobliczalną energję potencjalną, w nieznającą zapór siłę kinetyczną; trzecim i to zapewne najważniejszym momentem, to utrwalanie się tam wszędzie wpływów bolszewickich pod opiekuńczemi skrzydłami światowego liberalizmu.

Z tymi zasadniczymi momentami łączy się cały szereg innych, mniej może jaskrawych, mniej też znanych, lub mówiąc ściślej, łatwiej ukrywanych, że wyliczymy tylko: błędną politykę mocarstw i jeszcze bardziej błędną ich taktykę w zagadnieniach demograficznych, zaślepienie zyskami kupieckich lub przemysłowych działaczy, tarcia i przewroty wewnętrzne, a także i klęski żywiołowe. Wszystko

to łączy się razem, uzupełnia, częstokroć zwalczając — dopełnia i może już w najbliższych latach poruszy azjatycką lawinę.

Przyjrzyjmy się bliżej, choćby całkiem pobieżnie, tym poszczególnym czynnikom azjatyckim i jeżeli to możliwe, postarajmy się je skoordynować myślowo, aby przynajmniej stworzyć sobie obraz powierzchowny, lecz obejmujący całokształt tej może największej w historji świata sprawy.

Upadek znaczenia mocarstw europejskich w Azji zapoczątkowanym został znakomicie przez pierwszą tego rodzaju „międzynarodową" ekspedycję karną podczas powstania „bokserów". Nie mówiąc już o okrucieństwach i rabunkach „białych" armji na ludności i mieniu chińskiem, od samego początku ekspedycji zauważyli Azjaci, że Europa bynajmniej nie jest zjednoczoną, że można doskonale lawirować wśród antagonizmów mocarstw i że jedynym łącznikiem dla tych „cywilizowanych" europejczyków jest interes finansowy, żądza zysku i użycia. Zaraz więc znalazł się genjalny polityk, Li-Hung-Czang, który objechawszy Europę i Amerykę, nietylko że „wyrównał" rozmaite dolegające Chinom traktaty, ale też i de visu zbadał stan ras białych. A w parę lat potem przyszła klęska rosyjska w wojnie z Japonją, klęska przygotowana przez Anglję, wywołana przez Niemcy i tu Azja przekonała się znowu, iż, nawet bez nadzwyczajnej zręczności dyplomatycznej, można też zwyciężyć białych z orężem w ręku i w gołem polu. Wreszcie wielka wojna ostatecznie podkopała baśń o cywilizacji europejskiej i teraz już nietylko wybitne jednostki, ale tysiące „wziętych do pomocy" azjatów przekonało się nareszcie tak o stanie Europy, jak i o straszliwych jej wewnętrznych antagonizmach.

Równolegle działał też i całkiem odmienny czynnik, mechanizacji życia, wniesiony przez europejczyków, oraz fakt wyzysku tuziemców, przechodzący wszystko to, co „cywilizowane narody" mogą sobie wyobrazić. Więc tech-

nika europejska zastosowaną została w Azji w bardzo szerokich ramach i trzeba przyznać, że pod bardzo wielu względami przyniosła też tam swe niezaprzeczalne korzyści. Pustynie zostały nawodnione i zamienione na urodzajne krainy, dając pracę i schronienie tysięcznym rzeszom bezdomnych i głodnych, rozwój kolejnictwa zmniejszył znakomicie grozę chronicznych klęsk głodowych, a wszędzie powstający przemysł fabryczny dał znowu pracę tysiącom ludzi oraz tani miejscowy towar... ale... Bo jest też i odwrotna strona tego medalu i kto wie czy nie jest ona rylcem rzeczywistości głębiej żłobiona!

Wraz z mechanizacją życia idzie, jak cień jej, a raczej może jak duch, rewolucja techniczna i ekonomiczna. Występują nagłe przerosty ludnościowe w pewnych punktach, podział dóbr wykazuje coraz to większe różnice, potrzeby codzienne wzrastają, a więc wzrasta drożyzna i średni koszt życia oraz — fakt niezaprzeczony — rozwija się i zaczyna górować nad wszystkiem upadek moralny mas. Często całe klasy spokojnie dotąd żyjących ludzi pozbawiane są chleba. Tak np. najliczniejszą rzeszę pracowników stanowili w Chinach tragarze i gdy dawniej dla przetransportowania z Kantonu do Szjuk-wanu 10.000 „pikuli“ towaru (a dziennie znacznie się więcej przewozi) potrzeba było użyć również 10.000 tragarzy w przeciągu dziesięciu dni, to dziś zapomocą pociągu dziesięciu ludzi przewozi tąż ilość towaru w osiem dni. Innemi słowy, 80 godzin roboczych, zamiast miljona.

Zanika też i drobny przemysł rzemieślniczy i dzisiejsza rewolucja Ghandiego w bardzo wybitnej mierze opiera się właśnie na tej kategorji niezadowolonych, zanika drobny handel, a przecież azjata bez handlu życia wystawić sobie nie może. Albo jakże olbrzymie rzesze robotnicze pozbawiła pracy mechanizacja rolnictwa? Pozatem, jednocześnie z przemysłem fabrycznym, wszystkie socjologiczne dolegliwości Europy niemal nagle przeszczepione zostały na olbrzymie rojowisko azjatyckie i oprócz stałej

groźby mniejszych lub większych lokalnych rewolucji, wywołały ogólną niechęć azjatyckiej inteligencji dla „dobrodziejstw“ białej cywilizacji.

Niechęć i pogarda — pogarda i powolne, ciche, ale mściwe, jak prawdziwy wschód, przygotowywanie się wszędzie do „odwetu“. Nadejdzie dzień, mówią jedni po drugich myśliciele azjatyccy, gdy my, azjaci, będziemy „zmuszeni“ zaprowadzić ład w Europie. I ten z dnia na dzień potęgujący się, utrwalający, pogląd azjatów na Europę, pogłębiają same najbardziej zainteresowane mocarstwa: Anglicy podburzają „swoich“ azjatów przeciwko Holendrom, Włosi intrygują przeciw Francji, Hiszpanja szczuje swoich przeciwko Amerykanom — a przeciwko wszystkim bez wyjątku: upiór Marksa — bolszewizm rosyjski.

Zresztą mechanizacja i europeizacja życia Azji daje azjatom nowy, nieoceniony atut dla ewentualnej przyszłej rozgrywki: daje im kadry wojskowe, broń, amunicję we wszystkich dziedzinach „ulepszonego“ mordu, daje im jedyny w dzisiejszych czasach „sekret“ cywilizacji.

Ale dla pogłębienia antagonizmów, dla utrwalenia nienawiści rasowych, biali, zaślepieni jedynie żądzą zysku i brzękiem złota pociągani, wyzyskują wszelkie tuziemne plemiona bez cienia — już nie mówię uczciwości, bo w zrozumieniu dzisiejszych „hommes d‘affaires“ wyraz ten zatracił wszelkie znaczenie — ale nawet bez cienia zrozumienia własnego interesu i niebezpieczeństwa, jakie swymi czynami wywołują. Jeżeli „oficjalnie“ niewolnictwo znikło z powierzchni kuli ziemskiej (co zresztą też nie jest prawdą, jak tego dowiódł wspaniały wywiad Kessler‘a z „Matin“ w Erytrei francuskiej i Arabji niezależnej), to faktycznie zmieniła się tylko nazwa, niewolnictwo przybrało pozory ochrony (?) robotnika i socjalnej legalizacji „dobrowolnych“ umów zbiorowych. Wystarczy zaznajomić się z taką książką, jak „Les Jauniers“ Pawła Monet‘a, aby poznać przynajmniej część przewrotności europejskiej w Azji. Poza udręczeniami i katuszami, zadawanemi robotnikom i emi-

grantom azjatyckim, przecież większa część tych zysków i bogactw, osiąganych przez „cywilizowanie“ Azji, wychodzi precz z jej granic: zboża irygowanych pól Pendżabu nie karmią Hindusów, a ryż Birmanji jest całkowicie eksportowany przez Rangun do dalekiej metropolji. Kauczuk z Cejlonu lub Malezji idzie na rynki Europy i Ameryki, jak zresztą i najlepsza część bawełny z Indji, kawy z Indochin lub Jawy i nawet zyski z tej sprzedaży pozostają w kieszeniach europejskich lub amerykańskich handlarzy.

Dzisiaj całokształt tych faktów znany jest mieszkańcom Azji, może nawet lepiej i konkretniej, niż się to europejczykom może zdawać i nienawiść rośnie ciągle i coraz to uporczywiej pojawia się hasło: Azja dla azjatów! Podłoże dla bolszewizmu i pielęgnowanych przezeń nacjonalizmów robi się z dniem każdym lepsze, żyźniejsze — lada chwila zbierzemy plon!

Przechodząc do drugiego punktu, musimy go nieco rozszerzyć, dzieląc nasz pogląd między poszczególne ludy i zaczniemy od Japonji.

Śmiało można powiedzieć, że Japonja jest najbardziej „europejskim“ krajem w całej Azji, przez co rozumieć należy, iż jest ona psychicznie, a to pod wpływem mechanizacji społecznej, najbardziej do umysłowości polityczno-europejskiej zbliżoną. To też i metody działania w cesarstwie Wschodzącego Słońca, dążące do regularyzacji życia i zabezpieczenia przyszłości narodu, są również najbardziej do europejskich podobne, a temsamem łatwiejsze do zrozumienia. Rozwój politycznej myśli japońskiej może służyć, jeśli nie miarą, to przynajmniej jakby wskaźnikiem reakcyjnym dla wyczucia prądów, nurtujących w Azji i dlatego z uwagą należy go śledzić.

Otóż ze wszystkich spraw, które od końca wielkiej wojny zajmują umysły kierowniczych sfer japońskich, żadna nie wzbudziła tyle dyskusji, nie poruszyła tak głęboko namiętności — jak sprawa przeludnienia kraju. Gdy w r. 1927 specjalna komisja, stworzona przez barona Tanaka,

zajęła się badaniem tej bolączki narodowej, już całe wybory z r. 1928 były prowadzone pod hasłem przeludnienia, podniesionem niemal spontanicznie przez wszystkie stronnictwa. Bo też sprawa przeludnienia Japonji dopiero w ostatnich czasach zaczyna być palącą: ludność cesarstwa, wynosząca w roku 1872 — 33 miljony, przekracza obecnie 65 miljonów, czyli że zdwoiła się niemal od czasu reformy społecznej. Ale co tu stanowi niezmiernie drażliwy szczegół, to okoliczność, że ludność ta bądź nie chce, bądź nie może emigrować, aby kolonizować nowe i niezamieszkałe przestrzenie. I tak, chociaż Mandżurja stanowiła dotychczas dziwnie mało zaludnioną krainę i znajduje się od wojny rosyjsko-japońskiej pod faktycznem, jeśli nie prawnem panowaniem Japonji, to jednak w ciągu tego dwudziestopięciolecia, osiadło tam zaledwie kilkanaście tysięcy Japończyków. Ludność japońska, dla zupełnie niewytłumaczalnych powodów, nie chce kolonizować Mandżurji, a dzisiaj, jak to w dalszym ciągu postaram się wykazać, jest już zapóźno. Natomiast ekspansja japońska w kierunkach, ku którym ta ludność ma bezwzględny pociąg, jest niemal całkowicie zamkniętą, więc do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Australji lub Filipin.

Czy i o ile słuszne są prawa amerykańskie, australijskie i inne, zamykające te kraje dla imigracji japońskiej, w to nie będziemy wchodzili, chociaż głównym ich motywem jest coraz to wybujalej panoszący się nacjonalizm, a przez to samo stanowią one jeden z ważniejszych momentów ogólno-światowego przesilenia; ale w każdym razie z punktu widzenia normalnie społecznego i ludzkiego są one bezprawiem, a z punktu widzenia polityki, również ogół ludzkości obchodzącej, są szkodliwym nonsensem.

Tymczasem jednak w Japonji przeludnienie staje się coraz to groźniejszem, a brak gruntów uprawnych, rozdrobnienie gospodarstw, dochodzi do granic, absolutnie w Europie nieznanych. Przeciętnie na jedną rodzinę japońską, złożoną z pięciu osób, przypada jeden „cho", czyli

równo dwie nasze morgi ziemi, z czego połowa zasiana jest ryżem, a drugą zajmują wszystkie inne rośliny spożywcze, a zwłaszcza jarzyny. Dla prowincji Kawakawe średnia ta jeszcze jest niższą, bo zaledwie 0,85 „cho". Przeszło 35% rolników japońskich nie rozporządza więcej, niż po pół hektara ziemi, przyczem 28% stanowią tu dzierżawcy, 40% dzierżawcy i właściciele w jednej osobie, co znaczy, iż posiadacz zbyt małego skrawka gruntu donajmuje od innego, a tylko 32% sami właściciele. A jednak i tu mamy przykład dla naszych panów demagogów z wszelkich stronnictw, żądających (a tylko w celach wyborczych) wciąż parcelacji i „reform“; ludność japońska żyje na tych poletkach, rozwija się i jest o całe niebo bardziej kulturalną od naszych, nietylko „małorolnych“, ale nieraz i większych właścicieli.

Ale cała ta pracowita kultura rolna nie wystarcza na wyżywienie narodu, więc Japonja musi masowo sprowadzać żywność, robiąc to na koszt Chin, a właściwie Mandżurji, wywołując przez to samo brak żywności w Chinach i pogłębiając kryzys azjatycki bez żadnej dla siebie przyszłości.

Uprzemysłowienie Japonji, które postępowało w tempie miernem w Europie, wywołało znowu brak surowców, a zwłaszcza węgla i rudy żelaznej, którą też w ilościach, z każdym rokiem wzrastających (więc np. węgiel z Mandżurji: w r. 1922 sprowadzono 1.187 tys. ton, w 1926 już 2.012 tys. ton — gdy w r. 1913 zaledwie 140 tys. ton!), sprowadza Japonja z Chin, czem częściowo paraliżuje rozwój techniczny chiński i temsamem nie udziela tam pracy miljonowym rzeszom robotniczym z południa i środka olbrzymiej żółtej republiki.

Tu zresztą leżą i główne powody tej dziwnej animozji, jaka istnieje pomiędzy temi dwoma wielkiemi mocarstwami rasy żółtej, animozji, wywołanej przez obecną i przewidywaną w najbliższej przyszłości walkę ekonomiczną i demograficzną tych ludów. Japonja widzi się wkrótce jako stu-

miljonowe mocarstwo, zamknięte na ciasnym i ubogim archipelagu, bez możności ekspansji na zachód ze względów przeludnienia tegoż azjatyckiego zachodu i z zamkniętą ekspansją do wszystkich tych krain, w których ją ubiegła rasa biała. Japonja doskonale widzi tu swego wroga, którym niemal wyłącznie są kraje anglosaskie i mimo wszelkich paktów, traktatów, przymierzy czy „ententes", z wrogiem tym będzie się musiała wkrótce zmierzyć, dla rozstrzygnięcia sprawy orężem. Dlatego też widzimy to dziwne tolerowanie bolszewizmu przez rząd japoński, bo bolszewizm w pierwszej linji musi obalić panowanie Anglji, a temsamem „otworzyć" przed Japonją zamknięte dotąd tereny. Polityka samobójcza i ograniczona! Ale tymczasem panuje pokój i era „pan-fikcji", pokój nienaturalny, bo wynikły z kompromisów, a jeszcze mniej naturalne i szczere są te wszystkie kongresy i konferencje. Stąd atmosfera duszna, parna, w której, jak w źle urządzonej cieplarni, miast wyniosłych palm, mnożą się pleśnie i grzyby trujące; buja nacjonalizm szowinistyczny, przeżera podstawy społeczne — bolszewizm.

Przechodząc z kolei do innych zbiorowisk, musimy rzucić okiem na francuskie i angielskie „protektoraty" Anamu, Tonkinu, Indochin, półwyspu Malajskiego, Sjamu.

Przeciętny europejczyk bądź o tych krajach nic nie wie (i zdaje mu się, że wiedzieć nie potrzebuje), bądź traktuje je jako kolonje i bezsilne, małowartościowe drobnostki, niczem nie mogące zaważyć w polityce świata. A przecież są to wielomiljonowe skupiska ludzkości, kraje niemal równie gęsto zaludnione, jak Belgja lub Holandja, a przestrzenią przewyższające „mocarstwa" europejskie! Jakież tam panują stosunki?...

W samych Indochinach znajdujemy zmieszane i splątane ze sobą cztery całkiem odmienne, już nawet nie szczepy, a rasy: Anamici, Kmersowie, Lao-tieny i Sjamczycy. Dziś jeszcze rasy te żyją w jakiejś niewyjaśnionej, atawistycznej wzajemnej niechęci, która jedynie ułatwia i umoż-

liwia białym ich panowanie, ale posiadają one też i wspólne cechy: skrytość, żądzę handlu, szanują li tylko siłę oraz wspólną i łączącą wszystkich nienawiść do białych wyzyskiwaczy.

Przeludnienie tych krain jest już w niektórych miejscowościach równie tragicznem, jak i w Chinach południowych i tu znów najbardziej wyzysk europejskich aferzystów daje się we znaki, żeruje na nędzy tuziemców. Dziesiątki tysięcy tych ludzi, aby móc przeżyć choć z garścią ryżu zimowe miesiące, musi iść na zarobkowanie w inne strony i wpada w straszliwe sidła typowych handlarzy ludzi; tysiące i dziesiątki tysięcy tych nędzarzy ginie, jak galernicy, w ciężkiej niewolniczej służbie plantatorów lub właścicieli kopalń, bądź w Indjach, bądź na wyspach Malajskich, bądź w pustyniach Australji. Wszystko to odbywa się pod maską formalności „kontraktów“ i ochroną sądów europejskich, a opiera się na wyrafinowanem oszukiwaniu analfabetów. Tysiące ich ginie, ale i tysiące powraca do kraju i ci są już „uświadomieni“, ci niosą w swych sercach nienawiść i zemstę, niosą przedewszystkiem surogaty liberalizmu europejskiego i teorji Marksa.

Wyzyskuje się tu zresztą równie bezwzględnie i rabunkowo tak ludność, jak i bogactwa naturalne kraju i za wyjątkiem prawie samodzielnego Sjamu, kapitaliści europejscy postępują tu jak zaślepieni szaleńcy, bez jakichkolwiek widoków na przyszłość, a tylko z żądzą doraźnego zysku. Jest to też również jednym z potężnych atutów w rękach agitatorów bolszewickich. Ostatnie bunty w Indochinach, a zwłaszcza szczegóły następnych procesów, ukazują nam już w całej pełni gotową do czynu organizację Sowietów, ukazują też i lekkomyślność miejscowych białych, a przedewszystkiem dziwne zaślepienie rządów. Przykład Chin, które pomimo niebywałego wewnętrznego rozkładu i bezustannej wojny domowej, w kilka lat uwolniły się całkowicie od ingerencji mocarstw europejskich, działa podniecająco na rozbudzony przez Sowiety miejsco-

wy radykalizm, a niebywale szybki przyrost ludności i nędza tłumów dają niewyczerpalny materjał ludzki dla zbliżającej się wielkimi krokami „rewolucji“.

Tutaj, może nawet wcześniej, niż w Indjach, trzeba się liczyć z wypędzeniem (a ściślej mówiąc: z wyrżnięciem) białej ludności, z uniezależnianiem się tych narodów, z powstaniem nowego lub nowych azjatyckich mocarstw, albo nowego „sowietu“, który — jak Mongolja — zleje się z „matuszką“ Sowdepją!

Czem są Indje Brytyjskie, to wydaje się nam, że wiemy, boć się od paru lat ciągle o Indjach pisze, ale nawet zdając sobie sprawę z ruchu Gandhiego, z antagonizmów klasowych lub religijnych między hindusami a mahometanami — umysł europejczyka nie jest w stanie objąć tego mrowia 350-miljonowej ludności, z trzech stron zamkniętego oceanem i tradycją prawieków kierującego się na północny zachód!

Masowy ruch emigracji tych Arjów, o ile upadną wiążące go dziś sztuczne, a tak fantastycznie słabe zapory, może w ciągu paru lat zmienić oblicze demograficzne Persji, Afganistanu, Arabji, może nietylko zalać te kraje nowymi przybyszami, lecz zmusić tuziemne ludy do dalszej emigracji, rozpętać faktyczną wędrówkę ludów.

Dotychczas ruch emigracyjny z tego olbrzymiego rezerwoaru ludzkiego wybitnie zasilał pustynną wciąż jeszcze Australję, gdzie procentowo ludność hinduska wynosi 1% ludności, wyspy Borneo i Fidji, dalej przylądek Malajski oraz dalekie amerykańskie kolonje Anglji: Trinidad i Guyanę, gdzie przekracza 10%, wyspę św. Maurycego, gdzie dochodzi do 50%, wreszcie kolonje Afryki: Kenję, Zanzibar, Transwaal, Natal i Przylądek Dobrej Nadziei, oraz francuski Madagaskar i wyspę Reunion, gdzie wszędzie, pomimo bardzo gęstego tuziemnego i europejskiego zaludnienia, ilość t. zw. „indentured“ indyjskich przekracza 1 pro mille. Ale emigracja ta nie posiada ani cech trwałości, ani planu demograficznego, gdyż przeważ-

nie składa się z sezonowych, a do ostateczności wyzyskiwanych robotników, nie posiada też żadnego planu państwowo-twórczego z punktu widzenia metropolji i niczem nie sprzyja ulżeniu wzrastającemu wciąż przeludnieniu Indji.

Tysiące nieszczęśliwych biedaków, szukających chleba, stale opuszcza Indje i tysiące jeszcze nieraz nędzniejszych i pozbawionych środków robotników powraca stałą falą do swej przeludnionej ojczyzny. O ile pierwsi wynoszą ze sobą tylko rezygnację i mglistość umysłową Wschodu, o tyle ci drudzy przywożą zarazki socjalistycznych nastrojów — powracają jako tłumy agitatorów. Hindus daje europejskim kapitalistom swą pracę i często nieraz swe życie, a oni mu za to szczepią pomysły etatyzmu i przygotowują grunt pod bolszewizm. I w tej wymianie odrazu spostrzegamy karę za krótkowzroczność i egoizm białych, stąd gromadzą się coraz to cięższe chmury rewolucji, stąd zresztą wyszedł i to była jego życiowa droga — Gandhi!

Dzisiaj nad 350-miljonowym półwyspem Indostanu zasunęła się ciemna zasłona tajemnicy przyszłości i zdają się spóźnionymi wysiłki rządów metropolji, by nawet, nie mówiąc już o dogodnem rozwiązaniu tego prawdziwie gordyjskiego węzła zagadnień polityczno-ekonomicznych, przynajmniej bez katastrofalnych następstw wycofać się z honorem.

Mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, że te ciągłe ruchy i rozruchy, te bierne lub czynne strajki, opory czy głodówki, pochłonąwszy tysiące, a może wreszcie i miljony ofiar, „wyzwolą“ wreszcie Indje z pod „opieki“ Anglji. Takby się stać mogło i tak też zapewne stanie się w Egipcie, lecz Indje, to konglemerat trudny do ujęcia, nawet abstrakcyjnie. Wystarczy przeczytać raport komisji Simons‘a, aby dojść do wniosku, że o ile Indje pod panowaniem Anglji są czemś trudnem do zbadania i zrozumienia, to Indje bez Anglji są już czemś nie do pomyślenia.

Tu odrazu wybuchnie chaos i tu natychmiastowo może się wytworzyć żywiołowy ruch ludów, wzajemnie się spychających, ruch 220 różnojęzycznych plemion i narodów, które wszystkie prężą się w zbyt ciasnych granicach i muszą wreszcie znaleźć miejsce dla życia. Ruch ten, przyśpieszony popieranym przez bolszewików nacjonalizmem (to bynajmniej nie paradoks!), niema innej drogi, nie znajdzie innego wyjścia, jak na północny zachód i zaleję niewątpliwie Persję, Afganistan, Turkiestan i... dalsze równiny, któremi od wieków ciągnęły wszystkie hordy wędrujących ludów. Anglosaska egoistyczna polityka zamknęła dla mieszkańców Indostanu wszelkie inne możliwości.

Ale wszystkie dotychczas poruszane przypuszczenia leżą jeszcze w mniej lub więcej problematycznej przyszłości, gdy rzeczywistość faktu widzimy już w Chinach! Przeludnienie Chin, to niemal komunał! Fakt tak powszechnie znany, że znów, jak z rzeczywistością własnej śmierci, nikt się z nim nie liczy, nikt o nim nie myśli. Lecz o ile wszyscy wiedzą, iż Chiny są przeludnione, że tam dzieci świniom na karm wyrzucają, że głody i rozmaite z przeludnieniem związane klęski zabierają tam miljony ofiar, o tyle nikt nie wie dokładnie ani jaką jest liczebność ludności Chin, ani jakie to części tego olbrzymiego mocarstwa cierpią na przeludnienie, jakie są przyczyny nierównomiernej gęstości zaludnienia, a co najważniejsze, jak w rzeczywistości stoi ta sprawa w dobie dzisiejszej?

My znamy Chiny takie i tak, jak znali je i widzieli nasi ojcowie lub nawet dziadowie w drugiej połowie XIX-go wieku! Stwierdzenie tego faktu równa się powiedzeniu, że Chin absolutnie nie znamy i że pozostają one dla nas bardzo egzotyczną i daleką krainą.

Zwróćmy uwagę choć na parę wybitniejszych objawów dzisiejszego życia Chin, a przedewszystkiem na obchodzący nas w danej chwili problemat demograficzny i postarajmy

się odpowiedzieć na pytanie: jaką liczbą głów rozporządza dziś naród chiński?

Trudno w pobieżnym rzucie oka wnikać w szczegóły, przypatrzmy się jednak kilku cyfrom. Oto według spisów ludności, prowadzonych w Chinach od r. 1741 przez przeszło sto lat systemem „paoczia", czyli przez zgrupowanie rodzin, ludność ta w r. 1849, a zatem przeszło osiemdziesiąt lat temu, miała wynosić około 413 miljonów. Rozmaici badacze twierdzą, że jest to zbyt wygórowana liczba, gdyż w takim razie dzisiaj ludność ta stanowićby musiała około 700 miljonów głów i np. prof. Wilcox ogranicza ilość Chińczyków w r. 1910 do cyfry 350-ciu miljonów, zaś dr. Legendre, również znakomity znawca demografji azjatyckiej, obniża ją do 300 miljonów. Tak mówią uczeni, jednakże statystyka ceł morskich w tymże 1910 r. tylko dla 18-tu prowincji cesarstwa podaje ścisłą liczbę 438.450 tysięcy ludzi i temsamem przemawia za znacznie wyższą liczbą ogólną, zbliżając ją niemal do statystyk starochińskich. Równie więc mało wiemy o ilości ludności Chin, jak i o samych Chinach, lecz sądzę, że bez wielkiej omyłki twierdzić można, iż dzisiaj ludność ta przekracza pół miljarda!

Co jednakże jest tam osobliwego i na pierwszy rzut oka niewytłumaczalnego, to fakt, że ludność chińska tłoczy się całkowicie w prowincjach centralnych, południowych i chińskiego Tybetu, gdy bogata w urodzajne gleby północ stanowiła do ostatnich czasów niemalże niezamieszkałą pustynię. Przedewszystkiem kolosalny obszar Mongolji, będącej już dzisiaj integralną częścią związku sowieckiego, zawsze w ciągu historji odstręczał Chińczyka swem pasmem bezwodnych pustyń i wojowniczą mongolską tuziemną ludnością, od której najazdów oddzieliło się niegdyś Cesarstwo Środkowe słynnym murem. Obecnie większa część granicy mongolskiej stoi w bezustannym ogniu wojny domowej i resztki spokojnej ludności emigrują stamtąd bądź w stronę Tybetu, bądź ku Mandżurji. Dynastja

Mandżurska, opanowawszy tron chiński, czuła się wciąż obcą duchem i rasą względem mieszkańców południa i pragnąc zachować nietkniętą etnograficznie prowincję, skąd pochodziła, zabroniła wszelkiej emigracji Chińczyków do żyznej Mandżurji. Wojna rosyjsko-japońska oddała Mandżurję pod wpływy Japonji, lecz młode mocarstwo azjatyckie bądź nie umiało, bądź dla trudnych do zrozumienia przyczyn nie chciało kolonizować jej swymi poddanymi. Dopiero po upadku Cesarstwa, a temsamem i dynastji Mandżurskiej, znikły sztuczne przeszkody, stawiane ludności centralnych Chin i zaczął się ruch emigracyjny, dziwnie już przypominający wędrówkę ludów!

Dość spojrzeć na cyfry, aby nabrać przekonania, że to, co nazywamy „ruchem narodów", nie leży jedynie w przeszłości. Tak między latami 1917 a 1922 każdorocznie około 15 tysięcy robotników chińskich, zapotrzebowanych przez rozrastający się przemysł japoński, dążyło do Mandżurji i osiadało tam częściowo wzdłuż linji kolejowych Mukden — Charbin i Tsi-Tsi-Kar. W r. 1924 liczba emigrantów, przewiezionych kolejami z prowincji Czeli i Czang-Tungu, przekroczyła 400.000, w r. 1925 — 500.000, w 1926 — 600.000; w r. 1927 nagły skok do 1-go miljona, a w r. 1928 już przeszło dwa miljony! Jednocześnie Chiny wpadają w wir zaciętych walk domowych, naturalnego skutku rewolucji, wpadają codziennie głębiej w odmęty zawieruchy bolszewickiej, również naturalnego skutku przejęcia się zasadami demokracji europejskiej i zastosowania wszystkich „dobrodziejstw" parlamentaryzmu w polityce i socjalizmu w życiu społecznem. Klęski głodu i wojny w straszliwy sposób zaczynają ciążyć na tej przeludnionej krainie i ruch emigracyjny już pod koniec 1929 roku przyjmuje charakter paniki. Do 60% ludności niektórych okręgów Czel lub Szan-Tungu opuszcza rodzinne strony, zabierając ze sobą cały skromny dobytek i tu już ani koleje, ani inne normalne transportowe środki nie są w stanie wydołać zadaniu!

Początkowo nieprawdopodobnie szerokiemi drogami, a dalej już wprost na przełaj, przez pola, lasy i pustynie, ciągną olbrzymie korowody, zbiedzone, wynędzniałe, głodne hordy, szukając ratunku w mieście, ciągną na północ i na wschód, do trzech wielkich mandżurskich prowincji, znacząc te szlaki tysiącami trupów i... niszcząc doszczętnie, przez samą swą obecność, kwitnące dotąd pograniczne okręgi Girinu i Tsi-Tsi-Karu — prą dalej, aż za Mukden na wschodzie, za Charbin na północy. Tej lawiny ludzkiej nie powstrzymują ani olbrzymie rzeki — dziesiątki tysięcy dosięgły już granicy Syberji; potężne hordy, ale te już uzbrojone, przekroczyły Amur i Sungari i, jak Tatarzy wpadli niegdyś na dzikie pola, tak oni dziś rabują Nadamurze, łącząc się w coraz to potężniejsze bandy tak zwanych Chun-Chuzów.

Tam daleko, na tym tak mało nas zajmującym „Dalekim Wschodzie", wędrówka ludów już się więc rozpoczęła!

Przechodząc wreszcie do trzeciego momentu zagadnienia azjatyckiego, musimy przedewszystkiem stwierdzić, iż od samego początku istnienia bolszewizmu jego przywódcy genjalnie odgadli, że, aby przynieść zagładę całemu światu, muszą przedewszystkiem agitację bolszewicką rozprzestrzeniać po Azji. Widział to jasno Lenin, widzieli wszyscy bez wyjątku jawni i tajni kierownicy sowietów i w odróżnieniu od mdłej i utopijnej dyplomacji rządów europejskich, a przy wybitnym współudziale Niemiec, nietylko, że sprawę terytorjalnie ujęli, ale i logicznie, z żadnemi nie licząc się stratami, przeprowadzili i nadal prowadzą!

Co np. w tragedji chińskiej jest najstraszniejszego, to fakt, że niemal od samego początku rewolucji zdemokratyzowany nacjonalizm chiński oparł się bezwzględnie na bolszewizmie Rosji! Dziś już z całą pewnością można stwierdzić, że w Chinach przegrała polityka wszystkich mocarstw, że zwycięstwo niepodzielnie należy do Sowietów i ich cichego wspólnika — narodowego demokratyzmu nie-

mieckiego. Instruktorzy, broń, przemysł wojenny, nawet dowódcy, wszystko to jest organizowanem, dostarczanem, opłacanem przez Niemcy i Sowiety, a tłumy agitatorów komunistycznych nietylko, że zalały całe Chiny, ale już jako „przetwór“ azjatycki i wciąż szybciej i skuteczniej, ręka w rękę z „nacjonalizmami“ rozmaitych plemion, idą dalej i dalej, podkopując fundamenta całej europejskiej kultury i wszystkich interesów białej rasy w Azji.

Taka Mongolja stanowi dzisiaj wypadową twierdzę bolszewizmu i niewiadomo, czy się nie stanie wkrótce olbrzymim arsenałem władców Moskwy. Dzieją się tam rzeczy dziwne i tajemne, coś się przygotowuje, czego mała nasza europejska dyplomacja, związana bałaganem parlamentarnym i pogrążona w „paktach“ i „rozbrojeniach“, nie widzi i widzieć nie chce. Czasem tylko, jak daleki odblask błyskawicy, ukaże się skromna wzmianka o jakichś budujących się tam fabrykach, zakładach, o ćwiczeniach jakichś armji, a wśród różnych semickich nazwisk komisarzy sowieckich zabrzmi przypominające Waterloo imię: Blüchera!

Wpływy Rosji wzmogły się w całej Azji w ciągu kilku ostatnich lat w sposób wprost niebywały. Anarchizm demokratyzujących się Chin przyciąga wprost do siebie bolszewizm rosyjski, pije z zatrutej czary i upija się nim. Nędza, panująca niemal niepodzielnie wśród wszystkich krain azjatyckich, przygotowywuje umysły do przejęcia się doktryną Marksa, do stanięcia po stronie ideologji śmierci.

W całym Kwang-Tungu, w całej potężnej prowincji Kwang-Si, wszystkie związki chłopskie tworzyły się i nieprawdopodobnie szybko rozprzestrzeniały pod bezpośrednim kierownictwem Moskwy. Propaganda „komisarzy ludu“ robi codziennie olbrzymie postępy w Japonji, Anamie, Indjach. I wszędzie tam bolszewizm rozwija się (podobnie zresztą, jak i w Arabji i Afryce) na tle nacjonalizmów i dziwnem jest, że dotychczas to wzajemne wspieranie się tych, tak zdałoby się dalekich od siebie prądów, nie zostało ani należycie podkreślonem, ani nawet bliżej zbadanem.

Bezwątpienia istnieć muszą i istnieją wspólne nici, kierujące obu ruchami, nici, których wspólny węzeł łatwo wskazać, zwracając oczy na ludzi, podkopujących Kościół i religię wogóle — na masonów *).

Bolszewizm przez swych agentów prowadzi wywrotową kampanję, roznieca nacjonalistyczne żądze, zaś ruch typowo doktrynerski takiego np. Gandhiego, odżegnując się platonicznie (ale z oburzeniem!) od współpracy z Moskwą, uczy masy wszystkich używanych przez wywrotowców europejskich metod, zastosowanych w danym wypadku na specyficzną, bramińsko-buddyjską modłę.

Od samego początku rządów bolszewickch stworzyła Moskwa szeregi „instytutów" wschodnich dla wychowania agitatorów „narodowych" (sic!) dla całej Azji i o ile wiele rzeczy można krytykować w dzisiejszej Rosji, to trzeba przyznać bolszewikom, że w dziedzinie propagandy, akcji rozkładu i dyplomacji stoją oni stale na pierwszem miejscu.

W całej zaś Azji tysiące studentów z pozakładanych na modłę europejską uniwersytetów i wyższych szkół, nie otrzymując zajęcia, wraca do nędzy środowisk, z których pochodzi, tworząc olbrzymi tłum niezadowolonej półinteligencji, formując kadry umysłowe dla zbliżającej się burzy. Europejscy badacze zagadnień wschodnich widzą Azję przyszłości, bądź wylewającą w bezustannym potopie emigracji swoje tłumy na wszystkie inne kontynenty i wzywają do odrzucenia tej emigracji, budowania nowych „chińskich" murów — bądź też Azję podkopaną zewsząd za-

---

*) W tem miejscu Redakcja „Naszej Przyszłości" pozwala sobie zauważyć, iż nie wierzy w taką wszechwładzę masonerji, jaką niektórzy jej przypisują. Niemniej jest prawdą, że masonerja w różnych wywrotowych prądach macza swe ręce i że — zależnie od swych poszczególnych celów i innych okoliczności — umie doskonale wiązać patrjotyzm z wywrotem, skrajny nacjonalizm z międzynarodówką, plutokrację z radykalną demokracją aż do bolszewizmu. Wydaje nam się jednak, że masonerja wszystkich tych skrajnych prądów nie stworzyła i nimi bezpośrednio nie jest w stanie kierować, ale tylko po mistrzowsku wyzyskuje je i wygrywa dla swych celów.

mieszkami, broczącą w krwi własnych dzieci i resorbującą nadmiar swej ludności w ciągłych walkach oraz klęskach głodu i zarazy. W ten sposób uspakajają opinję cywilizowanego świata.

Oba te obrazy nie są bynajmniej zachęcające, ale też i niewiele mają wspólnego z rzeczywistością!

Azja, pomimo niebywale ciężkich warunków, organizuje się, a solidarność azjatów w walce z obcymi nabiera coraz to więcej aktualności, zaś tłumy azjatyckie rosną z dnia na dzień i temsamem szukają wyjścia w punktach najmniejszego oporu. Anarchja azjatycka, skutecznie poparta i organizowana przez Moskwę, idzie w parze z szowinizmem narodowym, a raczej w danym wypadku — rasowym i wytwarza, obecnie jeszcze zamglony, lecz już zarysowywujący się prąd ku „generalnej rozprawie" z dotychczasowemi mocarstwami. A ponad wszystko i wszystkiem urzeczywistnia się coraz bardziej groza wybuchu ogólnej wędrówki ludów! Zresztą Azja zdezorganizowana, będąca ofiarą ogólnej anarchji, jest dla pokoju światowego równie groźną, jak Azja zorganizowana i mocarna. Rozkład Wschodu pociągnie za sobą tyleż trudności i klęsk, co i ekspansja imperjalistyczna tegoż Wschodu. Ale raz jeszcze zaznaczyć musimy, że są to „tylko" polityczne niebezpieczeństwa. To zaś, co naprawdę grozi zagładą naszej cywilizacji, to leżący zupełnie w dziedzinie fizycznej tłum azjatycki, wylew nagły mas ludzkich i zniszczenie, pochłonięcie, zatopienie przez azjatów wszelkich posiadłości i dóbr ras europejskich.

Wędrówka ludów się zbliża, jej to może już bije w tej chwili godzina — ale możliwym jest jeszcze ratunek! Jak dla skończenia z bolszewicką Moskwą wystarczyłby jeden rok solidarności krajów cywilizowanych, wystarczyłoby poczucie uczciwości wśród areopagu światowej dyplomacji, tak dla zapobieżenia katastrofalnej wędrówce ludów wystarczy logika niezaprzeczalnych faktów i znów szczypta solidarności w polityce mocarstw.

Azjatom musi się dać miejsce do życia i miejsce to leży właśnie w Azji.

Być może, iż jest to właśnie wskazówką planu, zakreślonego przez Opatrzność, by prawie połowa kontynentu azjatyckiego, jedna siódma część sumy wszystkich lądów świata, pozostawała dotychczas omal niezamieszkałą i znajdowała się w całkowitem władaniu szajki zbrodniarzy, konsekwentnych uczni Marksa — bolszewików! Olbrzymie, zupełnie dogodne do zamieszkania, urodzajne przestrzenie Sybiru, Turkestanu, Siedmiorzecza, za wyjątkiem niemożliwych dla kolonji tunder północnych (a i te w miarę zaludnienia Syberji znacznie odsuną się na północ), cały obszar t. zw. azjatyckiej Rosji, stanowi jakoby naturalną klapę bezpieczeństwa dla zapobieżania wylaniu się azjatów na cały świat cywilizowany. Ulokowanie tam nawet teraz paru setek miljonów ludzi jest zupełnie możliwem i przyniosłoby ekonomice ogólnej świata nieobliczalne korzyści.

Ale, aby to zrobić, aby urzeczywistnić hasło: Azja dla azjatów! — aby bez niebywałego kataklizmu ludzkości, spokojnie i rzeczowo uruchomić nadmiar mas azjatyckich ku ich naturalnym siedliskom, ująć w ramy i utrzymać na wodzy piętrzące się już zewsząd hordy, trzeba znów, by dyplomacja cywilizowanych ludów, miast zaprzątania umysłów mrzonkami i fikcjami, zechciała myśleć rzeczowo i naprawdę wspólnie działać dla dobra ludzkości.

Postulat ten zdaje się więcej, niż wątpliwym do urzeczywistnienia i prawdopodobnie nigdy nawet rozpatrywanym nie będzie, wobec czego już może niezadługo małostkowy światek cywilizacji europejskich stanie w obliczu żywiołowego faktu wędrówki ludów i historja rozpocznie w swych księgach nowy i nieznanej rozpiętości okres czasów!

Józef Tyszkiewicz.

Sprawa, poruszona przez autora powyższego artykułu, jest istotnie zagadnieniem pierwszorzędnego znaczenia, bez względu na to, jakie każdy mógłby zająć wobec niej stanowisko. Ważną jest nietylko dla białej rasy, nietylko dla cywilizowanej Europy, ale przedewszystkiem dla Polski, która prędzej i więcej od innych musiałaby odczuć wszelkie skutki takiej „wędrówki" ludów azjatyckich.

Nie potrzeba tego specjalnie argumentować. Niestety jednak nasz rodzimy, nadmierny aktualizm polityczny, który zajmuje się prawie wyłącznie tylko zagadnieniami danego dnia, nie lubi sięgać w nieco dalszą przyszłość, choćby prawdopodobnie brzemienną w doniosłe wypadki, odnosząc się do takich zagadnień z lekceważeniem. Myśl polityczna społeczeństwa polskiego przyzwyczaiła się od szeregu wieków nie sięgać poza bezpośrednie wypadki. I to jedna z naszych stron najsłabszych.

Jeżeli dążymy naprawdę do „mocarstwowej przyszłości", to przedewszystkem zerwać musimy z dotychczasowem nadmiernem aferowaniem się drobnemi aktualjami każdej bieżącej doby. Musimy nauczyć się traktować różne sprawy w perspektywie możliwej przyszłości. Bo to, co jest, znamy doskonale i niema o tem zwykle potrzeby długo dyskutować. Ciekawszą i ważniejszą dla państwa jest przyszłość, bo ona dopiero rozstrzygnie o jego losach i dlatego nie powinna nigdy zaskoczyć nas nieprzygotowanych. Stąd też zarówno tytułem, jak i treścią naszego wydawnictwa staramy się zwrócić uwagę społeczeństwa przedewszystkiem na to, co nam przyszłość przyniesie lub przynieść może.

Prawie równocześnie z artykułem hr. Tyszkiewicza otrzymaliśmy krótkie, ale bardzo ciekawe uwagi na podobny temat od jednego z naszych wybitnych publicystów, który zamierza ująć swe poglądy później w obszerniejszej pracy, a tymczasem komunikuje nam w następujący sposób

swe myśli przewodnie z prośbą o nieujawnianie na razie swego nazwiska.

„Do nas należy Wschód. Nie wierzę w to, że Zachód zamiera, że się kończy. Twierdzenia, z jakiemi się spotykałem np. w literaturze niemieckiej na temat „Dämmerung des Abendlandes“ czy zgoła „Untergang des Abendlandes“, uważam za całkiem błędne. Straszenie żółtem i czarnem niebezpieczeństwem uważam też za niesłuszne. Rasa biała była zawsze, jest i będzie rasą panującą. Systematycznie podbijała i podbija nadal świat, odkąd wystąpiła na widownię, wchłaniając i przedziwnie asymilując w sobie najlepsze pierwiastki ras podbijanych.

„Chińczycy trzymali się dobrze, póki żyli za murem chińskim, ale gdy wpuścili do siebie pierwszych europejczyków, zaczął się początek końca rasy żółtej. W odrodzenie Chin nie wierzę. Chińczycy rozmnażają się jak myszy, ale jeszcze szybciej mordują się i zagryzają. Wszystko, co biały człowiek ma najgorszego, wszystkie trucizny, jakie nagromadziły się w nim w czasie długich jego epok rozwojowych, oddaje ludziom kolorowym. Sam się oczyszcza, a oni giną. Zginą Chińczycy z bolszewizmu, militaryzmu i alkoholizmu, jak wyginęli Indjanie, jak wyginęły w zetknięciu z białą rasą pewne szczepy mongolskie.

„Nie runie ze Wschodu żadna żółta fala, nie przyjdą stamtąd kosoocy pogromcy, ale biała rasa — idąc od wschodu z Ameryki i od zachodu poprzez Rosję — opanuje wschód. Sama się tam oczyści i wzmocni i wejdzie może na najwyższe szczyty rozwoju. Wszak kilkadziesiąt tysięcy Anglików trzyma w swej mocy trzysta miljonów Hindusów i utrzyma ich — o to nie mam obawy. Przecież w Indjach nawet socjaliści Macdonald i Henderson są tylko przedstawicielami zaborczej i zdobywczej rasy białej. Kultura europejska zabija nieeuropejczyka przez to, że go podnosi. Wyciąga kreta na światło słońca, rozwala twierdzę

termitów. A promienie słońca zabijają i krety i termity. Jak długo termity chińskie i hinduskie były odgrodzone od światła kultury europejskiej, tworzyły swego rodzaju cuda, wzbudzające w nas podziw i u niektórych nawet strach przed jakąś nieznaną, tajemniczą potęgą.

„Z tego stanowiska widzę jakgdyby systematycznie i z woli przeznaczenia odbywający się pochód kultury europejskiej ku wschodowi. Niesie on ze sobą konieczność pewnych przesunięć w tę stronę. Polska powinna być przednią strażą kultury zachodniej, nastawionej — po zawierusze, chaosie i zamęcie wojny światowej — znowu w szyku marszowym na wschód. I w tym charakterze będzie miała do swej dyspozycji wszystko, co zachód dać może.

„Rosja nigdy taką przednią strażą nie będzie, bo ona sama jest wschodem. Piatiletka może i będzie w Rosji wykonana i Rosja może i stanie się potęgą gospodarczą — ale Rosja zginie i tak. Zginie właśnie przez tę europeizację i amerykanizację, bo jest wschodem. Inżynierowie amerykańscy już z Rosji nie wyjdą. Oni te wszystkie fabryki, jakie obecnie tam powstają przez ich współdziałanie, już dla siebie budują. A może i dla nas, czy dla Niemców?

„W zachód wątpić nie wolno, nie wolno szczególnie nam, bo my jesteśmy jeszcze w połowie wschodem i łatwo los wschodu podzielić możemy. Dlatego główną wytyczną naszej polityki narodowej powinno być porozumienie z zachodem, a gotowość do akcji na wschodzie".

Na pierwszy rzut oka tendencja powyższych uwag zdaje się być przeciwną tendencjom artykułu hr. Tyszkiewicza. W rzeczywistości tak nie jest, gdyż — jakichkolwiek argumentów używają obaj autorzy — w ostatecznej, praktycznej konkluzji są zgodni: konieczność solidaryzmu państw zachodnio-europejskich wobec doniosłych wydarzeń,

jakich widownią może być już niezadługo Rosja i Azja.

W każdym razie temat to wielce ciekawy i może aktualniejszy dla nas w najbliższej przyszłości, niż się niejednemu wydaje. Wiąże się zaś ściśle ze wzmagającą się znowu prężnością Niemiec ku wschodowi, która jest czemś więcej, jak tylko hałasem tamtejszej nacjonalistycznej prasy. Trzeba też o tem mówić i pisać — taktownie, ale wyraźnie. Zatykanie sobie oczu i uszu nie rozwiąże tak ważnej sprawy.

Otwieramy dyskusję.

PRAWDA O LUDWIKU XVII.

Ludwik XVII, właściwie Karol Ludwik, drugi syn króla Ludwika XVI i Marji Antoniny, urodzony 27 marca 1785 r., nosił początkowo tytuł księcia Normandji i został dopiero 4 czerwca 1789 r., wskutek zgonu starszego brata, Ludwika Józefa, następcą tronu Francji („Dauphin“). Po śmierci swego ojca, straconego, jak wiadomo, na podstawie wyroku konwencji narodowej 21 stycznia 1793 r., został on przez swego stryja, hrabiego Prowancji, późniejszego króla Ludwika XVIII, znajdującego się wówczas na wygnaniu w Westfalji, proklamowany królem Francji, jako Ludwik XVII i uznany jako taki przez większość rządów europejskich. Początkowo był on internowany wspólnie z matką i siostrą w twierdzy „Temple“, gdzie rodzina królewska po obaleniu monarchji została więziona, a 11 lipca 1893 r., a więc trzy miesiące przed straceniem królowej, został pod groźbą śmierci wyrwany z objęć zrozpaczonej matki i oddany na wychowanie szewcowi Simon, typowemu „chamowi“ i jego żonie, czynnym członkom rządzącej wówczas najskrajniejszej partji rewolucyjnej „Jakobinów“.

Po obaleniu ich krwawych rządów i straceniu Robespierre‘a i jego całego terorystycznego otoczenia, umiarkowani zwycięscy, t. zw. „termidorianie“ (według miesiąca rewolucyjnego kalendarza, w którym obalenie to nastąpiło), zaopiekowali się — szczególnie późniejszy członek dyrektorjatu generał Barras — losem nieszczęsnego królewicza, a raczej króla i zapewnili mu lepsze warunki bytu, przyzwoite wyżywienie, mieszkanie, zaopatrzenie i opiekę lekarską. Jako jakobiński „wychowawca“, szewc Simon, został stracony, po protokularnem stwierdzeniu, że katowaniem i zatruwaniem alkoholem wymusił na dziecku oskar-

żenie własnej matki o kazirodcze skłonności. Niemniej, według oficjalnych źródeł ówczesnych rządów, nie zdołano już złagodzić fatalnych skutków deprawacyjnych metod Simona. Lekarz Dessault, wysłany do królewskiego więźnia w maju 1795 r. na wiadomość o jego chorobie, stwierdził urzędowo nieuleczalność Ludwika XVII, wyznaczona zaś specjalna komisja Konwencji, mająca zbadać przyczyny pogłosek o zatruciu królewicza, stwierdziła jego śmierć 8 czerwca 1795 r. z przyczyn naturalnych, oraz tożsamość denata z synem Ludwika XVI. Ciało jego zostało pochowane we wspólnym grobie na cmentarzu Św. Małgorzaty i zarzucone wapnem. Mówiono nawet poważnie o przeniesieniu następnie zwłok do innego cmentarza, względnie o wrzuceniu ich do wykopanego dołu w podziemiach Templu.

Jakkolwiekbądź, podjęte oficjalnie po wznowieniu monarchji we Francji za Ludwika XVIII poszukiwania za ciałem Ludwika XVII ne dały żadnego rezultatu. (Ciało Ludwika XVI, pochowane na cmentarzu Św. Małgorzaty, zostało po restauracji Bourbonów pochowane w St. Denis w grobowcu królewskim).

Tak szczegół powyższy, jak i stwierdzony jeszcze swego czasu fakt zatrzymania na drodze z Paryża do Fontainebleau 9 czerwca 1785 r., a więc nazajutrz po rzekomej śmierci Ludwika XVII, niejakiego Aujardins z dziesięcioletnim nieznanego pochodzenia chłopcem, których następnie na rozkaz z Paryża zwolniono, stały się pierwszemi podstawami do zakwestjonowania autentyczności śmierci królewicza. Już za Napoleona, a zwłaszcza później, za panowania Ludwika XVIII, pojawił się liczny szereg fałszywych delfinów, których korowód rozpoczął niejaki Jean Marie Hervagault, syn krawca w St. Louis, urodzony w 1781 r., który, mając 14 lat, umknął z domu rodzicielskiego i zdołał zjednać sobie wielu zwolenników, zwłaszcza w Bretanji, Normandji, Szampanji i Burgundji, aż sąd kryminalny w Reims zasądził go 3 kwietnia 1802 r. za licz-

ne oszustwa na karę więzienia, którą mu później Napoleon zamienił na twierdzę w Bicetre, gdzie umarł w 1812 r. Być może, że Hervagault był jednem z dzieci, które przejściowo grały rolę delfina w Temple. Po nim pojawił się niejaki Maturin Bruneau, urodzony 1784 r. w Vezins pod Cholet, w dawnej prowincji Anjou, gdzie ojciec jego wyrabiał saboty. Aresztowany 1803 r. za włóczęgostwo i zamknięty w domu poprawy w St. Denis, umknął następnie do Ameryki, skąd wrócił z pretensjami do tronu francuskiego, jako rzekomy Ludwik XVII. Sąd w Rouen skazał go na 7-letnie więzienie. Po rewolucji lipcowej 1830 r. wszelki ślad o nim zaginął. Najgłośniejszym zaś z fałszywych delfinów był t. zw. książę Richmont, który w latach 1833 i 1834 poruszał opinję publiczną bardzo żywo. Nazywał się on właściwie Francois Henri Hebert i pochodził z okolic Rouen. W 1828 roku ogłosił się Ludwikiem XVII. Po rewolucji lipcowej protestował on przeciwko wstąpieniu na tron Ludwika Filipa w dwuch odezwach, podpisanych nazwiskiem księcia de Normandie i starał się w „mémoires" uzasadniać swoje pretensje. Przekazany na rozkaz rządu sądowi departamentu Sekwany w Paryżu, został za fałszerstwo zasądzony na 12 lat więzienia, skąd jednak udało mu się zbiec przy pomocy zwolenników do Londynu, gdzie umarł w r. 1845. Dowody jego autentyczności były tak uderzające, że nie ulega prawie wątpliwości, iż musiał on za dziecinnych lat być w bliskim stosunku do dworu królewskiego, najprawdopodobniej jako nieślubny syn jednego z braci królewskich. Fałszerstwo jego niemniej stwierdzono ponad wszelką wątpliwość. Nader poważną wydawała się również tożsamość z uprowadzonym z Templu królewiczem pewnego młodzieńca, który zginął w czasie zaburzeń rewolucyjnych na wyspie San Domingo, gdy wybuchło powstanie murzynów przeciwko Francuzom. Był on rzekomo oddany pewnej kobiecie na wychowanie przez rewolucyjnych władców Francji właśnie w czasie rzekomego zgonu Ludwika XVII w Temple.

Jedyny z pretendentów do miana Ludwika XVII, którego tożsamość po dziś dzień jest przedmiotem sporów historyków i genealogów, przy wzrastającej przewadze przekonań o bezsporności tej tożsamości wobec pojawienia się na jej potwierdzenie coraz bardziej druzgocących dowodów, to zegarmistrz Karol Wilhelm Naundorff z Poczdamu, uderzająco podobny do Ludwika XVI i Burbonów. Spędziwszy szereg lat, poczynając od 1810 r., w Berlinie, Szpandawie, Brandenburgu i Krossen (w Łużycach), udał się po rewolucji lipcowej do Francji, daremnie zabiegając o widzenie się z księżną Angoulême, pomimo złożenia dowodów, że jest jej bratem, daremnie zarzucając sądy skargami, za które został wreszcie aresztowany i wydalony. Po dłuższym pobycie w Anglji zawarł on z rządem holenderskim kontrakt w sprawie przyjęcia pewnych jego wynalazków wojskowych i osiadł w Delft, gdzie umarł 10 sierpnia 1845 roku, pochowany oficjalnie przez rząd holenderski jako książę Normandji. Synowie jego, przyjęci pod nazwiskami de Bourbon do armji względnie marynarki holenderskiej, wszczęli w 1851 i 1874 r. proces przeciwko hrabiemu Chambord, oficjalnemu pretendentowi legitymistycznemu do korony francuskiej, o uznanie ich za prawowitych spadkobierców Ludwika XVI, jednak bezskutecznie. Żyjący obecnie ich potomkowie nie mogą zresztą wchodzić w rachubę jako pretendenci, z powodu mieszczańskiego pochodzenia małżonki Naundorffa, księcia Normandji. Niemniej wyroki sądów francuskich w tej sprawie nie mogą mieć znaczenia dokumentów historycznych. Ferowane zostały wyłącznie na zasadzie wiążących prawo formalne faktów dokonanych. To też i współczesna literatura historyczna, żądna ostatecznego wyświetlenia tajemnicy Ludwika XVII i ustalenia prawdy, jedynie możliwego już zadośćuczynienia uczuciu sprawiedliwości dziejowej, przechodzi nad nimi do porządku dziennego, poddając dowody prawdy spadkobierców Naundorffa skrupulatnemu badaniu, a kolejnej rewizji cały szereg faktów, którymi karmiły nas dotychczas prace

dziejopisarskie i których bezsporności chętnie dawaliśmy wiarę.

Cały szereg historyków poświęcił się ustaleniu tożsamości Naundorffa z Ludwikiem XVII. Jednym z głównych i najbardziej może zasłużonym w tej dziedzinie, jest niewątpliwie ks. Berton, proboszcz z Beaune-la-Rolande, który w swojem epokowem dziele „Le Roi de France" nagromadził tyle dokumentów, dowodzących tej tożsamości, że niezmiernie już utrudnił, jeżeli nie uniemożliwił polemikę zwolennikom tezy o śmierci delfina w Temple. Prace Labreli de Fontaine (Révelations sur l'éxistence de Louis XVII, duc de Normandie), Bourbon-Leblanca (Le véritable duc de Normandie), Solarde'a (Le dernier fils de France), Savigny'ego, Ottona Friedrichs'a, Laune'a, Debrosay'a (Memento sur la question Louis XVII), Naville'a (Louis XVII en Suisse), Lenotre'a, Saint-Claire Deville'a, de la Roche'a i wielu innych poprzedziły dzieło proboszcza-dziejopisarza. Nader cennem źródłem dla żądnych poznania prawdy historycznej są zwłaszcza liczne wywody, ogłoszone w wydawnictwie „La Légitimité", służącem specjalnie perjodycznemu zapoznawaniu czytelników ze stanem badań historycznych, dotyczących właśnie zagadnienia dynastycznego we Francji. Pozatem pojawiają się często różne na ten sam temat prace w różnych innych czasopismach.

Najbardziej jednak rewelacyjnym apologetą tożsamości Naundorffa z Ludwikiem XVII stał się obecnie Henri Foulon de Vaulx, który w szeregu prac na ten temat nietylko nagromadził wyczerpującą ilość dokumentów historycznych, rzeczonej tożsamości dowodzących, lecz stał się nawet namiętnym, bezwzględnym oskarżycielem tych wszystkich monarchów i mężów stanu, którzy dla zatuszowania prawdy i prawa w interesie „racji stanu" współpracowali *). Autor demaskuje przed przerażonym czytelnikiem nietylko współwinną obłudę karjerowiczów rewolu-

*) Louis XVII. Ses deux suppressions. Paris, 1928.

cji, satelitów Napoleona, ministrów pruskich, austrjackich, Bourbonów z okresu „restauracji“, Hohenzollernów i Habsburgów, lecz i mrożącą krew w żyłach ilość morderstw „politycznych“, dokonanych, jego zdaniem, wyłącznie dla uniemożliwienia niewygodnych dla dyplomacji rewelacji o autentyczności Naundorffa — Ludwika XVII. Zaczyna się od wymordowania całej rodziny prawnego zastępcy interesów materjalnych delfina, bankiera Petit-Val w Vitry, za dyrektorjatu, z rzekomej inicjatywy wszechpotężnych wówczas Barrasa, Sieyesa i Cambaceres‘a, po przez „przedwczesny zgon“ cesarzowej Józefiny, gorącej jakoby zwolenniczki przywrócenia praw „oficjalnie uśmierconemu“ delfinowi, po przez zamordowanie księcia de Berri, przekonanego jakoby o tożsamości Naundorffa z Ludwikiem XVII i niewygodnego przez to wszechpotężnemu ministrowi Decazes, poprzez „przedwczesne zgony“ p. Le Coq, pruskiego prefekta policji i opiekuna Naundorfa, niewygodnego w pewnej chwili kanclerzowi Hardenbergowi, oraz syndyka m. Krossen, Pezolda, który stał się „niepowołanym“ adwokatem „tożsamości“, kończy się zaś na otruciu samego Naundorffa — księcia Normandji.

Jakież mogły być powody urządzania całej tej komedji ze śmiercią delfina i utrzymywaniem go przy życiu dla mężów stanu Konwencji francuskiej, względnie powody „przemilczania“ istnienia Ludwika XVII po restauracji Bourbonów we Francji przez monarchów skoalizowanej Europy? Dla mężów stanu Konwencji znajdziemy całkiem proste wytłumaczenie w dążeniu do posiadania argumentu, mogącego im zapewnić bezkarność na wypadek zwycięstwa kontrrewolucji, czy to przez ogłoszenie delfina królem, czy to przez „zatajenie“ go na rzecz uzurpacji korony przez ambitnych braci straconego króla, których intrygi przeciwko polityce ugodowej Ludwika XVI wobec narodu i późniejsze konszachty z mężami stanu rewolucji w celu uzyskania korony są nieulegającymi już wątpliwości faktami historycznymi. Fakt uzyskania przez mężów sta-

nu rewolucji, m. in. przez apostatę Talleyranda i krwawego terorystę Fouché, godności ministrów i to najwpływowszych w pierwszym gabinecie Ludwika XVIII, zdaje się to przypuszczenie potwierdzać. Wydalenie z Francji Cambaceres'a, Sieyesa i Carnota nastąpiło dopiero po „stu dniach", jako odwet za opowiedzenie się ich za Napoleonem. O ukaraniu „królobójców" istotnie nie było mowy. Podobno nawet Robespierre, będąc u szczytu swojej wszechwładzy, poważnie myślał o ewentualności restauracji monarchji i zabezpieczeniu własnej osoby! Monarchowie zaś Europy mogli chętniej widzieć na tronie francuskim niepopularnego z powodu ucieczki z kraju i knowań antydemokratycznych króla - niedołęgę, Ludwika XVIII, wdzięcznego im nietylko za zwrot tronu, lecz i za zatajenie osoby prawowitego następcy Ludwika XVI-go, od młodzieńca-męczennika, syna „odnowiciela wolności francuskiej", otoczonego legendą pobytu w Temple i aureolą okrutnej śmierci ojca, który więc łatwo mógł porwać za sobą naród przeciwko nieproszonej opiece nad Francją monarchów Św. Przymierza. Pozatem pamiętać należy, że zniknięcie z powierzchni ziemi Ludwika XVII było polityczną koniecznością dla Konwencji w celu uzyskania możliwości zawarcia pokoju z Hiszpanją i uśmierzenia powstania w Wandei, bez potrzeby okupienia tych paktów oficjalnem uwolnieniem króla-dziecka, co w obu wypadkach byłoby conditio sine qua non.

Niemniej mamy szereg historycznych śladów liczenia się świata politycznego z ewentualnością powrotu „z za grobu" Ludwika XVII. O ile został on niezwłocznie uznany królem przez mocarstwa po straceniu jego ojca (z hrabią Prowancji jako regentem), o tyle żaden z rządów nie kwapił się z uznaniem Ludwika XVIII po domniemanej śmierci delfina w Temple. Aż do wkroczenia wojsk koalicyjnych do Paryża sprawa ta pozostaje otwartą. Cesarz Aleksander, który swego czasu wymówił gościnę hrabiemu Prowancji i który nie tail swoich wątpliwości w kwestji jego

praw do objęcia tronu, stanowczo wolał kandydaturę marszałka Bernadotte, szwedzkiego następcy tronu, od prawdopodobnych uzurpatorów Bourbońskich. Natomiast Ludwika XVIII forsowała pełną parą i bez zastrzeżeń Anglja, pragnąc widocznie mieć na tronie Francji człowieka, któryby jej spłacił dług za tyloletnią, kosztowną gościnę. Prusy zaś również były za hrabią Prowancji, z ukrytym jednak zamiarem uzyskania od niego bardzo realnych koncesji, może właśnie wzamian za „przemilczenie" znajdującego się wówczas w Prusach pod czułą opieką policji Naundorffa — Ludwika XVII. Dlatego to też widocznie marszałek Blücher po bitwie pod Waterloo tak forsownymi marszami postarał się za wszelką cenę o zajęcie Paryża przed Anglikami, by tam dyktować warunki — w rezultacie bez spodziewanego powodzenia. Istnieją ślady tajnych artykułów układu paryskiego, mocą których uznano Ludwika XVIII królem tylko warunkowo, na razie, na dwa lata, z zastrzeżeniem praw syna Ludwika XVII, aż do ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy jego zgonu lub życia. Metternich i Hardenberg, za zgodą monarchów Anglji i Prus, postarali się następnie o zapomnienie tych zastrzeżeń. W pamiętnikach królowej Hortensji, w tajemniczy sposób zniekształconych względnie zniszczonych w najważniejszych ich rozdziałach, znajdują się wyraźne ślady zamiaru jej matki, cesarzowej-męczennicy Józefiny, b. kochanki b. dyrektora gen. Barras, zdradzenia tajemnicy delfina monarchom koalicji, w szczególności skrajnie legitymistycznemu cesarzowi Aleksandrowi, zamiaru niezrealizowanego wskutek nagłego (!) jej zgonu *). Dziwna rzecz, że tajemnicy tej nigdy nie wyjawił Napoleon, chociaż oburzenie jego na konieczność zatuszowania na zawsze ze względów „racji stanu" tak wysoce kompromitującego Sieyesa i Cambaceresa faktu wymordowania całej rodziny bankiera Petit-Val'a, któremu Ludwik XVI

*) Są pewne dane, wskazujące na jej otrucie!

przez swojego obrońcę Malesherbesa powierzył był opiekę nad majątkiem delfina, świadczyć mogło o ustalonej jego na ten temat opinji. W liście zaś dziennikarza Müller-Darier do p. Henri de Fazy, będącym w posiadaniu p. E. Naville i ogłoszonym niedawno w „Journal de Genève“, a dotyczącym działalności znanego republikanina James Fazy, znajdujemy ustęp następujący: „Pamiętam, że na rok lub dwa przed śmiercią p. James Fazy miałem okazję mówić z nim o Ludwiku XVII przez cały wieczór przy kominku. Opowiedział mi, że w r. 1830 była formalnie poruszona sprawa postawienia kandydatury Ludwika XVII na tronie opróżnionym, przed kandydaturą księcia Orleańskiego, na zasadzie bardzo ważnego i bardzo wyraźnego testamentu Ludwika XVIII. Jego brat rozdarł go własnoręcznie na radzie gabinetowej“. P. James Fazy dodał, że osobiście był głęboko przekonanym o istnieniu delfina wobec pisemnych dowodów, które miał w ręku.

Zdaniem pana Naville wspomniany testament Ludwika XVIII, świadczący o jego skrupułach sumienia w przededniu śmierci, był znany i wielu świadków potwierdziło fakt jego istnienia i zniszczenia. Zwolennicy tezy autentyczności zgonu Ludwika XVII w Temple powołują się chętnie na świadectwo księżnej Angoulême, siostry delfina, wydanej pospiesznie za mąż za syna hrabiego d‘Artois, w kilka dni po oddaniu jej pod opiekę stryjów przez Austrję. Austrja, jak wiadomo, zdołała uzyskać zwolnienie jej z Temple w zamian za więzionych przez Austrję komisarzy Konwencji, aresztowanych ongiś przez generała Dumouriez w chwili zdradzenia przezeń sprawy rewolucji francuskiej, wraz z młodym księciem orleańskim, późniejszym królem Ludwikiem Filipem. Świadectwo jednak księżnej Angoulême nie może mieć znaczenia, skoro nie widywała ona nigdy swego brata w Temple od chwili przymusowej rozłąki i nie była nawet dopuszczona na jego pogrzeb. Księżna Angoulême nie chciała nigdy przyjąć Naundorffa, pomimo stwierdzenia tożsamości jego z Ludwikiem XVII przez

wszystkie osoby, będące swego czasu na dworze Ludwika XVI i pamiętające delfina, zwłaszcza przez jego niańkę i wychowawczynię, p. de Rambaud i b. panie dworu de Soney i de Tourzel, późniejsze hrabiny de Falloux i de Bearn, margrabinę de Broglio-Solari, pp. de Saint-Hilaire, de Joly, ostatniego ministra sprawiedliwości Ludwika XVI i wielu innych. Nie pomogły żadne dowody, żadne perswazje. Daremne były nawet prośby kilku członków arystokracji saskiej spowodowania przypadkowego spotkania pomiędzy rodzeństwem na gruncie drezdeńskim w czasie, kiedy księżna, po obaleniu starszej linji Bourbonów, rezydowała w Pradze. Tylko wyraźny zakaz względnie zobowiązanie dotrzymania tajemnicy wytłumaczyć mogą tak dziwne zachowanie.

Wszak niektórzy świadkowie tożsamości Naundorffa z Ludwikiem XVII nawet na łożu śmierci podtrzymali swoje świadectwo prawdy. W 1836 r. oświadczył pruski radca stanu von Rochow otwarcie adwokatowi Naundorffa, Laprade'owi, że nie kwestjonuje on bynajmniej tej tożsamości, że jednak uznanie jej oficjalne byłoby równoznacznem ze „zbeszczeszczeniem wszystkich monarchji w Europie!!". Rząd holenderski oficjalnie uznał Naundorffa, z którym zawarł układ w sprawie przejęcia jego wynalazku, jako „księcia Normandji, syna ś. p. jego królewskiej Mości, Ludwika XVI, króla Francji i jej cesarskiej i królewskiej Mości, Marji Antoniny, arcyksiężnej Austrji, królowej Francji". Tak oto brzmi oficjalny dokument zgonu, wystawiony przez burmistrza Delftu na rozkaz ministra sprawiedliwości. Pogrzeb odbył się z półoficjalnymi honorami. Izba holenderska uchwaliła specjalną ustawę, upoważniającą młodszego syna pretendenta, pomimo urodzin jego w Anglji, do przyjęcia holenderskiej godności oficerskiej, pod nazwiskiem „de Bourbon", jako „syna Francji" (fils de France), zgodnie z należnemi mu prawami. Papieże Pius IX i Leon XIII niejednokrotnie dawali świadectwo wiary w królewskie pochodzenie Naundorffa. Szczególnie bło-

gosławieństwa, udzielone przez Leona XIII córce Naundorffa, księżnie Amelji, oraz wdowie po nim, „księżnie Normandji“ i synowi jego, ks. Karolowi, z zachowaniem pełnej tytulatury, są tego dowodem. Na audjencji, udzielonej księciu Karolowi i jego otoczeniu, Papież wprost daje wyraz swojemu ubolewaniu nad „konspiracją przeciwko prawdzie“.

Zresztą księżna Angoulême na łożu śmierci wyznała generałowi margrabiemu de la Rochejaquelin, że pewność, iż brat jej nie umarł w Temple, ale żyje, była koszmarem całego jej życia. Kazała mu odszukać go za wszelką cenę i zawiadomić Ojca Świętego! Wyznanie to tłumaczy chyba lepiej od młodości, spędzonej w więzieniu, fakt, że księżna nigdy się nie uśmiechała, pozostając stale w stanie smutnej zadumy. Jej mąż, ks. Angoulême, stał się przecież tylko dzięki przemilczeniu istnienia Ludwika XVII delfinem Francji! Tak samo hrabia de Chambord, syn ks. De Berri i spadkobierca pretensji do tronu francuskiego po Karolu X, pod wrażeniem rewelacji tak wiernego sługi Bourbonów, jakim był Chateaubriand, skłaniał się coraz bardziej do uznania tożsamości Naundorffa z Ludwikiem XVII, chociaż do śmierci swojej nie zaprzeczył „racji stanu“, wymagającej jakoby usunięcia od praw do tronu dziecka, „skorumpowanego jakobińskiem wychowaniem“, czy też zegarmistrza, oskarżonego niewinnie, a może właśnie celowo, przez rządy pruskie o podrobienie monet i wzniecenie pożaru. Skrupuły hr. de Chambord tłumaczą nam doskonale jego niezdecydowane stanowisko względem ruchu monarchistycznego, który po wojnie niemiecko-francuskiej 1870—71 tak był potężnym, że mając większość w parlamencie, mógł bardzo łatwo przywrócić monarchję. Według nader wiarogodnych świadectw, hrabia niejednokrotnie dawał wyraz swojemu postanowieniu niekorzystania ze swoich praw do tronu, by nie krzywdzić dzieci Naundorffa, oraz wierze w tożsamość tegoż z Ludwikiem XVII, upoważniając świadków tych rozmów do ogłoszenia ich po jego

śmierci. Wizyta jego w Holandji w 1873 r., a więc w czasie drugiego procesu, wszczętego w Paryżu przez spadkobierców Naundorffa — przyczem po odwiedzinach u króla, znanego jako opiekuna Naundorffa, zatrzymuje się w Bredzie, w ówczesnem miejscu pobytu spadkobiercy pretendenta — jaskrawe niewątpliwie rzuca światło na przekonanie księcia, z którym wygasła starsza gałęź rodu Bourbonów, gałęź, stworzona przez braci Ludwika XVI.

Bismarck w instrukcji pisemnej, udzielonej ambasadorowi Niemiec w Paryżu, całkiem otwarcie poleca przeciwdziałać ewentualnej zmianie ustroju we Francji (restauracji monarchicznej) pod groźbą wzmocnienia wojsk okupacyjnych. Książę de Broglie, b. premier Francji za prezydencji marszałka Mac Mahona, przypomina w pamiętnikach, ogłoszonych niedawno w „Revue des Deux Mondes", że tylko niezgoda wśród większości monarchistycznej parlamentu co do osoby pretendenta umożliwiła przyjęcie — drogą prowizorycznego kompromisu! — formy republikańskiej, po dziś dzień trwającej!

Jakżeż delfin zdołał wydostać się z Temple i następnie umknąć z Francji, oraz jakie są poważniejsze momenty jego dziejów?

Odpowiedź na to pytanie dają nam odkryte dotychczas źródła historyczne niezbyt wyczerpującą, ale bądź co bądź dostateczną dla stanowczego odrzucenia tezy o śmierci jego w Temple i dla rozpoznania jego w Naundorffie. Dokumenty tożsamości zmarłego w Temple dziecka z delfinem są historycznie bezwątpienia nieważne, nosząc wszelkie ślady fałszu, podstępu, względnie podrobienia. Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szczegółowe powtórzenie tych wszystkich perypetji, najszczegółowiej opisanych w pracy, wzmiankowanej już przez nas, p. Henri Foulon de Vaulx o Ludwiku XVII. Faktem jest, że o żadnej chorobie królewicza nie znajdujemy śladu w aktach historycznych, od odebrania go Simonowi, aż do jego

śmierci — przeciwnie, wszędzie pełno dowodów jego zdrowia. Zachowane w archiwach listy głównego strażnika królewicza do generała Barrasa, choć nie są oryginałami, bezwątpienia dowodzą odegrania komedji sobowtórnej w Temple. Komisja, wyznaczona dla stwierdzenia tożsamości zmarłego dziecka, nie miała żadnych na to dowodów w ręku, co wynika jasno z jej raportu. Istnieją ślady wydania dekretu, nakazującego poszukiwania delfina na wszystkich drogach Francji. W archiwum Lady Atkins, która przeprowadziła tranzakcje z Barrasem o wydanie delfina, znajdujemy również potwierdzenie dokonanej ucieczki. W ciągu kilku miesięcy przy delfinie, względnie jego sobowtórze, były tylko dwie zaufane osoby. Pozatem dopuszczano codzień tylko wciąż nowych wartowników. Wdowa po szewcu Simonie potwierdziła kilkakrotnie i na łożu śmierci, że Ludwik XVII nie umarł w Temple, a został stamtąd przy jej pomocy uprowadzony. Doktór Dessault, który leczył delfina jeszcze za monarchji, odmówił stwierdzenia tożsamości pokazanego mu trupa z synem Ludwika XVI. Nic dziwnego, że następnie inni lekarze, dowiedziawszy się o „nagłej“ śmierci swego kolegi (!), pośpieszyli stwierdzić, że zmarłe dziecko jest właśnie Ludwikiem XVII, „oddawna“ cierpiącym na nieuleczalną chorobę skrofuliczną, której nabawił się wskutek złego obchodzenia się z nim szewca Simona i niezmieniania nigdy od dłuższego czasu odzieży. Jakim sposobem Delfin dostał się z Temple do Szwajcarji pod opiekę rodziny pastora Himely, nie da się ściśle określić. Zato dowodów zajęcia jego miejsca przez dziecko głuchonieme, potem przez drugie, umierające, jest sporo. Naundorff w swoich pamiętnikach p. t. „Abrégé de l‘histoire des infortunes du dauphin“ opowiada, że był on oddany, po wywiezieniu go z Temple w trumnie, na wychowanie pewnej kobiecie szwajcarskiego pochodzenia, z którą następnie wyjechał do Włoch, gdzie ona umarła. Ustalono w każdym razie, że dostał się on następnie w ręce policji francuskiej i dopiero po czterech latach (może po upewnie-

niu się na tronie Napoleona) został wypuszczony na wolność.

Jakkolwiekbądź, znalazł się on w rodzinie pastora Himely, w otoczeniu zięcia starego Himely, stryja pastora, Jana Fryderyka Leschot, który jako artysta produkował się ongiś na dworze wersalskim, oraz siostrzeńca pastora, niejakiego Chenoine, agenta hrabiego Prowancji (Ludwika XVIII). Pobyt królewicza w rodzinie Leschot-Himely został szczegółowo ustalony i zbadany w pracy p. Naville. W roku 1809 królewicz, dzięki stosunkom, nawiązanym w nieznany bliżej sposób pomiędzy kanclerzem pruskim Hardenbergiem a rodziną Himely-Leschot, znalazł się, zaopatrzony w paszport, brzmiący na nazwisko Karl Werg, w Prusach. Już jednak w 1810 r. spotykamy go pod nazwiskiem Karl Wilhelm Naundorff, z paszportem, wydanym mu bez formalności przez szefa policji pruskiej, p. Le Coq, jako zegarmistrza w Berlinie. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że żaden Naundorff o takich imionach w tym czasie się nie urodził i że podani w paszporcie rodzice i miejsce urodzenia są pospolitą mistyfikacją.

W r. 1812 został on z polecenia tegoż Le Coq'a przyjęty do obywatelstwa m. Szpandawy. Chociaż życie jego moralne nie było przykładne (lubował się on w przygodach erotycznych i żył potem otwarcie w konkubinacie), wszystkie świadectwa zgodne są w stwierdzaniu jego dystynkcji i zalet obywatelskich. W r. 1822 Naundorff, żonaty już legalnie z pewną obywatelką Szpandawy, przenosi się do Brandenburga. Zdaniem wielu historyków kanclerz Hardenberg chciał z początku mieć w nim kandydata w pogotowiu na wszelki wypadek, później jednak postarał się o utrącenie go drogą ułatwienia mu małżeństwa z mieszczanką i pozbawienie temsamem jego potomstwa praw do sukcesji, oraz skompromitował go w oczach ewentualnych jego zwolenników (m. in. zwłaszcza księżny Angoulême) wytoczeniem mu przez sądy pruskie procesu o podpalenie i fałszowanie pieniędzy!! Ponieważ w czasie pro-

cesu przyznał się on otwarcie do swojego królewskiego pochodzenia, został skazany za nieprawne używanie nazwiska. Kasjer, który go oskarżył, powiesił się. Po czteroletniem więzieniu Naundorff, zwolniony dzięki temu, że dyrektor więzienia, bar. Seckendorff, uwierzył w jego tożsamość z Ludwikiem XVII, osiadł w miasteczku Krossen nad Odrą. Pozyskał sobie tam powszechne sympatje. Szczególnie syndyk i królewski komisarz policji Pezold, pomimo ostrzeżenia go przed „bardzo niebezpiecznem indywiduum", uznał go oficjalnie jako zaginionego syna Ludwika XVI. Zwrócił się oficjalnie, załączając szereg dokumentów, do księżnej Angoulême, do króla pruskiego, do cesarza austrjackiego. Daremnie! Zwrócono mu jego listy, zagrożono mu więzieniem za mieszanie się w nieswoje sprawy, oświadczono mu, że nikt nie zamierza zajmować się sprawami dwukrotnie zasądzonego! Wreszcie nieustraszony syndyk „nagle zmarł", opłakany przez całe miasto, przekonane o jego zatruciu! Wówczas Naundorff, po przejściowym pobycie w Szwajcarji, skąd wskutek wysokiej interwencji został wydalony, postanowił osobiście spróbować szczęścia we Francji, dokąd udał się pieszo w 1832 r.

Zaznaczyliśmy już, że wszystkie jego listy do siostry, księżny Angoulême, pozostały bez odpowiedzi i że interwencje całej plejady osób z arystokracji i duchowieństwa, nie mogących się oprzeć zbyt przekonywującym dowodom prawdy, pozostały bez skutku. Niemniej istnieją ślady nieoficjalnego opiekowania się nim ze strony księżny oraz kilku członków arystokracji. W ten sposób mógł wyżyć. Rząd Ludwika Filipa nie czynił mu początkowo trudności. Dopiero w 1836 r., wobec skargi Naundorffa, oburzonego odmową widzenia się z nim ze strony księżny Angoulême i wydaleniem policyjnem z Pragi sędziwej pani de Rambaud, która udała się tam z Francji dla przekonania księżny o tożsamości Naundorffa z jej bratem, rząd francuski zapobiega procesowi aresztowaniem i wydaleniem pretendenta.

Naundorff-Ludwik XVII osiadł następnie w Londynie, udawszy się tam w towarzystwie margrabiego de la Ferrière. Wprawił się on w międzyczasie ponownie w języku francuskim, który w Prusach musiał zaniedbywać. Wszystkie jego petycje, adresowane stamtąd do parlamentu francuskiego, zostały skonfiskowane. Dla zmylenia czujności opinji publicznej wytoczono Naundorffowi proces o oszustwo, który jednak, wobec zbyt jaskrawych jego dowodów jako pretendenta, umorzono w 1841 r., po dwuch latach daremnych usiłowań udowodnienia pruskiego pochodzenia Naundorffa. Szereg arystokratów angielskich zapewnił pretendentowi, pod życzliwem okiem rządu, potrzebne mu do wygodnego życia środki materjalne. Synowie jego zarejestrowani są oficjalnie jako „synowie Francji", synowie Ludwika XVII, księcia Normandji. Dystynkcja jego i uderzające rysy bourbońskie jego i dzieci zjednały mu wiarę wszystkich, którzy się doń zbliżyli.

Spokój jego pobytu w gościnnym Albionie został jednak zakłócony w 1838 r. przez zamach na jego życie, dokonany przez niejakiego Roussela, który kilka lat przedtem dwukrotnie usiłował zgładzić wiernego przyjaciela pretendenta, Henryka Fryderyka Leschota. Wówczas Naundorff postanowił ostatecznie zrezygnować z wszelkiego dochodzenia swoich praw. Zawiadomił on zresztą już uprzednio księżnę Angoulême, że chodzi mu tylko o uznanie jego tożsamości, a bynajmniej nie o prawa do tronu, których się chętnie zrzeka. Chciał poprostu tylko zapewnić przyszłość swoim dzieciom i to pod nazwiskiem Bourbonów, nie zaś narzuconego mu pseudonimu. Poświęcił się on ponownie zajęciom mechanicznym. W arsenale w Woolwich udało mu się wynaleźć nowy proceder strzelniczy. Oferty, uczynione w tej sprawie armji francuskiej, zostały na rozkaz rządu odrzucone. Stary przyjaciel rodziny królewskiej, pamiętający go jako dziecko z dworu wersalskiego, p. Bremond, osiadły oddawna w Szwajcarji, pośredniczył pomiędzy Naundorffem a armją szwajcarską. Dowiedziawszy

się jednak o zamierzonym jego przejeździe przez Holandję, król Wilhelm II, który już był przyjął jednego z jego synów do armji swojej, zaofiarował Ludwikowi XVII układ z armją holenderską, której rzeczoznawcy przychylnie jego wynalazek zaopinjowali, protestując przeciwko francuskim usiłowaniom przeforsowania wydalenia pretendenta z Holandji. W samym układzie pretendent figuruje jako „Karol-Ludwik". Niemniej zarówno on sam, jak i jego rodzina, przyjmowani są w Holandji jako książęta krwi i potomkowie Ludwika XVI. Przerażenie Bourbonów z linji Karola X trwało jednak tylko krótko. Ludwik XVII zmarł w Delft 10 sierpnia 1845 r. z wszelkiemi oznakami otrucia, przysięgając do ostatniej chwili na swoje najświętsze prawa. Umarł, pogodzony z wiarą ojców, której niestety pod wpływem w protestanckiem otoczeniu spędzonego dzieciństwa zbytnio za życia nie szanował, ogłaszając nawet rozprawy, które musieli potępić Papieże.

Tragedja Ludwika XVII jest tak potworna, że przy niej blednie prawie martyrologja jego ojca. Dlatego też tak niechętnie dają wszyscy wiarę rewelacjom o jego życiu po oficjalnem umieszczeniu go w Temple. Przyznajemy otwarcie, że wzdrygaliśmy się do końca przeciwko uznaniu tak potwornej prawdy i wdzięczni bylibyśmy historykowi, któryby nam udowodnił, że oskarżenie Ludwika XVIII i Karola X, całej ich rodziny, wszystkich monarchów i mężów stanu Europy ówczesnej o świadome pozbawienie praw i okrutne prześladowanie ostatniego prawowitego króla Francji, jest bezpodstawnem. Niestety jednak nie potrzeba wcale posuwać się do skrajnych wniosków p. Henri Foulon de Vaulx, którego większość argumentów i przypuszczeń pominęliśmy całkowicie, jako bądź co bądź, pomimo ich uderzającej logiki, mających cechy tendencji, zwłaszcza antypruskiej. Wystarczą całkowicie dokumenty, które uznać musimy jako bezsporne, by uniemożliwić, zdaniem naszem, wszelką dyskusję co do tożsamości Naundorffa z Ludwikiem XVII. Szczególnie brak wszelkich dowodów

autentycznych jego śmierci w Temple, a obfitość świadectw uprowadzenia go stamtąd, po oszukaniu większości Konwencji przez zainteresowanych kierowniczych mężów stanu, Cambaceresa, Sieyesa i Barrasa, oraz przekonywujące argumenty samego Naundorffa rozpraszają wszelkie wątpliwości. Są oczywiście liczne braki i zagadki w historycznej konstrukcji losów Ludwika XVII. Historycy mają więc przed sobą jeszcze sporo roboty. Ale sam fakt jego życia powięziennego nie może już być spornym.

Natomiast można być różnego zdania co do dobrej czy złej wiary tych czy innych z jego „uśmiercicieli". Nam w szczególności nie wydaje się słusznym zbyt surowy sąd p. Henri Foulon de Vaulx o królu Ludwiku XVIII. Pomimo uprzednich jego ambitnych intryg przeciwko braterskiej parze królewskiej, szczególnie przeciwko ugodzie króla ze Zgromadzeniem Narodowem, których punktem kulminacyjnym było zaaranżowanie fatalnego pomysłu ucieczki królewskiej, pomimo konszachtów jego z kierowniczymi mężami stanu rewolucji, mamy liczne dowody w ręku, przemawiające za jego napewno dobrą wiarą w całej sprawie jego bratanka. Złym duchem jego i inspiratorem wszelkich fatalnych posunięć był niewątpliwie brat jego, „generalny namiestnik królestwa", późniejszy król Karol X, którego też karząca ręka sprawiedliwości dziejowej okrutnie dosięgła. Złym duchem jego był również książę Decazes, wszechwładny minister, którego księżna Berri posądzała o autorstwo zabójstwa jej męża. Listy Ludwika do swojej „idealnej" kochanki, damy dworu własnej małżonki, ogłoszone niedawno w „Revue des Deux Mondes", taką tchną szczerością bólu na wiadomość o zgonie brata, a później bratowej i bratanka, że niepodobna nie wierzyć autorowi. „Fatalną przeszkodą" stał się też może dla jego zwolenników nieszczęsny delfin dopiero po pierwszem ujawnieniu pogłosek o jego egzystencji, gdy już sprawa następstwa została ostatecznie uregulowana. Dobrze też świadczy o sumienności Ludwika XVIII jego testament, roz-

darty przez Karola X, a przeznaczający koronę — Naundorffowi! Najgorzej zaś przedstawia się chciwość władzy hrabiego Artois i okrutne milczenie księżnej Angoulême, uważanej dotychczas w historji za „świętą księżnę“ i „męczennicę“!

Poprostu trudno pojąć takie sprzysiężenie milczenia, w które tyle osób było wmieszanych. Pamiętajmy jednak o tragedji w Meyerling, której ofiarą padł b. austrjacki następca tronu, cesarzewicz Rudolf, a której szczegóły zostały zatajone na zawsze przez wszystkich jej uczestników. Prawda o Ludwiku XVII stała się pieczołowicie przekazywaną świętą legendą w pewnych rodzinach francuskich, których przedkowie byli mniej lub więcej wtajemniczeni w arkana ponurego dramatu, o którym za monarchji cenzura wzbraniała pisać. Niewątpliwie w archiwach rodzinnych i niewydanych pamiętnikach historyk, żądny prawdy, mnóstwo jeszcze mógłby znaleźć szczegółów, potwierdzających różne obecne, tylko w formie ustnej tradycji istniejące świadectwa.

Najwięcej śladów kazał zniszczyć Fouché, jako minister policji za konsulatu i cesarstwa. Z jego to rozkazu zginęły liczne akta, dotyczące kontroli w Temple, rzekomej śmierci delfina i wymordowania tajemniczego rodziny bankiera Petit-Val w willi Vitry, tego samego Petit-Val, którego obawiał się nawet Robespierre, zmuszony do pokazania mu delfina (zapewne fałszywego), na dowód, że żyje, byleby okupić jego pomoc finansową dla pustego skarbu bankrutującej rewolucji. Niedość na tem, z rozkazu Fouché został zburzony cały Temple, będący niewątpliwie cenną pamiątką historyczną. W ten sposób wszelkie poszukiwania za ukrytymi tam śladami nieszczęsnego delfina zostały raz na zawsze w radykalny sposób uniemożliwione. Tenże sam Fouché, jak się zdaje, zainicjował całą komedję fałszywych delfinów dla tem gruntowniejszego zatarcia śladów i utrudnienia wystąpień prawdziwego delfina. Ten b. królobójca i terorysta zdobył potem pełne zaufanie

Ludwika XVIII, który zresztą nie skąpił swoich względów Sieyes'owi i Cambaceres'owi, wydalając ich z kraju dopiero wskutek zdrady ich w czasie powrotu Napoleona z Elby. Talleyrand zaś stał się z miejsca zaufanym jego obrońcą praw na kongresie wiedeńskim. Poszukiwania za śladami i resztkami delfina, prowadzone przez wszechwładnego później ministra Decazes i jego pomocników, zdradziły aż zbyt wyraźnie powierzchowność i złą wiarę ludzi, zainteresowanych za wszelką cenę w utrzymaniu reżimu, zapewniającego im świetne karjery. Cóż dopiero dziwić się Austrji, że z tak lekkiem sercem pogrzebała prawa syna Marji Antoniny, siostry Józefa II, kiedy cesarz Franciszek palcem nie ruszył, by ratować swoją córkę, cesarzową Marję Ludwikę i zabezpieczyć prawa jej syna, króla rzymskiego! Rostand wszak tak pięknie przedstawił nam ponury dramat księcia Reichstadt'u w „Orlęciu". Co do Metternicha, którego znamy jako bezlitosnego oprawcę wnuka swojego cesarza, czyż trudno dać wiarę, jaką odegrał rolę wobec wnuka wielkiej Marji Teresy? Hardenberg zaś, wierny współpracownik pruski Metternicha w utrzymywaniu ludów Europy pod jarzmem Świętego Przymierza, był mistrzem w sztuce niskich intryg i niegardzenia żadnymi środkami dla osiągania swych celów, bezwzględny wobec zwyciężonych i wreszcie wymijający się od spełnienia przyjętych zobowiązań. Osoba Naundorffa była nielada gratką w jego ręku, zwłaszcza, że mógł ją swobodnie kompromitować lub rehabilitować. Małżeństwo mezaljansowe Naundorffa mogło być czy to argumentem za niedopuszczeniem go do tronu, czy to błahostką, łatwą do naprawienia, jeśli zważymy, że król Ludwik XVIII prawnie zawarty związek małżeński księcia de Berri, drugiego syna hr. Artois (Karola X), z Angielką, najspokojniej zignorował, nakazując mu małżeństwo z księżniczką neapolitańską, a więc bigamię, dufny w swoją bezkarność monarszą, byleby zapewnić monarchji francuskiej następców. Piękna moralność — trudno się w takich warunkach dzi-

wić osobliwym pogłoskom na temat zamordowania księcia de Berri, gdy tenże zbyt jawnie zaczął zdradzać swoje sympatje dla sprawy Naundorffa i dowiadywać się u dowódców pułków, czy w razie czego mógłby na nich liczyć!

Polska gościła niedawno hrabiego Paryża, syna księcia de Guise, obecnego pretendenta do tronu Francji, z linji Orleańskiej. Spór pomiędzy legitymistami a orleanistami zakończył się z chwilą bezpotomnej śmierci hrabiego Chambord. Wnukowie Naundorff-Ludwika XVII, nawet w razie uznania tej tożsamości, nie mogą już wchodzić poważnie w rachubę, jako zrodzeni z mezaljansu. Zresztą nie wydaje się, by tron Francji mógł być uważanym jako realny cel najbardziej nawet legitymistycznych pretensji. Sprawa ma więc już wyłącznie tylko historyczne i genealogiczne znaczenie. Niemniej jednak uważamy za obowiązek nauki dziejopisarskiej, by naprawiła moralnie krzywdę, wyrządzoną nieszczęsnemu synowi króla-męczennika Ludwika XVI i powiedziała światu nagą prawdę, nie krępując się żadnymi względami na „reputacje“ mężów stanu, monarchów i bohaterów, których chwała polega na „uwolnieniu“ Europy z pod „tyranji małego korsykanina“, Wielkiego Napoleona. Ten zaś, aczkolwiek będąc uzurpatorem, przynajmniej jawnie i otwarcie sam sobie i swoim krewnym korony nałożył, nie podszywając się pod świętość legitymizmu na wzór wyświęconego olejami Św. Ludwika w katedrze w Reims Karola X. Rewolucja francuska zmiotła tron prawowitego monarchy, by na gruzach jego powstawali kolejno cesarscy i królewscy uzurpatorowie. Czas najwyższy, by nastąpiła „restauracja moralna“, nie drogą obalenia republiki, lecz drogą naprawy historycznej krzywdy przez historyczną prawdę. Wiemy, że polityka nie jest romansem i że zasada uświęcania środków przez cele wszechwładnie panuje na tym padole ziemskim, drapowana w szumne togi idealizmu i patrjotyzmu. Ale przecież, choć nie zmienimy natury ludzkiej, walczyć o prawo i sprawiedliwość musimy, chociażby zwycięstwo mogło nastąpić dopiero za grobem.

Adam Romer.

NA MARGINESIE ETATYZMU.

Przeżywane obecnie ostre przesilenie gospodarcze wysuwa znowu na czoło zagadnień kwestję etatyzmu.

W czasie historycznych już dyskusji na temat etatyzmu u posła ks. Janusza Radziwiłła, poseł prof. Krzyżanowski określił etatyzm jako „wszelkie rozszerzenie zakresu działania państwa" — w którem wyróżnił trzy zjawiska:

1) etatyzm w znaczeniu ściślejszem, mając na myśli rolę państwa jako przedsiębiorcy i bankiera, udzielającego kredytu,

2) protekcjonizm celny, taryfowy i podatkowy,

3) interwencjonizm, obejmujący wszelkie inne wypadki oddziaływania państwa na życie gospodarcze, w szczególności normowanie cen i płac.

Definicja ta nie wydaje mi się słuszną — a zwłaszcza wprowadzenie antytezy między „liberalizmem" (zidentyfikowanym z polityką wolno-handlową) a „etatyzmem" jest zapoznawaniem „rzeczywistej rzeczywistości". Gdybyśmy bowiem jako kryterjum wzięli politykę celną, to musielibyśmy uznać np. Stany Zjednoczone A. P., chroniące się wysoką barjerą celną przed dumpingiem europejskim, za państwo najbardziej „etatystyczne" — co oczywiście doprowadziłoby dyskusję „ad absurdum". Znacznie więcej przemawia mi do przekonania kryterjum Hoovera: „Światopogląd zachodni polega na uznaniu, iż państwo istnieje dla społeczeństwa, a nie odwrotnie". Konsekwencją takiego poglądu jest też uznanie, że państwo nie powinno brać się do działalności, którą może wykonać jednostka lub dobrowolna organizacja społeczna — natomiast obowiązkiem państwa jest wykonywać to wszystko, co leży w interesie

tych jednostek oraz ich zbiorowości, a co przechodzi możliwości nietylko poszczególnych jednostek, ale i dobrowolnej ich organizacji. „Jest oczywistem, że do działalności rządu nie należy kierowanie przedsiębiorstwami, natomiast w kompetencji jego leży zbieranie i rozpowszechnianie danych statystycznych, badanie zagadnień gospodarczych i naukowych — wskazywanie środków naprawy niepowodzeń gospodarczych, inspirowanie i pomaganie koordynowaniu akcji w kierunku ograniczenia marnotrawstwa".*).

Zdaje mi się, że trudno zwięźlej i jaśniej zdefinjować obowiązki państwa. Niema tu już śladu przeciwstawiania pojęć interesu państwa a społeczeństwa, państwo bowiem jest w pełnej symbiozie ze społeczeństwem. Zarówno kierunek liberalny, jak i etatyzm przeciwstawiają interes państwa interesowi społeczeństwa. Stąd liberalizm, traktując „państwo" jako zło konieczne, ogranicza jego rolę do minimum: obrona granic oraz utrzymywanie bezpieczeństwa i ładu wewnątrz kraju właściwie wyczerpuje już całkowicie zadanie państwa. Idea liberalizmu powstała jako reakcja przeciw uciskowi „oświeconego absolutyzmu", a dziś jest już tylko pewną kategorją historyczną. Etatyzm zaś, dążąc do wzmocnienia państwa, utożsamił je z rządem i aparatem biurokratycznym. Liberalizm, przeprowadzony konsekwentnie, dochodzi do anarchizmu — tak, jak konsekwencją ostateczną etatyzmu jest komunizm. Obu tych konsekwencji unika państwo, będące w świadomej symbiozie ze społeczeństwem, będące jego syntezą.

Zbyt łatwo zapominają o niedawnej przeszłości ci wszyscy, którzy rozrost etatyzmu w Polsce przypisują walce władzy wykonawczej z ustawodawczą. Rzeczywistość bowiem jest zgoła odwrotna: najcięższym zarzutem, jaki postawić można rządom pomajowym, jest brak wydatniejszej ich twórczości na polu gospodarczem i jasno wytkniętego programu w tym zakresie. Poprzestając na

---

*) Commerce Reports z dn. 8 i 13 listopada 1926 r.

głęboko sięgających zmianach personalnych, nie zboczyły one dotąd zasadniczo z torów, wytkniętych w czasach rządów t. zw. „Grabszczyzny". Charakterystycznym przykładem jest nasz system podatkowy, którego wpływ niszczycielski na rozwój życia gospodarczego jest ogólnie uznawany. Po zmianie teki ministra skarbu, półurzędowa „Epoka" pisała z gorżkim wyrzutem pod adresem p. Czechowicza, iż po paru latach urzędowania nie zostawił nawet projektów reformy swemu następcy. Zdaje się, że wyrzut taki i obecnie byłby aktualny... *).

A wszakże komisja doradców, pod przewodnictwem prof. Kemmerera, w r. 1926, projektowała całkowite przeprowadzenie reformy w ciągu dwuch lub trzech lat **). Lata dobrej konjunktury, zapoczątkowane strejkiem górniczym angielskim, zostały niemal całkowicie stracone i kryzys zastał życie gospodarcze bez rezerw, koniecznych do przetrzymania kryzysu. Ani władza ustawodawcza, ani wykonawcza — nie wykazały zrozumienia konieczności przebudowy struktury podatkowej, dzięki której mamy właściwie „kryzys w permamencji", gdyż życie gospodarcze nie może wykorzystać dobrej konjunktury, a kryzys staje się znacznie cięższy, niż w państwach, bardziej przewidujących.

Problem „etatyzmu" bowiem nie leży bynajmniej na płaszczyźnie obecnego konfliktu o kompetencje władzy ustawodawczej i wykonawczej — gdyż sejm, dzięki fatalnej ordynacji wyborczej, będącej w istocie wywłaszczeniem społeczeństwa z powszechnego

---

*) W tem miejscu przypominamy słynne oświadczenie p. ministra Matuszewskiego, wygłoszone z trybuny sejmowej: „Przestępcą wobec państwa byłby ten, ktoby obecnie zamierzał podjąć reformę systemu podatkowego na większą skalę". Jesteśmy przeciwnego zdania, co jeden z naszych współpracowników ogłosił w umotywowanym artykule w „Dniu Polskim" bezpośrednio po owem przemówieniu p. Ministra. (Przyp. Red.).

**) Co właściwie ma na myśli p. S. Starzyński, twierdząc, że „rząd wyniki prac komisji ekspertów pod kierunkiem prof. Kemmerera wykorzystał i wykorzystuje w całej pełni"? (Na Froncie Gospodarczym, str. 2).

prawa wyborczego na rzecz nominatów klik i komitetów partyjnych, reprezentuje właściwie tylko partje, stanowiące nikły odsetek tegoż społeczeństwa. Partje sejmowe zaś, w zupełnej zgodzie ongiś z „władzą wykonawczą“, obdarzyły nas najgorszym na świecie systemem podatkowym, wywłaszczającym dochód społeczny na rzecz biurokracji. Sejm, uchwalając wszelkie ustawy, biurokratyzujące życie gospodarcze i hamujące rozwój społeczno-gospodarczy wskutek nadmiernych ciężarów, chciał obsadzać tworzone „posady“ według klucza partyjnego. Konflikt rozpoczął się dopiero wtedy, gdy zacieśnił się krąg kandydatów do posad i zmienił się klucz, wedle którego są one rozdzielane... Jednak przeciwstawność „interesów państwa“ a „społeczeństwa“ została bez zmiany; po dawnemu „państwo“ jest w symbiozie z grupą rządzącą, pasorzytuje na społeczeństwie, traktowanem jako objekt do wyciskania podatków. A dążność naszej biurokracji do identyfikowania się z państwem jest najniebezpieczniejszą jej cechą.

W czasach niewoli niewątpliwie jedynymi przedstawicielami „państwowości“ zaborców na ziemiach polskich — byli urzędnicy. Polaków z państwem rosyjskiem, pruskiem lub austrjackiem łączył jedynie przymus, którego widomym wyrazicielem była biurokracja. Z natury rzeczy więc wypadało wówczas, że obca i wroga państwowość na ziemiach polskich mogła być w symbiozie jedynie z biurokracją, pasorzytującą na społeczeństwie polskiem*). Dążność do niepodległości, t. j. do własnej państwowości, polegała właśnie na tem, żeby uzyskać symbiozę państwa ze społeczeństwem.

W okresie niewoli, rządy zaborcze nietylko nie poczuwały się do obowiązku dopomagania rozwojowi społe-

---

*) Za wyjątkiem Małopolski, rządzonej przez urzędników Polaków, jakkolwiek i ci musieli się nieraz oczywiście stosować do poleceń Wiednia. (Przyp. Red.).

czeństwa polskiego, ale przeciwnie, robiły wszystko możliwe, aby ten rozwój zahamować. Społeczeństwo polskie rozwijało się więc nie dzięki wysiłkom rządu, ale pomimo jego wrogości. W zaborze pruskim, zaniedbanym w stosunku do innych krajów Rzeszy, rolnictwo i przemysł, z niem związany, rozwijały się intensywnie. Kongresówka była niewątpliwie najkulturalniejszą częścią imperjum rosyjskiego, pomimo wysiłków rządu, aby „dogłupit“ kresy zachodnie do poziomu Rosji właściwej, a przeciwko zwycięskiej ekspansji przemysłu Kongresówki rząd bronił się taryfami kolejowemi, tak skonstruowanemi, że drożej kosztował przewóz z Polski do Rosji, niż odwrotnie. W walce o byt hartowało się i krzepło społeczeństwo polskie, w twardych warunkach wyrabiając w sobie samodzielność i pęd do ekspansji. Nie podejrzany o zaślepienie sympatją do Polski L. Bernhard, w dziele „Das polnische Gemeinwesen im preussichen Staat“ stwierdza, iż pomimo wysiłków potężnego państwa niemieckiego, rozwój społeczny Wielkopolski doszedł do granicy, poza którą stoi już tylko własna państwowość.

W innych dzielnicach rozwój społeczny może nie doszedł do poziomu Wielkopolski, w każdym jednak razie społeczeństwo było dojrzałe do własnej państwowości — natomiast sprawna, uzdolniona i solidna administracja państwowa niestety nie rodzi się nagle, jak Minerwa z głowy Jowisza... To też mamy biurokrację na wzór i podobieństwo zaborców: „Niestety, biurokratyzm rosyjski i austrjacki, to nietylko przeszłość — on żyje w pojęciach i przyzwyczajeniach rządzących i rządzonych. Nieświadomie urzędy nasze imitują wzory państw zaborczych — lecz nasi urzędnicy nie posiadają zrozumienia spraw gospodarczych i sprężystej organizacji urzędników pruskich; nie wywierają tego postrachu, nakazującego posłuszeństwo, jak urzędnicy rosyjscy; nie posiadają tej skrupulatności drobiazgowej, jaka cechowała urzędników austrjackich. Natomiast są spętani for-

malistyką austrjacką, posiadają niedbałość urzędników rosyjskich, oschłość pruskich“ *).

Tej to młodej, niewyrobionej, a już strupieszałej na obcych złych wzorach administracji sejm narzucił odrazu funkcje, przerastające możliwości nawet rutynowanej administracji krajów, posiadających stare tradycje i wysoce rozwiniętą moralność publiczną. Oczywiście nie podołała — bo nie mogła podołać nadmiernym zadaniom. Natomiast, porównując własne kwalifikacje, przeważnie niewysokie (ogromny procent urzędników, nawet na wysokich stanowiskach, posiada jedynie „domowe wykształcenie“), z jeszcze niższemi kwalifikacjami posłów, między którymi był zawsze pewien procent zupełnych analfabetów, wzięła ta administracja państwowa na siebie dodatkowe jeszcze zadanie: wychowywania społeczeństwa „państwowo“. A ten gatunek megalomanji należy do najniebezpieczniejszych. W. Steed, b. korespondent, a następnie i redaktor Times‘a i autor arcyciekawych pamiętników, obejmujących ostatnie 30 lat (do traktatu wersalskiego), pisze, że urzędnicy austrjaccy w momencie, kiedy poczuli się p o n a d s p o ł e c z e ń s t w e m, przerodzili się w biurokrację, co zadecydowało o konieczności upadku państwa austrjackiego. Biurokracja jest bowiem polipem, najskuteczniej wysysającym siły narodu.

Pomimo nader obfitej działalności wydawniczej naszych „etatystów“, trudno tam wyłuskać jakąkolwiek ideę, która nie byłaby podporządkowywaniem wszystkich i wszystkiego „państwu-biurokracji“. Mimowoli nasuwa się porównanie Mickiewicza: „Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem...“ — jeno że im nie „dobro powszechne skałą...“. Nawiasowo muszę zauważyć, iż nasi „etatyści“ krytykują „liberalizm“ — nie znając go. Adam Smith, zwany „ojcem ekonomji politycznej“, twórca kierunku liberalnego, ograniczając ingerencję gospodarczą państwa do

---

*) Wł. Studnicki: Przewroty i reformy agrarne Europy powojennej i Polski, str. 180.

minimum, robi jednak dwa wyjątki: państwo powinno bronić ustawowo społeczeństwo przed lichwą pieniężną, a budowa portów powinna być pokrywana z ogólnych wpływów podatkowych.

Skoro więc „etatyści“ jednym tchem wymieniają na karb swych zasług budowę Gdyni obok jakiejś fabryki rowerów, bekonów, maszynek do siekania mięsa lub genjalnego pomysłu monopolu na samochody — to są to rzeczy zgoła niewspółmierne. Port morski bowiem nie powinien być przedsiębiorstwem zarobkowem, ale służyć ma rozwojowi gospodarczemu całego kraju, nietylko ludności nadmorskiej. Natomiast już flota handlowa lub chłodnie mogą i powinny być przedsiębiorstwami zarobkowemi i niewątpliwie lepiej rozwijałyby się w rękach kupców, niż urzędników. I to nietylko dlatego, że przedsiębiorstwa państwowe dają większe pokusy i dłużej trwające możliwości popełniania nadużyć. Teoretycznie możemy przyjąć — jakkolwiek życiowo jest to mało prawdopodobne — że np. niedawno wykryta historja defraudacji w państwowej wytwórni aparatów telegraficznych i telefonicznych, defraudacji, trwających prawie 10 lat, nie powtórzy się. Niemniej jednak, nawet najsprawniej zorganizowane i prosperujące przedsiębiorstwo państwowe jest niewątpliwie stratą społeczną, a zatem i państwową. Na założenie bowiem przedsiębiorstwa państwowego trzeba wycisnąć ze społeczeństwa kapitał zapomocą podatków, a zamiana kapitału prywatnego na państwowy nie odbywa się bez strat, albowiem pieniądze te są wyrwane z przedsiębiorstw, w których mogłyby pracować rentownie, t. j. z korzyścią społeczną — i ich braku niema czem zastąpić. W życiu społecznem zasada rozpraszania energji jest równie niezłomną, jak w fizyce. Zużywanie pożyczek zagranicznych na przedsiębiorczość państwową również obciąża społeczeństwo spłatami amortyzacji i procentów, a zmniejsza jego możliwości kredytowe.

Jeden z t. zw. „chorążych etatyzmu“ entuzjazmuje się bezinteresownością urzędników, którzy

dają pieniądze na inwestycje, zamiast przekazać je na podniesienie swych pensji. Ogół urzędników polskich jest niewątpliwie zbyt mało płatny, aby można było oczekiwać od nich dużej wydajności pracy; nie można jednak zapominać, że istnieje pewna część urzędników uprzywilejowanych, którzy, oprócz poborów, przynależnych swej „kategorji", mają jeszcze — niekiedy bardzo liczne — stanowiska w zarządach lub radach nadzorczych przedsiębiorstw państwowych i półpaństwowych, co znakomicie zwiększa ich dochody. Dzięki akumulacji takich różnorodnych dochodów rzuca się w oczy fakt, iż jedyną warstwą społeczną, kapitalizującą w szybkiem tempie w Polsce odrodzonej, są urzędnicy — jak o tem świadczą całe osiedla rezydencji i rezydencyjek, pobudowanych na terytorjach naszych miast.

Pęd do urzędów wykazuje analogje z powodzeniem na naszym rynku pożyczek premjowych: oprocentowanie ich wprawdzie niższe jest od normalnego, ale za to jest nadzieja wygrania dużej stosunkowo premji. Ten sam pierwiastek ryzyka jest i na urzędach państwowych: wprawdzie normalne pobory nie wystarczają niemal na minimum egzystencji człowieka kulturalnego — ale w perspektywie uśmiecha się możliwość „wygrania" jakichś rad nadzorczych w państwowych lub półpaństwowych przedsiębiorstwach, a wtedy już dobrobyt zapewniony! Możność używania go krępują wprawdzie czasem niewygodne okólniki, np. premiera Bartla — ale zdaje się, że wraz z jego odejściem i okólnik poszedł w zapomnienie.

Prof. Bartel, w czasie, gdy był premierem, projektował ograniczenie dochodów urzędników państwowych do stałej kwoty, bez względu na ilość wykonywanych nadzorów państwowych. Wykonanie tego projektu prawdopodobnie zmniejszyłoby radykalnie rozpęd „przedsiębiorczości państwowej", a miałoby ten doniosły skutek, że wyżsi urzędnicy mieliby więcej czasu na spełnianie swych właściwych czynności — co umożliwiłoby pewne przyspieszenie

toku urzędowania. Kumulowanie bowiem różnorodnych zajęć i obowiązków ma niewątpliwie wpływ, nader doniosły, na wykonywanie tych zajęć. W Polsce już w zaraniu XVI-go stulecia wydano ustawę o „incompatibiliach"; szybkie tempo współczesnego życia i jego skomplikowane stosunki tembardziej domagają się podziału czynności i kompetencji w ich wykonywaniu. Gdyby Kent badał nasze przedsiębiorstwa państwowe i półpaństwowe, prawdopodobnie rozpocząłby od zredukowania ich nader wielogłowych zarządów, rad nadzorczych i t. p. *).

Nasi urzędowi etatyści wysuwają fakt przynależności niegdyś do tajnych organizacji patrjotycznych lub udziału w walce zbrojnej, jako bardzo ważki argument, predestynujący ich na kierowników i szafarzy mienia społeczeństwa. Niewątpliwie, konspiracja była koniecznością dziejową w okresie niewoli i ci, którzy z patrjotycznych pobudek brali w niej udział, niewątpliwie zasłużyli się Ojczyźnie. Ale czy rzeczywiście, należąc do organizacji lub przebywając w celi więziennej, mieli możność poznać należycie „prądy, nurtujące ówczesne nasze społeczeństwo", a zwłaszcza, czy był to punkt obserwacyjny, dający dostatecznie rozległe pole widzenia? Organizacje konspiracyjne nie zajmowały się przecież praktycznemi zagadnieniami administracyjnemi i ekonomicznemi, nie mogły więc być dobrą szkołą dla urzędników, mających spełniać normalne funkcje administracyjne — a cóż dopiero dla tych, którzy mają regulować wszelkie objawy życia gospodarczo-społecznego w państwie przeszło 30-miljonowem swymi zakazami i nakazami i stopniowo przebudowywać jego ustrój z prywatno-kapitalistycznego na państwowo-kapitalistyczny! Między przesłanką a wnioskiem niema więzi logicznej.

Gdyby spełniło się marzenie naszych etatystów, z któ-

---

*) Wiliam Kent: Badanie zakładu przemysłowego. — Kent proponuje „sfunkcjonalizowanie" członków rady zarządzającej, dając każdemu z nich specjalną robotę, do której jest najodpowiedniejszy. „Doradca" zaś powinien pracować honorowo.

rych wielu zasłużyło się państwu na innem polu i dlatego identyfikują się z państwem na wszelkich polach, „iż sztandar ich grupy podniesie się wysoko w górę i załopocze nad całą Polską“ — to chyba Polska stałaby się pustynią, po której snuliby się wynędzniali „podatnicy“, marzący o emigracji do krajów, mniej „planowo“ zrekonstruowanych...! *).

Etatyści mają rację twierdząc, że t. zw. „sfery gospodarcze“ nie należały do przedwojennych tajnych organizacji niepodległościowych. A było tak nietylko dlatego, że są one w dość znacznym procencie niepolskiego pochodzenia i częściowo tylko zasymilowane — ale przedewszystkiem dlatego, że zakres ich działania był oczywiście zgoła odmienny. Sfery gospodarcze nigdy i nigdzie nie były i z natury rzeczy nie mogą być rewolucyjne, działalność bowiem gospodarcza wymaga spokoju i bezpieczeństwa. Zasługi ich jednak dla państwa polskiego są nie mniejsze, choć częściowo tylko świadome. Zupełnie świadomie i celowo tylko Wielkopolska uczyniła sobie popieranie rozwoju gospodarczego i powiększanie polskiego stanu posiadania kategorycznym nakazem patrjotyzmu. Próby Szczepanowskiego rozbudzenia w b. Galicji „patrjotyzmu gospodarczego“ i skierowania pędu młodzieży do przemysłu i handlu w imię

---

*) Aby na wszelki wypadek usunąć zgóry jakiekolwiek nieporozumienia — które zwłaszcza wobec niniejszego, tak ostro pisanego artykułu, byłyby możliwe — zaznaczamy wyraźnie, że o ile stoimy niezachwianie na gruncie pozytywnej pracy państwowej i popieramy zdecydowanie wszelkie usiłowania rządów pomajowych, idące pod hasłem „Naprawy Rzeczypospolitej“, o czem świadczy wymownie choćby wstępny artykuł niniejszego tomu p. t.: „Równanie ku górze“, o tyle z drugiej strony przeciwstawiamy się i przeciwstawiać się będziemy stale wszelkim tendencjom sfer rządzących lub jakichkolwiek innych organizacji, któreby, z wolą czy mimowoli, zmierzały w ostatecznym rezultacie do etatyzacji czy socjalizacji życia gospodarczego, bez względu na to, czy tendencje takie wychodzą od naszych przyjaciół czy przeciwników politycznych.

Nie wynika z tego jednak, abyśmy nie uznawali w całej pełni wysiłków i rezultatów rządu w pewnych poszczególnych dziedzinach, jak np. obecnego kierunku w Ministerstwie Rolnictwa, zmierzającego w prostej linji, bez domieszki etatystycznej lub socjalnej, do naprawy położenia. (Przyp. Red.)

interesu narodowego, zamiast do biur urzędowych, wywarły również pewien, aczkolwiek niewielki wpływ na rozwój gospodarczo-społeczny. W b. zaborze rosyjskim społeczeństwo skwapliwie wykorzystywało każdą możliwość, aby podnosić i rozwijać cywilizację gospodarczą kraju. Poza świadomą wolą, wynikającą z uczucia patrjotyzmu, potężną a dobroczynną dla Polski rolę odegrał tu zwykły pęd do jednostkowego wzbogacania się. Niemcy lub żydzi, zakładający fabryki na ziemiach polskich, docierający do innych kontynentów z towarami, wyprodukowanymi przez robotników polskich, napewno o Polsce nie myśleli, tylko o własnym zarobku. Niemniej jednak, dzięki także ich pracy i przedsiębiorczości, gdy Polska powróciła do bytu państwowego po półtorawiekowej przerwie, to już nie jako niedołężny noworodek, lecz jako państwo nowoczesne, o ludności zróżniczkowanej społecznie mniejwięcej na modłę zachodnią — posiadające wielkie miasta, promieniujące kulturą, z rozwiniętym wielkim przemysłem, zdolnym do zaspokojenia w znacznej mierze potrzeb wewnętrzno-krajowych oraz do ekspansji na zewnątrz.

Otóż bez względu na to, kto i w jakim celu zakładał w Polsce fabryki i rozwijał ekspansję handlową, wyszło to na korzyść Polski, gdyż umożliwiło utrzymanie w kraju znacznej części jej przyrostu naturalnego i podniosło ludność cywilizacyjnie. Polska, to nie jest tabula rasa, na której mogliby etatyści wypisywać swoje „planowane gospodarstwo" i zaprowadzać monopole produkcji, opartej na zagranicznych koncepcjach (np. monopol samochodowy na podstawie kupienia licencji zagranicznej)!

Polska współczesna, zrujnowana wojną, dwoma inflacjami oraz eksperymentami różnych, gospodarczo niedoświadczonych rządów, potrzebuje teraz folgi i dopływu obcych kapitałów, aby umożliwić zatrudnienie ludności, chcącej pracować i zbierać owoce swej pracy, oraz wykorzystanie swych wielkich zasobów bogactw naturalnych. Kapitał zaś przyciąga rentowność przemysłu i handlu, która —

jak wiadomo — jest w Polsce nader niska. Trzeba sobie zdawać jesno sprawę z obecnej sytuacji. Ekonomiści stwierdzają, że tak ciężkiego kryzysu ekonomicznego świat nie przeżywał od pół wieku prawie, a zanosi się na to, że będzie on długotrwały. Polska przechodzi go ciężej, niż inne kraje, a nie ma rezerw na przetrzymanie. Zwiększające się, mimo różnych wahań, bezrobocie i niepewność jutra dla najszerszych warstw, grożą komplikacjami wewnętrznemi, nie dającemi się obliczyć w skutkach. Nasi etatyści, mający niewątpliwie jak najlepsze zamiary, a nie mający tylko odpowiedniego dla tak ciężkich warunków ekonomicznego doświadczenia, powinni zrozumieć, iż obecnie nie pora do eksperymentów przebudowy struktury gospodarczo-społecznej w duchu doktrynerskich programów, zbliżających się w konsekwencjach swych do socjalizmu.

Skoro bowiem zmniejszył się dochód całego społeczeństwa, to musi zmniejszyć się i udział państwa w tym dochodzie — i to nawet w wyższym stopniu. Dr. A. Heydel oblicza, iż „w obecnych warunkach wielki odsetek ludzi w Polsce żyje z majątku, bo wydatki ich nie mieszczą się w dochodzie". O słuszności tego twierdzenia świadczy wymownie fakt, że podczas gdy obecnie przez cały świat kulturalny idzie fala niebywałej taniości procentu w bankach emisyjnych — w końcu lipca b. r. sześć banków emisyjnych miało stopę dyskontową 3% i poniżej, 10 banków od 3½% do 5%, 16 banków od 5½ do 7%, 5 banków od 7½ do 9%, a tylko jeden bank 10% rocznie, prywatny zaś dyskont oscyluje przeważnie od 1¾ do 5% rocznie — to w Polsce prywatna stopa dyskontowa w niektórych okręgach dochodzi do 4% miesięcznie. Oczywiście, że takiego procentu wygospodarować niepodobna i jest on niezbitym dowodem zbliżającego się bankructwa gospodarstwa prywatnego, które przy tak wysokiej stopie procentowej musi rezygnować z utrzymania warsztatów pracy, a dąży jedynie do sztucznego przedłużania ich egzystencji kosztem substancji majątkowej.

Urzędowi etatyści obliczają, że w Polsce obciążenie podatkowe na głowę ludności — zarówno w cyfrach bezwzględnych, jak i stosunkowych — jest niższe, aniżeli w innych krajach europejskich. Obliczenie to operuje średniemi zarówno dochodu społecznego, jak i obciążenia podatkowego. Takie porównanie jednak jest błędne, gdyż istnieje pewna zasadnicza różnica między strukturą podatkową Polski a innych cywilizowanych państw, która polega na tem, że gdzieindziej struktura ta, wyrażona graficznie, ma zarys piramidy, o bardzo szerokiej podstawie a niewysokim wierzchołku, gdy w Polsce ma postać obelisku, o bardzo wąskiej podstawie i ostro w górę idącym wierzchołku. Zresztą nawet średnie dochody są w Polsce tak niskie, iż — jak słusznie zauważa Dr. Heydel — łatwiej Anglikowi, rozporządzającemu dochodem 3.682 zł., zapłacić 778 zł. podatku, niż Polakowi z 666 zł. dochodu zapłacić 90 zł. podatku. Według bowiem szczegółowych badań statystyków niemieckich, inaczej rozkładają się proporcjonalne wydatki na pożywienie, mieszkanie, odzież, opał i światło, oraz pozostałość na „wszystkie inne", w zależności od ogólnej sumy dochodów. Mianowicie z przytoczonego powyżej średniego dochodu na głowę w Anglji wydatki konieczne na pożywienie, mieszkanie, odzież, światło i opał zabierają razem 63,2%, jeżeli więc z pozostałych 36,8% opłaci obywatel daniny przymusowe w sumie 21,3%, to jeszcze pozostaje mu 15,5% na zaspokojenie dalszych potrzeb oraz na kapitalizację. Natomiast przy wspomnianej wysokości średniego dochodu w Polsce, powyższe t. zw. pierwsze potrzeby zabierają 89,6%, pozostaje więc na wszystkie inne 10,4%; a ponieważ na podatki państwowe potrzeba 13% (według innych obliczeń nawet 17%), więc wynika z tego, że Polskę nie stać nietylko na zaspakajanie potrzeb kulturalnych i na kapitalizację, ale nawet z prymitywnych pierwszych potrzeb musi okrawać część na zapłacenie podatków. To też Polska jest krajem najniższej konsumcji w Europie (za wyjątkiem chyba tylko

Rosji Sowieckiej) i dalej już obcinać ze swych dochodów na rzecz fiskusa nie może bez zagrożenia swej biologicznej równowagi.

Podniesienie zdolności konsumcyjnej szerokich warstw ludności jest koniecznością, wymagającą zgodnego wysiłku rządu i społeczeństwa. Niechże więc pp. etatyści zrozumieją, że zasługi, położone przy politycznej odbudowie państwa polskiego, jeszcze same przez się nie dają tytułu do rządzenia gospodarstwem krajowem. Chodzi obecnie o to, żeby rozwinąć państwo faktycznie do mocarstwowej potęgi, a rozwój ten będzie zależny od wejścia Polski w orbitę współczesnej, wysokiej cywilizacji przemysłowej. Bez względu na zawodowe wady przemysłowca prywatnego, jest on tak niezbędny dla rozwoju naszego państwa, że możnaby strawestować słowa Konrada z Wyzwolenia: „Polak jest na to, żeby był“ — na „przemysłowiec jest na to, żeby wogóle był, mimo wszelkich swych wad“. Możnaby przytem nawiasowo zauważyć, iż „przemysłowiec państwowy“, t. j. zbiurokratyzowany, nie wnosi żadnych nowych a cennych walorów kulturalnych, przeciwnie, raczej sumuje wady przemysłowca prywatnego z wadami biurokracji.

Rozwój przemysłowy i wraz z nim podniesienie dobrobytu społecznego, ważne same przez się we wsystkich krajach, są w Polsce tem ważniejsze, że posiadamy znaczne mniejszości narodowe, a wraz z dopływem kapitału zagranicznego będą przybywali obcy przemysłowcy. Doświadczenie zaś wszystkich krajów uczy, że asymilacja, a przynajmniej związanie silnymi węzłami z państwem oraz lojalność względem niego — idą równolegle z „przesiadaniem się z muła na konia“. Nie rozumie tego biurokracja, skłonna płacić nieraz koncesjami politycznemi za ucisk ekonomiczny. Do obowiązków zaś administracji należy nietyle udzielanie personalnych lub grupowych przywilejów, ile przedewszystkiem objektywne, równe i sprawiedliwe traktowanie wszystkich obywateli. Zamiłowanie do

ustępstw i koncesji personalnych odziedziczyła nasza biurokracja w znacznej mierze — chociaż z pewnością mimowoli — po rządach rosyjskich, tam tylko bowiem wytworzył się typ „chodataja po diełam“, niemożliwy do dokładnego przetłómaczenia na żaden inny język. Ta dowolność w udzielaniu ulg, redukowaniu lub znoszeniu kar, zdumiewała swego czasu komisję Kemmerera, który stwierdził, iż „misja nie rozumie psychologicznego podłoża tych postanowień“ i „bez ubliżenia godności ministra finansów“ radził je znieść, zaznaczając, iż „system podatkowy nie powinien być tak surowy dla jakiejkolwiek grupy płatników, żeby mógł być uważany za nie do zniesienia — a natomiast pobieranie powinno odbywać się bez specjalnych ulg i koncesji personalnych“.

W podobnym duchu wypowiada się i Centralny Związek przemysłu, górnictwa, handlu i finansów w sprawozdaniu za pierwsze półrocze r. b.: „...musi być uwzględniony przedewszystkiem postulat pewnej stałości i ciągłości, gdyż życie gospodarcze może się przystosować do najbardziej niesprzyjających warunków, byleby warunki te w pewnym określonym terminie nie ulegały wahaniom, które, jak to ma miejsce obecnie, utrudniają lub wręcz uniemożliwiają kalkulację“.

Skomplikowany problem rozwoju gospodarczego wymaga współdziałania rządu i społeczeństwa — ale współdziałania, polegającego na wzajemnem zaufaniu, a nie na przymusie. Współdziałanie takie, nieraz zupełnie intymne, istniało w państwach, dobrze rządzonych, nawet i w okresie najpełniejszego panowania doktryny liberalnej. Bez niego np. wielki przemysł chemiczny niemiecki nie byłby się tak przystosował do potrzeb wojennych, a Anglja nie byłaby opanowała niektórych surowców światowych. Teoretycznie najtrafniej ujął to Hoover, reorganizując w czasie swego urzędowania ministerstwo przemysłu i handlu. Nawiązany został ścisły kontakt z handlem, przemysłem i konsumentami. „W zakresie działalności rządu

nie leżą żadne tranzakcje ani interesy — działalność jego ogranicza się do udzielania informacji ekonomicznych, zajmowania się bliżej zagadnieniami gospodarczemi i naukowemi, wynajdywania dróg wyjścia z kryzysów gospodarczych, wskazywania dróg postępu, nawiązywania współpracy, usuwania marnotrawstwa w życiu gospodarczem i t. p.“. Gruntownie obmyślane i przedyskutowane z zainteresowanymi plany działania podawane były w formie zaleceń, „każda jednak gałąź przemysłu miała wolną rękę i mogła zalecenia ministerstwa przyjąć lub odrzucić“.

I to właśnie jest punkt najważniejszy! Etatyzm zaś robi naodwrót: mało przemyślane plany narzuca w drodze przymusu. Wszakże kryzys gospodarczy rozpoczął się u nas o rok wcześniej wskutek fatalnej taktyki zakazów i nakazów w polityce zbożowej! A czy przynajmniej wyleczył już etatystów z megalomanji?...

Dr. Marja Zawadzka.

Powyższe uwagi pani dr. M. Zawadzkiej mają tem większe znaczenie sądu objektywnego, że autorka należała swego czasu także do konspiracji patrjotycznych i przebyła cytadelę warszawską. Podzielamy w zupełności jej pogląd zasadniczy, wyrażany zresztą przez nas już nieraz na innych miejscach w formie stanowczego twierdzenia, że nasz rodzimy etatyzm, obecnie coprawda już nieco złagodzony, buduje coraz bardziej na próżni, która tworzy się pod nim wskutek wyczerpywania się prywatnego gospodarstwa krajowego. Zwolennicy etatyzmu w rządach przed- i pomajowych nie są w stanie zrozumieć, że „osuszają studnię, z której etatyzm — i państwo wogóle — czerpie swe soki żywotne“, jak to pisaliśmy swego czasu. Gospodarstwo państwowe jest nieodłączną funkcją gospo-

darstwa prywatnego i jeżeli jedno z nich choruje, to musi bezwzględnie chorować i drugie.

Dlatego też dopuściliśmy w powyższym artykule do zamieszczenia ustępów, wykazujących niewspółmierność zasług zbrojnych z kwalifikacjami gospodarczemi, chociaż jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami zbrojnego czynu Legjonów — a raczej właśnie dlatego, że nimi jesteśmy. Dla nas, konserwatystów, wyznających nawskroś trzeźwe poglądy w każdej dziedzinie, jasnem jest, że innych trzeba kwalifikacji do walki o niepodległość kraju i nadawania mu następnie pewnego ogólnego politycznego kierunku, a innych znowu do decydowania o formie i warunkach jego gospodarczego rozwoju. Nie można obu tych, tak różnych od siebie problemów, ujmować tem samem hasłem i tym samym powierzać ludziom. Musi istnieć racjonalny podział pracy według kwalifikacji i to tembardziej w okresie walki o kwalifikacyjne podniesienie ciał ustawodawczych.

Etatyzm w odrodzonej Polsce jest — naszem zdaniem — od pierwszego początku, aż do obecnej chwili, we wszystkich swych personalnie i rzeczowo zmiennych przejawach, oczywistym rezultatem niedostatecznej kompetencji fachowej ludzi, którzy bywali kolejno powoływani do decydowania o podstawowych kwestjach gospodarczych. Trzeba raz nareszcie jasno sobie to uprzytomnić i jasno powiedzieć, że wielu z tych ludzi miało wprawdzie i ma wielkie zasługi i wielką wartość dla państwa w różnych innych dziedzinach, ale nie w zakresie gospodarczym! Przemilczanie tego faktu z jakichbądź względów oportunistycznych uważamy za szkodliwe dla dzieła „Naprawy Rzeczypospolitej". I w ogólnem uznaniu tej zasady kwalifikacyjnej leży, zdaniem naszem, zapoczątkowanie w praktyce naprawy stosunków, zwłaszcza gospodarczych.

Z niezrozumienia tej zasady wynikło właśnie, że ludzie, skądinąd może i bardzo zasłużeni i zdolni, porwali się na tworzenie nowych form ustroju życia gospodarczego, co w danych warunkach krytycznego położenia i niezmie-

nionych jeszcze demagogicznych ustaw gospodarczych z pierwszych lat niepodległości, utrudnia w wysokim stopniu przezwyciężenie kryzysu i powrót jakiejkolwiek równowagi ekonomicznej. Cały szereg jednak pociągnięć sfer miarodajnych w ostatnich czasach, a między innemi także coraz bliższy kontakt tych sfer z prywatnemi organizacjami gospodarczemi, świadczy o tem, że okres eksperymentów etatystycznych zaczyna się już przełamywać. I to daje nam nadzieję wejścia na racjonalne tory gospodarcze *).

Natomiast z całą stanowczością sprzeciwić się musimy niektórym fachowym czy mniej fachowym ekonomistom, którzy — aczkolwiek wyznając wogóle poglądy całkiem umiarkowane — rzucają ze zbytnią pohopnością proroctwa „nieuchronnej konieczności" całkowitej kontroli państwa nad produkcją, zagarnięcia przez państwo całego obrotu pieniężnego (na miejsce banków prywatnych), i t. d. i t. d. Wszelkie takie proroctwa i tezy pachną już zdaleka bolszewizmem i w każdym razie nie powinny być wygłaszane przez tych, z których ust nieraz je słyszymy. Bo jeżeli — w co bezwzględnie nie wierzymy — świat ma już iść koniecznie na lewo, w kierunku ustroju socjalistycznego, to nie powinni mu w tem pomagać przynajmniej ci, których obowiązkiem jest walka z doktryną Marxa!

---

*) Niedawno, w czasie otwarcia Izby skarbowej w Łodzi wygłosił oficjalny przedstawiciel Ministerstwa skarbu znamienne przemówienie, sygnalizujące odwrót od etatyzmu w kierunku ochrony gospodarki prywatnej, jako podstawy i źródła zasobności skarbu państwa. Podkreślając ten zwrot z całem uznaniem, musimy jednak zachować się na razie z pewną wyczekującą rezerwą wobec podobnych urzędowych enuncjacji gospodarczych, które nieraz już padały z oficjalnej trybuny w ciągu lat ostatnich, ale dotąd słabo tylko, albo i wcale nie realizowały się w praktyce, a w każdym razie nie zapoczątkowały głębszych, zdecydowanych reform gospodarczych i fiskalnych.

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

Rubrykę tę otwieramy nietyle z własnej inicjatywy, ile wobec faktu, że poważne i ogółem trafnie charakteryzujące położenie głosy niektórych czytelników naszych napłynęły już do Redakcji i zasługują na opublikowanie. Ludzie chcą się wypowiedzieć. Niepodobna im tego odmówić, zwłaszcza w tak ciężkich i gorących warunkach, jak obecne i wobec tego, że... nie mogą wypowiadać się gnieindziej!

Nie mogą, bo prawie cała polska prasa codzienna, jak długa i szeroka, jest albo partyjnie, jednostronnie nastawiona i z tego tylko punktu widzenia wszystko, co się w kraju dzieje, bezkrytycznie chwali lub gani, albo też — trzęsie się ze strachu przed każdem słówkiem prawdy, poprostu przed własnym cieniem i fabrykuje swe artykuły z przesadną płochliwością i subtelnością, aby tylko nie urazić przypadkiem nikogo, nie nadeptać mrówce na nóżkę! Działają tu pobudki różnorodne, dość, że w polskiej prasie przeważnie nie wolno pisać — co się naprawdę nazywa p i s a ć ! Zasznurowane ma usta i publicysta i redaktor i ogół ludzi myślących. Tysiączne względy i względziki — najfałszywiej nieraz pojęte — paraliżują ich pióra, to też artykuły wychodzą z pod nich zbyt często niezgrabnie tendencyjne, bezbarwne, bezprogramowe, sztucznie zlepione, to znowu ultra-taktowne i taktyczne i maltretujące prawdę w sposób wołający o pomstę.

Rzec można, że istnieją dziś dwie Polski — jedna w prasie, druga w rzeczywistości, odległe od siebie jak ziemia od słońca.

„Nasza Przyszłość“ nie ma żadnego powodu obawiać się prawdy, albo liczyć się z czyjąś przesadną wrażliwością czy płochliwością. Wszak o przyszłości naszej zadecyduje

prawda, naga i szczera prawda, a nie bojaźliwe, efemeryczne, często małoduszne czy krótkowzroczne kombinacje dziennikarskie z dziś na jutro. Dlaczego więc nie pisać prawdy, dlaczego usta sobie i drugim sznurować? Przecież to i tak nic nie pomoże! Krytyka historyczna i tak każdą prawdę prędzej czy później na wierzch wydobędzie, rolę każdego należycie wyświetli i każdemu właściwe przyzna stanowisko.

Dlatego też na łamach naszego pisma może się każdy wypowiedzieć, kto ma naprawdę coś do powiedzenia, coś poważnego, ciekawego, ujętego objektywnie i mogącego przyczynić się w czemkolwiek do wyjaśnienia i poprawy stosunków w państwie.

Zaprosiliśmy niedawno pewnego bardzo zdolnego publicystę, z umiarkowanych sfer prorządowych, znającego doskonale tajniki zakulisowe zarówno świata dziennikarskiego, jak i gospodarczego, z którym wiele ma codzień do czynienia, do napisania artykułu dla „Naszej Przyszłości", ilustrującego rolę i charakter dzisiejszej polskiej prasy codziennej. Oto jego odpowiedź, która rzuca ciekawe światło nietylko na poruszony przez nas temat, ale i na pewne nasze bolączki gospodarcze, sięgające głęboko w podłoże naszych stosunków. Nie możemy niestety ujawnić nazwiska autora, aby go nie narazić zarówno na „gniew ludu", jak i na gniew — jego najbliższych.

Szanowny Panie Redaktorze!

Serdecznie dziękuję Szanownemu Panu za zaszczytną propozycję napisania artykułu o współczesnem dziennikarstwie w Polsce. Temat to bardzo wdzięczny, ale niesłychanie drażliwy. Znam mniej więcej wszystko, co ukazało się w ostatnich latach w druku na ten temat: same ogólniki i kadzenie na prawo i lewo, a nad wszystkiem wielki strach, aby czasem kogoś nie urazić i komuś się nie narazić. Znam

także — i to dość dobrze — kulisy naszego dziennikarstwa, znam sporo ludzi, pracujących na tem polu, znam ich poglądy na własną pracę i ich „sztandpunkty“, gdyż o ideologji mówić zgoła nie można, albo tylko w nielicznych, wyjątkowych wypadkach.

To też najzupełniej zgadzam się z ogólnym poglądem Szanownego Pana Redaktora, że największą wadą naszego dziennikarstwa jest to, iż idzie w ogonie opinji publicznej i przeżuwa to, co inni pogryźli przedtem. Czyni tak z obawy, że mogłoby sobie nadwyrężyć zęby i z braku jakiejkolwiek idei, skutkiem czego niema odwagi wysunąć się naprzód i prowadzić. A na to, aby wysuwać się naprzód po pioniersku, choćby już tylko w imię dobrze zrozumianego interesu własnego, jest za ograniczone, za kramarskie. Idzie więc w ogonie opinji i przytakuje, albo „zaprzecza“, zależnie od tego, co w danym momencie lepiej popłaca, co jest korzystniejsze ze względu na dział inseratowy i t. p. W niektórych redakcjach panuje ciągły, chorobliwy strach przed prenumeratorami i czytelnikami: tego nie wolno ruszać, bo to może temu się nie spodobać, tamto może oburzyć kogoś innego, a jeszcze coś innego może nie być po myśli czyjejś. Takie pisma czekają w ważniejszych momentach, aż się sprawy wyklarują i potem dopiero decydują się, jaki obrać ton i jakie zająć stanowisko.

Odnosi się to również i do t. zw. „ideowych“ organów partyjno-politycznych. Cała ideowość sprowadza się do tego, że się ma jakiegoś konika, na którym się jeździ w jednym dziale, ale w pozostałych działach panuje ta sama płochliwość, ten sam brak myśli przewodniej, ta sama ochota małych ludzi przypodobania się wszystkim. I jeżeli się już na coś zdobędą, to conajwięcej na napaść osobistą lub na jakiś osobisty porachunek. Wtedy wyładowuje się cała wojowniczość i cały „temperament“.

Nie godzę się za to na drugą część tezy Szanownego Pana, że mianowicie na łamach naszej prasy widać nazbyt pieniądze jej mandatarjuszy i wydawców, a zbyt mało indywidualizmu redakcyjnego. Nie godzę się dlatego, bo indywidualizmu redakcyjnego — niema zgoła w prasie polskiej, a to, co się nim być wydaje, jest po bliższem przyjrzeniu się tylko ambicją osobistą, chwilową i zmienną. A co do pieniędzy mandatarjuszy, to widać nietyle te pieniądze, ile służalczość tych, którzy z nich korzystają. Niemasz w Polsce, jak mi się zdaje, ludzi, których możnaby nazwać mecenasami prasy, ludzi, którzyby bezinteresownie, dla idei i w dowód uznania, wspierali jakiś organ prasowy — a mamy tylko ludzi, którzy kupują sobie za skąpe świadczenia usługi prasy, mniej lub więcej dobrowolne *).

Wszystko to jest w gruncie rzeczy rezultatem bezideowości, która nigdzie nie stała się tak powszechną, jak u nas. To, co się często bierze za ideę, jest — jak już wspomniałem — tylko prywatą, ambicją, albo namiętnością, dla których upozorowania usiłuje się dorobić jakąś ideologię. Stąd to przeładowywanie aż do obrzydliwości każdego artykułu, każdej nawet wzmianki kronikarskiej, komunałami o „obowiązku publicystycznym“, „interesie ogółu“, „względach moralności“, „obowiązku sumienia“ i t. d. i t. d.

Zadałem sobie trud przeglądania przez dłuższy czas z tego punktu widzenia gazet zagranicznych od deski do deski i ani razu nie spotkałem podobnych, płaskich zwrotów.

Byłoby o czem pisać, ale artykuł taki nie zrobiłby dobrze „Naszej Przyszłości“ zaraz na samym niemal początku jej drogi. A co do mnie, to w obecnej chwili byłoby z pewnych względów nierozsądnie z mej strony, gdybym wystąpił z takim tematem.

Na temat roli dziennikarstwa przyjdzie jeszcze czas i lepsza, niż dzisiaj, okazja, a wtedy z prawdziwą przyjem-

*) Są jednak wyjątki od tej reguły. (Przyp. Red).

nością zabiorę się do napisania artykułu dla Pańskiego wydawnictwa. Tymczasem pozwolę sobie zwrócić uwagę jeszcze na inny temat, z za kulis naszego życia gospodarczego. Wszak ten temat interesuje dzisiaj społeczeństwo nasze najbardziej ze wszystkich.

W tym kierunku pisać musimy coraz wyraźniej i coraz kategoryczniej stawiać tezę, że resorty gospodarcze muszą być obsadzane przez ludzi, z życiem gospodarczem bezpośrednio związanych, a nie przez teoretyków i polityków, którzy, zasiadłszy na stolcu urzędowym, stają się niebezpiecznie zarozumiałymi i wierzą święcie, że zostali powołani do jakiejś specjalnej misji, do wynalezienia jakiegoś specjalnego planu i programu, że wszystko zaczyna się dopiero od chwili ich wstąpienia na fotel. Ludzie, którzy kiedyindziej nie śmieliby nawet zabierać głosu w gronie praktyków gospodarczych i ekonomistów, znalazłszy się na urzędzie sądzą, że nie wolno im bez ujmy dla siebie niczyich poglądów podzielić i że muszą koniecznie robić inaczej, niż doradzają praktycy, aby w ten sposób zachować swój „autorytet“ i nimb wyższości.

A pozatem zabrać się musimy na serjo do oświetlania legalności postępowania różnych władz w resortach gospodarczych i społecznych w stosunku do przedsiębiorców. Pod tym względem bowiem panuje u nas zastraszająca samowola i bezprawie. Zmiana ustawodawstwa niewiele nam pomoże, jeżeli nie uda się wytrzebić samowoli i lekceważenia prawa przez władze i instytucje wykonawcze.

W tej pracy napotykamy niestety na przeszkody także i ze strony samych ofiar tego zła. Obawa przed zemstą zdemoralizowała ludzi zupełnie. W skuteczność obrony prawnej nikt już nie wierzy, każdy natomiast obawia się wszechwładzy wykonawców i stróżów prawa. I do pewnego stopnia ludzie ci mają słuszność. Bo często nawet zwracanie się do sądów bywa bezskuteczne. Prasa tych rzeczy oczywiście nie porusza. Jednym nie wypada poddawać krytyce instytucji społecznych, bo to nie byłoby „po-

stępowem", inni nie chcą „zadzierać" z urzędami, a jedni i drudzy są albo zamało przygotowani, albo za leniwi, aby zabrać się do sumiennej, opartej na znajomości rzeczy pracy krytycznej.

Spotkałem się już z tem, że ze strony pewnej bardzo poważnej organizacji gospodarczej starano się wpłynąć na pewien organ prasowy, aby osłabił nieco swe wystąpienia przeciw różnym poważnym usterkom w postępowaniu pewnej oficjalnej instytucji społecznej. I cóż się okazało? Owa organizacja gospodarcza jest w gruncie rzeczy instytucją urzędniczą, jej urzędnicy są kolegami urzędników oficjalnych instytucji gospodarczo-społecznych, przeto wzajemnie jedni i drudzy wyświadczają sobie koleżeńskie przysługi. I tak urzędnicy danej organizacji gospodarczej referują u siebie przychylnie jakiś nowy projekt ambitnego społecznika z urzędowej instytucji ochrony pracy, dzięki czemu projekt urzędowy rzekomo „spotyka się z przychylnem stanowiskiem sfer gospodarczych", a za to koledzy z instytucji urzędowej starają się, aby jedno lub drugie podanie jakiejś firmy zostało przychylnie rozstrzygnięte, skutkiem czego znowu okazuje się, że owa organizacja gospodarcza jest „mocno ustosunkowana".

Jestem głęboko przekonany, że gdyby w Polsce można zebrać dziesięciu przemysłowców czy finansistów, którzy zdecydowaliby się na podjęcie otwartej kampanji o naprawę polityki gospodarczej państwa, mieliby przeciw sobie przedewszystkiem aparat wykonawczy własnych organizacji gospodarczych, w którym wznieciliby popłoch, a może i jakąś reakcję, ale za to — mojem zdaniem — mogliby skutecznie oczyścić atmosferę.

Daremnem jednak byłoby szukanie takich ludzi. Gdyby rząd dzisiaj zdecydował się obsadzić stanowisko ministra przemysłu i handlu przez człowieka z prywatnych sfer przemysłowych, to wielki miałby kłopot z wynalezieniem prawdziwie poważnego kandydata i sfery gospodarcze wysła-

łyby na tę placówkę któregoś ze swych faktorów politycznych, który uczyniłby może wiele dla jednostek, ale nic dla życia gospodarczego.

Znam wprawdzie pewne jednostki twarde i nieugięte, nieukrywające swego zdania w swoich kółkach. Ale proszę powiedzieć takiemu człowiekowi, by użył swego wpływu i trzasnął pięścią w stół na zebraniu organizacji, do której należy! Odpowie na to, że nie warto, bo wtedy trzebaby samemu stanąć do roboty, zaniedbując swe własne interesy — a jeśli nic się nie potrafi zrobić, to co? Nazbiera się guzów i straci liczne interesy! *).

Sfery gospodarcze są w gruncie rzeczy już tak strasznie zdemoralizowane, że poszczególni ludzie myślą dzisiaj już tylko o tem, jakby tu jeszcze coś dla siebie uzyskać, chociażby kosztem sąsiadów i kosztem wspólnej sprawy, bo niewiadomo, co będzie jutro i czy jutro wogóle wszystkiego djabli nie wezmą! Organizacje zawodowe przemysłu pracują w coraz okropniejszych warunkach. Najlepsze chęci i poświęcenie jednostek napotykają na obojętność i apatję ogółu członków. Gdy należałoby wzmóc walkę do największego napięcia, skoro dach pali się nad głową, to lokatorzy sądzą, że nie warto dawać pieniędzy na sikawkę, że lepiej — póki czas — wynieść, co się da, bo i tak wszystko jest skazane na zagładę. Innemi słowy: lepiej dać łapówkę komu trzeba, aby coś wyszachrować dla siebie, niż zapłacić wkładkę do organizacji, aby mogła podjąć walkę o naprawienie złej rzeczy. Lepiej starać się przekupić urzędnika skarbowego, niż sfinansować akcję o reformę podatków lub ograniczenie wybujałości w interpretowaniu ustaw przez ich wykonawców. Gdybym miał środki, stworzyłbym bojowy organ gospodarczy, walczący na dwa fronty: z polityką gospodarczą państwa i z apatją w samym obozie gospodarczym. Może udałoby mi się rozbudzić tych ludzi, a kto wie, czy dzisiaj taka walka z apatją i rezygna-

---

*) Typowa mentalność różnych wybitnych ludzi ze sfer gospodarczych! (Przyp. Red.).

cją w obozie gospodarczym nie jest ważniejszą, niż walka z bolszewizującem ustawodawstwem gospodarczem? Jak długo bowiem szczyty naszych sfer gospodarczych zadawalniać się będą herbatkami u pp. ministrów i zabiegać o względy różnych dygnitarzy w ministerstwie skarbu, tak długo próżnem będzie wołanie o sanację naszych stosunków ekonomicznych.

A teraz drugi list, który otrzymaliśmy w czasie żniw od pewnego ziemianina z Małopolski, wybitnego gospodarza, żyjącego oszczędnie i — jak to mówią — warującego osobiście przy roli, a dalekiego od wszelkiej polityki. Zamieszczamy ten list, jako ilustrujący doskonale stosunki i reasumujący przekonania naszego rolnictwa — nietylko większego, ale w znacznej części i drobnego — przekonania, które w ogólnym zarysie pokrywają się całkowicie z zapatrywaniami Redakcji.

Niechże nad treścią tego listu zastanowią się dobrze ci, którzy rządzą oraz ci, którzy nazbyt uczonymi wywodami z zakresu ekonomji i polityki usprawiedliwiają nasze obecne położenie gospodarcze.

Z. . . . . . . 15 lipca 1930.

Szanowna Redakcjo!

Widzę z poprzednich numerów Waszego pisma, że walczycie Panowie o tę prawdę, iż główną przyczyną kryzysu ekonomicznego w Polsce jest nietyle konjunktura światowa, ile przedewszystkiem nasz własny, rodzimy „biały bolszewizm“. Gdyby go nie było, gdyby Polska szła w jakimś mniej więcej rozumnym, logicznym kierunku gospodarczym, to wpływ konjunktury światowej byłby bez porównania mniej dotkliwy. Ale nasz ustrój ultrademokratyczny, nasze prawodawstwo, pogłębiają i zaostrzają każdy skutek konjunktur zewnętrznych. I na to żadne systemy „pogotowia ratunkowego“, ani uczone djatryby nie pomogą.

To mniej więcej wynika z Waszych artykułów, które przemawiają mi zupełnie do przekonania. Nie trzeba bowiem długo dociekać i rezonować, wzywając na pomoc zagraniczne autorytety, aby wytłomaczyć, dlaczego nam źle, kiedy na każdym kroku w rozwoju naszej niepodległej gospodarki spotykamy się z absurdami, które aż nadto wyraźnie tłomaczą stan rzeczy! Pragnę poruszyć tu tylko dziedzinę rolnictwa, bo w niej od trzydziestu lat pracuję. Niech o innych działach gospodarczych inni mówią.

Otóż stwierdzić muszę przedewszystkiem jeden fakt kapitalny, bezsporny, że — chociaż prowadzę życie bardzo oszczędne, nie jeżdżę zagranicę, nie trzymam automobilu, nie urządzam u siebie kosztownych zebrań i nie gram w karty, a natomiast chodzę prawie dosłownie sam za pługiem, ograniczając do minimum koszta administracji — to jednak utrzymuję siebie i gospodarstwo nie z dochodu, bo tego rola dzisiaj prawie nie daje, ale przeważnie ze stopniowej likwidacji majątku. Póki starczy lasu na wyrąb i ziemi na parcelację, póty jako tako będę „gospodarować“, a potem... trzeba się chyba będzie starać o posadę woźnego w Państwowym Banku Rolnym lub w Banku Gospodarstwa Krajowego!

Czytywałem dawniej nieraz uczone rozprawy naszych wybitnych ekonomistów. Bywałem we Lwowie i w Warszawie na odczytach, urządzanych przez organizacje rolnicze. Teraz wszystko to zarzuciłem, bo te uczone dygresje wydają mi się w praktycznych rezultatach jałowe i srogą ironją wobec rujnującej rzeczywistości.

Bank Polski ogłosił niedawno szumnie po gazetach, że podwyższa sumę kredytu zastawowego do stu miljonów zł. Wspaniałe pozory państwowej opieki nad rolnictwem! Gest i pozory — bo nas, ziemian, te kredyty tylko obdłużają i zabijają. Przedłużanie agonji! Dobry jest kredyt i pomoc państwowa, ale oczywiście tylko wtedy, jeżeli rolnik ma możność odpowiednio sfruktyfikować owoce swej pracy i wyciągnąć z niej jaką taką gotówkę dla spłacenia zaciąg-

niętych zobowiązań. Tymczasem u nas cały ustrój gospodarczy, dotąd jeszcze przez nowe rządy nie zmieniony, dąży w prostej linji do zniszczenia prywatnych warsztatów pracy przez państwo, zwłaszcza średnich i większych, do proletaryzacji społeczeństwa — i dlatego wszelka pomoc państwowa czy bankowa wygląda na ironję. Cóż bowiem pomoże kredyt, dawany przez państwo jedną ręką, jeżeli to samo państwo niszczy drugą ręką egzystencję naszą w samych podstawach wszelakimi podatkami, świadczeniami i ustawiczną, niefortunną ingerencją?

Co tu długo gadać! Po co wzywać na pomoc wyniki zagranicznych badań rolniczych, komitetów międzynarodowych, instytutu Rockefellera i tym podobnych, ciężko-uczonych zespołów, których orzeczenia sięgają aż do planet w poszukiwaniu przyczyn kryzysu gospodarczego, a mają to do siebie, że ich żaden przeciętny śmiertelnik nie rozumie i żadnemu rolnikowi nie napełniły jeszcze kieszeni, ani nawet nie stworzyły perspektywy ratunku. Co nam do Francuzów, Anglików czy Amerykanów, kiedy kapitalne przyczyny złego są daleko bliższe — leżą na drodze naszej codziennej pracy i miłych stosuneczków rodzimych!

Przecież wiemy wszyscy doskonale, skąd się wziął nasz obecny ostry kryzys w rolnictwie. Wierzę, że złożyło się nań wogóle tysiąc i jedna przyczyn, ale — że ta jedna jest właśnie najważniejsza. Nie potrzebujemy pytać o nią siedmiu mędrców z instytutu Rockefellera. Oto w r. 1927, przy dobrym urodzaju i ówczesnych wysokich cenach zboża (bo nawet żyto dochodziło wówczas prawie do 40 zł., a pszenica zbliżała się do 60 zł.), gdy rozpoczynaliśmy żniwa w radosnem przeświadczeniu, że po tylu latach klęsk wojennych i powojennych zdobędzie rolnik nareszcie należytą zapłatę za swą pracę i swe wielkie inwestycje, poczynione oczywiście kosztem wysprzedaży znacznej części swego majątku i będzie w stanie spłacić najpilniejsze długi i zapoczątkować sobie jakiś kapitał rezerwowy na czarną godzinę — wtedy właśnie, jak grom z jasnego nieba, ude-

rzyło w rolnictwo polskie rozporządzenie ministra przemysłu i handlu, zakazujące wywozu zboża zagranicę. Dlaczego ministra przemysłu i handlu? Bo ministerstwo rolnictwa pozwoliło odebrać sobie wówczas najważniejsze swe funkcje i władza jego zeszła faktycznie do zera. Dlaczego zakaz wywozu, za którym robi rząd zresztą tak rozgłośną reklamę w obronie czynnego bilansu? Dlatego, bo różni socjalni doktrynerzy zastraszyli p. ministra Kwiatkowskiego teorją „taniego chleba“.

Ministerstwo, które jest nietylko ministerstwem przemysłu, ale także i handlu, nie wiedziało widocznie o tem, że wskutek olbrzymich nożyc w Polsce między ceną produktu surowego a tegoż produktu w detalicznym handlu, bardzo nawet znaczne obniżenie cen surowego zboża niewiele wpłynie na obniżenie cen chleba, sprzedawanego po sklepikach. To też w rezultacie wydanego zakazu cena chleba spadła zaledwie o parę groszy za kilo, a więc o kwotę, której najuboższy nawet robotnik, ba, nawet urzędnik państwowy, nie poczuje — a natomiast wewnętrzna hurtowna cena zbóż spadła odrazu o kilkadziesiąt procent, unicestwiając wszelki zarobek rolnictwa.

W nieuchronnej konsekwencji wytworzyło to z biegiem czasu takie warunki, że cena żyta z pierwszej ręki spadła do kilkunastu zł. (chwilowo i lokalnie nawet do 8 zł.), a rolnictwo, pracując stale z grubym deficytem, obciążane — znowu na rzecz teorji socjalistycznych — coraz większemi świadczeniami, pozbawione wskutek poprzedniej dewaluacji wszelkiego własnego kapitału obrotowego i rezerwowego, zmuszone było przejść do gospodarki „likwidacyjnej“, t. j. do utrzymywania się przy życiu metodą długów i szybkiej wysprzedaży majątku, parcelacji roli, wycinania lasów i t. d. A gdy następnie — stwierdzam wyraźnie, że dopiero następnie! — dotarły do nas podmuchy ogólnego kryzysu światowego, to osłabione, zdruzgotane finansowo rolnictwo polskie tem mniej mogło im się oprzeć i kryzys rolniczy wystąpił u nas

oczywiście ze szczególnie wzmożoną siłą. Jasnem jest, że człowiek zamożny łatwiej kryzys przetrzyma od zadłużonego biedaka!

Ale mimo to wszystko niktby w naszej radykalno-demokratycznej republice, nastrojonej na zniszczenie „burżuja", nie wzruszył się tym stanem rolnictwa, aczkolwiek dotknął on 60% społeczeństwa polskiego, gdyby nie okoliczność, że pogrom rolnictwa (bo inaczej niestety wyrazić się nie mogę!) wstrząsnął siłą nabywczą społeczeństwa wogóle i odbił się bardzo dotkliwie na przemyśle, wywołując tam coraz większe bankructwa i bezrobocie.

Wówczas — ale dopiero wówczas — w obliczu groźnej kwestji socjalnej, podniósł się w sferach oficjalnych krzyk w „obronie rolnictwa". Rzucono mu się na pomoc metodą karetek pogotowia ratunkowego. Ministerstwo rolnictwa, pod dzielnem nareszcie kierownictwem p. Janty-Połczyńskiego, zaczęło na gwałt opracowywać mały i wielki plan sanacji rolniczej. Nawet Głowa Państwa sięgnęła po poradę bezpośrednio do poważnych przedstawicieli rolnictwa, gromadząc ich na Zamku i wysłuchując ich długich skarg i referatów.

Zdawało się, że powiał jakiś prąd ożywczy, objektywniejszy w stosunku do pracy na roli. Ale oto dowiadujemy się, że rząd sprowadza dość znaczne ilości pszenicy węgierskiej dla młynów małopolskich *).

Ręce opadają i człowiek musi sobie powiedzieć, że w takim kraju, wobec takiej gospodarki, niema wogóle co robić. Polityka rządu, inspirowana raz przez ekonomistów od zielonego stolika, drugi raz przez fantastów czy nawet

---

*) Od chwili otrzymania tego listu rzecz zmieniła się na lepsze, bo z końcem lipca Rada Ministrów uchwaliła (nareszcie!) dość znaczne cła na import pszenicy, mąki i kasz. Ale list niniejszy nie traci przez to na aktualności, bo rozporządzenia oficjalne, dyktowane względami „demokratycznymi" i teorją „taniego chleba" lub „polityki konsumenckiej", mogą się — wobec romantycznej mentalności polskiej — przecież każdej chwili powtórzyć. (Przyp. Red.).

demagogów socjalnych, niszczy planowo i konsekwentnie gospodarstwo krajowe, a nawet własne swe teoretyczne zamierzenia. Na nic banki państwowe, na nic kredyty i odczyty i konferencje i herbatki oficjalne i reglamentacje — wobec zarządzeń, które raz poraz spadają lub spaść mogą na wysiłki rolnictwa, niszcząc każdy zdrowszy odruch gospodarczy, każdy zarobek in spe gospodarstwa krajowego, w samym zarodku. Zniechęcenie ogarnia nas wszystkich, bo dzisiaj już każdy wielki i mały rolnik nauczył się na własnej skórze, że ich interes jest w istocie wspólny i że w obronie tego interesu mają od lat jednego głównego wroga, t. j. państwo, reprezentowane raz przez kliki sejmowładcze, to znowu przez władze administracyjne, kierowane teorjami socjalnemi, a nie rozumiejące najprostszych wskazań zdrowej gospodarki.

Cóż nam pomogą wszelkie rodzaje etatystycznej pomocy, jeżeli rządy i sejmy podcinają — choćby mimowoli — rok rocznie ceny produktów rolniczych nieszczęsną, nielogiczną „polityką konsumenta“, a ciężar podatkowy wzrasta „w imię dobra ojczyzny“ ponad wszelkie granice rentowności i możliwości egzystencji! Czy wie Szanowna Redakcja, że w niektórych powiatach t. zw. dobrowolne świadczenia, czyli różne uboczne daniny, ustalane na podstawie dobrowolnej umowy między płatnikami a władzą, wzrosły s i e d m i o k r o t n i e w ciągu ostatnich czterech lat? I że kwoty, składane do urzędów skarbowych na rzecz ustawowych podatków, są przepisywane w pewnych instancjach pośrednich na rzecz tych świadczeń „dobrowolnych“ dlatego, aby dać władzy skarbowej pretekst do ręki dla bezwzględnego ściągania rzekomo niezapłaconych podatków państwowych w drodze licytacji?!

Przykład. Zapłaciłem wszystkie należne do tej pory podatki państwowe i samorządowe, ale nie zapłaciłem jeszcze owej daniny „dobrowolnej“ na szkoły, higienę etc., gdyż w porozumieniu z województwem została mi rozłożona na pewne raty. Otóż wrogi mi starosta - radykał

spowodował, wbrew wyraźnemu rozporządzeniu wojewody, przeniesienie wpłaconych kwot podatkowych na rachunek daniny dobrowolnej, przez co podlegałem przymusowej licytacji wobec... zaległości w podatkach ustawowych!! Zarządzono więc licytację przy pomocy wójta-bolszewika i sprzedano mi, korzystając z mej chwilowej nieobecności, za bezcen najlepsze konie z mej stajni zarodowej. Apeluję do rządu centralnego, ale — szukaj wiatru w polu! Koni, które przepadły, nikt mi już nie wróci.

W takich warunkach, gdzie ustrój państwa i praktyka administracyjna wymierzone są jasno i wyraźnie na zniszczenie wyższej kultury rolnej w imię radykalnych teorji socjalnych, cały mobilizowany obecnie aparat pomocy rolnej wygląda poprostu na żarty. My, rolnicy, żądamy od państwa nietyle pomocy, bo ta się w danych warunkach sama przez się rozumie, ile w pierwszym rzędzie tego, aby nam nie szkodziło, nie narzucało nam likwidacji i ruiny.

Logika naszej oficjalnej gospodarki budzić musi niekiedy zdumienie. Produkowaliśmy w odbudowanych z trudem gospodarstwach żyto — podcięto nam jego ceny prohibicją wywozu. Przerzuciliśmy się teraz w konsekwencji na produkcję pszenicy — podcinają nam i jej cenę zagranicznym importem. A przytem żąda od nas demokracja, a za nią i państwo, ponoszenia coraz większych ciężarów i podwyższenia płac robotniczych. Z czego? Z coraz większych deficytów naszego gospodarstwa i z likwidacji naszych majątków? Kiedyż nareszcie zaświta w naszych miarodajnych sferach ta jasna i oczywista prawda, że przez paraliżowanie rentowności pracy nadmiarem ciężarów i reglamentacją niepodobna podnieść siły nabywczej społeczeństwa, bo kto nie zarabia, ten nie może kupować! Kiedyż zrozumieją, że dola mas robotniczych i wysokość ich zarobków zależy w prostym stosunku od zarobku produkcji! Kiedyż przestaną bruździć ciągłymi nakazami i zakazami! Niech nam raz nareszcie dadzą spokój i pozwolą spokojnie pracować na roli, a jeżeli chcą w czemś naprawdę i szcze-

rze pomóc rolnictwu, to niech zrobią tylko dwie rzeczy, ale w sposób energiczny i zdecydowany:

1) niech zabezpieczą rolnictwo silną ochroną celną,

2) niech obniżą sumę świadczeń publicznych do jakiegoś rozumnego poziomu i wyplenią samowolę fiskalną władz niższych.

N i e c h n a m d a d z ą o d e t c h n ą ć ! To główna rzecz, której całe gospodarstwo polskie obecnie najbardziej potrzebuje.

Skarb państwa nic na tem nie straci, bo odradzające się swobodnie rolnictwo będzie więcej mogło państwu płacić, mimo zmniejszonej stopy podatkowej. Robotnik także zyska, bo jeżeli nawet chleb podrożeje o parę procent, to robotnik zarabiać będzie o kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt procent więcej, niż obecnie, a przedewszystkiem znajdzie zawsze pracę i zarobek.

Zapewne, nie usunie to całkowicie oddziaływania kryzysu światowego, ale osłabi to działanie do jednej czwartej. Osłabi w każdym razie węcej, niż uczone wywody instytutu Rockefellera, które nadmiarem frazeologji naukowej starają się zasłonić nam oczy na prostą rzeczywistość. A rzeczywistość jest ta, że własne państwo nas niszczy, nie kto inny, bo wypowiedziało — i to od pierwszej chwili wskrzeszenia niepodległości — walkę własnym obywatelom i chce metodą postępowej proletaryzacji i burzenia wyższej kultury budować... Polskę mocarstwową!!

Przesyłam powyższe uwagi do łaskawego ewentualnego użytku Szanownej Redakcji. Nie wiem, czy je Panowie zechcecie zamieścić w takiem wydawnictwie konserwatywnem i prorządowem. Rozumiem, że zapewne liczyć się musicie z różnymi względami. Ale w każdym razie przelewam moje troski na papier, choćby tylko dla orjentacji Szanownej Redakcji, bo trudno spokojnie patrzeć na tę metodę kredytowania z jednej strony, a podcinania egzystencji z drugiej. W takich warunkach kredyt staje się jednym ciężarem więcej, a nie pomocą.

Szanowny nasz korespondent myli się w ostatnim ustępie. Umieszczamy list jego in extenso właśnie dla tego, że nasze pismo jest naprawdę konserwatywnem i prorządowem, a przedewszystkiem propaństwowem. Nie uznajemy „prorządowości“ pochlebczej. Dlatego też nie potrzebujemy krępować się żadnymi ubocznymi „względami“, gdy chodzi o dobro państwa i powiedzenie prawdy.

KRONIKA.

NA PRAWO, CZY NA LEWO?

„Foglio d'Ordini" z 20 września ogłasza wstępny artykuł p. t. „Wiek dwudziesty przeciw dziewiętnastemu". Oświadczenie oficjalnego organu partji faszystowskiej dotyczy ostatnich wyborów niemieckich. Po stwierdzeniu, że żadna z 24 partyj nie osiągnęła zdecydowanej większości i nie jest zdolna rządzić samodzielnie, artykuł głosi, że wybory były bezcelowe: pozostał stan poprzedni, z tą różnicą, że dziś utworzenie wielkiej koalicji rządzącej natrafi na większe, niż poprzednie trudności. Wybory jednak są znamienne jako wskaźnik sytuacji. Charakterystyczne jest zwycięstwo Hitlera, który okazał się znakomitym agitatorem i organizatorem. Hasło „Deutschland, erwache!" podnieciło tłumy. Znamiennym jest również wzrost liczby głosów komunistycznych, oraz porażka socjal-demokracji. Inne partje wyszły z wyborów bez wpływów i bez przyszłości. W dalszym ciągu artykuł twierdzi: „Nowe pokolenia są zorjentowane albo wyraźnie na prawo, albo wyraźnie na lewo, pogardzają zaś kierunkami pośrednimi. Dowodzi to, że socjalizm, liberalizm, demokracja oraz masonerja są przeżytkami, podobnymi do zabalsamowanych mumji. Pokolenia XX wieku są pod wpływem albo faszyzmu, albo bolszewizmu, jako treści politycznej obecnego życia; wybór jednej z dróg jest trudny, niejednokrotnie dramatyczny. Zwycięstwo Hitlera potwierdza to. Czy są w Europie ludzie, którzy myślą, że plan Younga rzeczywiście w r. 1988 zostanie w całości wykonany, oraz, że

traktaty będą trwały wiecznie? Odrodzenie narodowe Niemiec interesuje nas, a hipoteza ewentualnych awantur komunistycznych w Niemczech nie trwoży nas. Faszystowskie Włochy nie łudzą się, a jeno przygotowują się!".

Do czego się przygotowują — tego nie mówi organ partji faszystowskiej.

Opinja powyższa oficjalnego organu włoskiej partji faszystowskiej zawiera w sobie — w ogólnym zarysie — niewątpliwie słuszną ocenę współczesnej ewolucji politycznej w Europie. Wskazywaliśmy już dawno na to, że rozwój orjentacji społeczeństw po wielkiej wojnie światowej w kierunku zdecydowanego odwrotu od doktryny liberalnej zeszłego stulecia, która wytworzyła dogmat, tak długo obowiązujący świat polityczny, o wyłącznej doskonałości ustroju parlamentarno-demokratycznego, wynikającego z wiary w pochodzenie wszelkiej władzy od ludu, wbrew wyraźnej nauce Kościoła — zaczyna się już załamywać. Cały szereg państw poszedł już mniej lub więcej za przykładem Włoch, przecinając siłą zbrojną gordyjski węzeł zagadnień partyjno-politycznych, krępujący normalny rozwój życia politycznego, gospodarczego i społecznego danych narodów. Tam zaś, gdzie zachowany został system pięcio- czy sześcioprzymiotnikowego „wyrażania woli narodu", usiłuje się wszelkimi dostępnymi środkami o możliwe naginanie tego ustroju do potrzeb państwowej racji stanu, potrzeb nieraz piekących, a zupełnie niezrozumiałych dla demagogji i partyjnictwa, które zastępują faktycznie w praktycznem życiu państwowem teoretyczne pojęcie demokracji.

W jednem tylko państwie skrajni wrogowie demokracji parlamentarnej, względnie zwolennicy naprawy ustroju drogą narzucenia jej społeczeństwu chociażby siłą, zdają się być na drodze do osiągnięcia swojego celu wyłącznie sposobem parlamentarno-wyborczym. Są to współczesne Niemcy. Coprawda również we Włoszech, jeszcze przed reformą ustroju, faszyści uzyskali większość w parlamencie,

a w Polsce skrajni zwolennicy reformy ustroju przez ograniczenie zasadnicze uprawnień parlamentu powiększyli w wyborach swój stan posiadania z kilku zaledwie mandatów do stu czterdziestu. Jednakowoż stało się to tu i tam wskutek zbrojnego opanowania stolic. To samo zapowiada się obecnie w Finlandji w wyniku marszu „lappowców" na Helsingfors. W Niemczech natomiast ostatnie wybory dały zwolennikom Hitlera, czyli t. zw. „narodowym socjalistom", bez wszelkiego nacisku wzrost ilości mandatów z dwunastu do stu siedmiu. Wraz z sympatyzującymi z nimi nacjonalistami rozporządzają oni 150 mandatami w izbie, a więc jedną czwartą. Łatwo więc wyobrazić sobie, o ile nastroje się nie zmienią, uzyskanie przez nich większości już przy przyszłych wyborach, które sprowokować wypadnie im tem łatwiej, że tego samego zapragną zapewne „koledzy ich w zwycięstwie", przedstawiciele przeciwnego skrzydła opinji niemieckiej, czyli komuniści.

Hitlerowcy ściśle się wzorują na faszyźmie włoskim. Ich organizacja zbrojna najzupełniej odpowiada organizacji faszystów przed zagarnięciem przez nich władzy. Skrajny nacjonalizm i przywiązanie do tradycji monarchicznych tak samo wspólne są obu partjom, jak i etatyzm, od którego, jak wiadomo, Mussolini dopiero ostatnimi czasy nawraca na tory realizmu gospodarczego i popierania inicjatywy prywatnej. Ten etatystyczny właśnie kierunek, nazywany przez hitlerowców — ze szczerością, odbijającą od frazeologji etatystów „burżuazyjnych" innych krajów — „socjalizmem" narodowym, stał się jednem z głównych haseł ich stronników, dowodzących, wbrew pozorom i protestom, wielkiej skłonności nacjonalizmu do omnipotencji państwa-narodu we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Kierunek ten nie przeszkadza jednak bynajmniej niemieckim sferom gospodarczym, przynajmniej znacznemu ich odłamowi, do nader „ofiarnego" popierania organizacji hitlerowskiej, w pełnej świadomości jej przewrotowych celów, tak samo, jak nie prze-

szkadzał sferom gospodarczym włoskim do popierania faszyzmu. Wydaje, względnie wydawało im się bowiem, że tolerowanie demokratyczno-socjalizujących rządów naraża państwo na niebezpieczeństwo komunizmu wskutek osłabienia siły władzy i autorytetu państwa, podczas gdy jedynem skutecznem antidotum na finansowaną przez Moskwę propagandę wywrotową może być tylko zapewnienie władzy przeciwległemu kierunkowi skrajnemu, mianowicie faszyzmowi, łatwiej podatnemu w następstwie do ewolucji w kierunku racjonalizmu gospodarczego i popierania przedsiębiorczości prywatnej. Pozatem masy ludowe, zmęczone już tyloma eksperymentami wyborczymi i zniechęcone do wszelkich cudotwórczych obietnic niezliczonych partji, o zbyt trudnych do rozróżnienia dla przeciętnego obywatela programach, zdolne są już obecnie do odpowiadania drogą powszechnego głosowania jedynie tylko na prosto postawione pytania: za lub przeciwko komuś, za lub przeciwko czemuś...

Jednym z wielkich błędów kierunku faszystowskiego jest uprawianie skrajnej demagogji nacjonalistycznej i rozgrzewanie do stanu białej gorączki szowinistycznych instynktów mas, jako rzekomo najskuteczniejszej odtrutki na jad marksizmu, czyli na rozbudzone przez wywrotowych agitatorów instynkty zawiści klasowej warstw niezamożnych i na ich niszczycielskie porywy. Do wojowniczych enuncjacji i potrząsań szablą Mussoliniego świat zaczął się już przyzwyczajać, nie przejmując się niemi zbytnio i nie upatrując w nich prawdziwej niechęci wodza faszyzmu włoskiego do zachowania pokoju, względnie skłonności jego do wywołania nowej, straszliwszej stokrotnie od poprzedniej, rzezi wszechświatowej. Tak samo może i większość głosujących w Niemczach na Hitlera i jego zwolenników nie myślała i nie myśli poważnie o rozpętaniu nowej klęski wojennej, która tak niedawno doprowadziła Niemcy nad skraj przepaści. Większość ta odpowiedziała poprostu swoim sposobem, naiwnie, na pytanie, czy pragnie zachowania re-

publikańskiej demokracji parlamentarnej i „haraczu" na rzecz zwycięzców, czy też nie. Więcej, niż jedna trzecia społeczeństwa, wyraziła swoją negatywną odpowiedź na powyższe pytanie oddaniem głosu na listy Hitlera, Hugenberga, względnie komunistów, uważając, że niema nic do stracenia i nie zastanawiając się dalej nad konsekwencjami takiej odpowiedzi. Jest to jeden dowód więcej, że demokracja parlamentarna, nawet w bardzo wysoko pod względem kultury i cywilizacji stojących społeczeństwach, nie może być właściwą formą ustroju, skoro nie opinja publiczna, we właściwem tego pojęcia znaczeniu, decyduje o wyrazie „woli narodu", lecz skrajna demagogja i bezmyślny poryw chwilowego nastroju mas.

Przecież nawet w ojczyźnie ustroju demokratycznego, w wysoko kulturalnej Anglji, partje nie zwracają się do wyborcy z całym skomplikowanym programem, lecz z kilkoma zaledwie hasłami — pytaniami. Dlatego też nie doszło tam dotychczas do rozbicia społeczeństwa na potworną ilość partji i partyjek, oraz do bezsensownego systemu „wyborów proporcjonalnych" i głosowania na listy. Nie mamy oczywiście bynajmniej zamiaru bagatelizowania znaczenia ostatnich wyborów niemieckich pod względem bezpieczeństwa i pokoju Europy, którym skrajnie odwetowe hasła Hitlera niewątpliwie zagrażają, tembardziej, że głosi je on przy życzliwym akompanjamencie rewizjonistów włoskich, oraz moskiewskich marzycieli o zbrojnym pochodzie przeciwko „zgniłemu zechodowi". Ale chodzi nam przedewszystkiem o zwrócenie uwagi na znaczenie zwycięstwa hitlerowców na tle ogólno-europejskiej ewolucji, dążącej wyraźnie w kierunku przeciwstawienia propagandzie wywrotowej zdecydowanego i zorganizowanego jak najpotężniej „zwrotu na prawo", chociażby w formie przewrotu rewolucyjnego, ale zmierzającego w sensie przeciwnym dotychczasowym, demokratyzującym tendencjom wszystkich niemal rewolucji.

W Polsce przewrót majowy z wielu przyczyn nie

przyniósł odrazu rozstrzygnięcia walki między demokracją parlamentarną a reakcją ustrojową. Strony walczące nie były wówczas jeszcze dojrzałe do racjonalnego postawienia zagadnienia na płaszczyźnie: za lub przeciwko starym bogom. Zapanowała połowiczność. Doktryna demokratyczna nie przestała oficjalnie obowiązywać żadnej ze stron. Niemniej stopniowe ugruntowanie przewagi władzy rządu nad parlamentem i wysunięcie programowego hasła reformy ustroju w duchu antypartyjnym i wrogim sejmokracji, zmuszało coraz bardziej społeczeństwo do usunięcia na drugi plan zastrzeżeń różnego rodzaju, wobec wzmagającej się z dnia na dzień konieczności wyraźnego zajęcia stanowiska w coraz skrajniejszej i nieubłaganej walce pomiędzy reakcją ustrojową a obrońcami „gasnącego świata“ XIX stulecia i jego bankrutujących doktryn liberalno-ludowładczo-radykalnych.

Obecnie znajdujemy się w przededniu wyborów, narzuconych społeczeństwu — coraz bardziej sceptycznemu co do celowości i skuteczności podobnego eksperymentu — wszechwładną wolą marszałka Piłsudskiego. Stają przeciwko sobie z jednej strony zwolennicy reakcji ustrojowej, z drugiej obrońcy rządów parlamentarnych. Wszelkie próby „niezależnego“ przeprowadzenia kampanji wyborczej ze strony grup, niechętnych do zajęcia stanowiska czy to po stronie obozu prorządowego, czy po stronie t. zw. „centrolewu“ — przeciwstawiającego doktrynę masońską, socjalistyczną i radykalną nowoczesnej reformie ustroju, zbliżającej nas, katolików, ponownie do pojęć praworządności, opartych na pewnych prawach przyrodzonych oraz kanonach niewzruszalnych — nie mogą w niczem zmienić właściwego charakteru walki i nie wpłyną zasadniczo na jej rezultat. Dlatego też dla mas, pomijając niewątpliwie znaczną abstynencję wyborczą wskutek wzrastającego obrzydzenia do współczesnej karykatury parlamentaryzmu, opowiadanie się czy to po stronie rządu, czy to po stronie centrolewu (względnie oczywiście irredenty lub komuny)

daleko będzie naturalniejszem i prostszem, od łamania sobie głowy nad stanowiskiem w tej walce „outsiderów" w rodzaju endencji, chadecji i t. p.

Dlatego też wyniku wyborów polskich oczekiwać należy z największem zainteresowaniem. Dadzą one może jasną odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu nurtujące współczesną Europę prądy za i przeciw „demoliberalizmowi", dochodzące w tylu już krajach do skrajnego przeciwstawiania się obozu faszyzującego z jednej i jawnego czy zamaskowanego marksizmu z drugiej strony, zapanowały w świadomości mas polskich, względnie czy nieunikniona wobec wszechpotężnego parcia ewolucji światowej reforma ustroju w Polsce dojdzie do skutku drogą dobrowolnego harakiri demokracji parlamentarnej, czy też inną drogą. Za wzorami w państwach innych dzisiaj już nie trudno się oglądać. Ewolucja zaś w naszych stosunkach wewnętrznych od przewrotu majowego idzie tak wyraźnie w kierunku z jednej strony wzrastającej przewagi światopoglądu zachowawczo-gospodarczego po stronie obozu rządzącego, a z drugiej przewagi doktryn masońsko-socjalizująco-radykalnych po stronie obozu opozycyjnego, że opinja pisarza włoskiego, cytowana u wstępu niniejszych uwag, daje się chyba całkowicie zastosować i do sytuacji polityczno-wyborczej w Polsce.

To też, nie bawiąc się w proroctwa, ograniczamy się na razie do stwierdzenia, że rozgrywka zasadnicza i u nas się już rozpoczęła i że w walce pomiędzy obozem rządzącym a opozycją zadanie obywateli, myślących kategorjami zachowawczemi i gospodarczemi, poczuwających się do obowiązku państwowo-twórczego, nie może być wątpliwe. Wszelkie inne względy czy zastrzeżenia indywidualne muszą zejść na plan dalszy. Wysuwanie ich obecnie musiałoby tylko przynieść szkodę najszczytniejszym zadaniom,

zwłaszcza sprawie naprawy Rzeczypospolitej, oraz wprowadzić zamieszanie w walnej rozgrywce pomiędzy zwolennikami reformy ustroju a obrońcami demokratycznego ancien regime'u.

Karykatura z czasów pierwszego premierostwa p. Witosa przedstawia go siedzącego na koźle powozu, w którym siedzi Naczelnik Państwa, marszałek Piłsudski. Na powiedzenie Marszałka: „Jedźcie no raźno, panie Wincenty!“ — woźnica odpowiada: „Kiej nie wiem, panie nacelniku, cy na prawo, cy na lewo?“. Obecnie sytuacja jest cokolwiek zmieniona. Na koźle premierowskim siedzi sam pan Marszałek, powożąc raźno i ochoczo, pana Wincentego zaś wsadził do kozy za nieposłuszeństwo. Pan Wincenty bowiem nie zrozumiał, że trzeba było właśnie jechać na prawo. Marszałek, wziąwszy osobiście wodze w swoje ręce, nie zdradza najmniejszej wątpliwości co do kierunku jazdy. Natomiast rzuca on obecnie drogą rozpisania wyborów powszechnych całemu społeczeństwu pytanie, włożone wówczas w usta Witosowi: „Na prawo, czy na lewo?“. Odpowiedź ta, skoro już pan Marszałek wybrał drogę na prawo, może więc dla społeczeństwa tylko oznaczać, czy zechce ono w swojej większości pójść za Marszałkiem, czy przeciwko niemu. „Wybór jednej z dróg jest trudny, niejednokrotnie dramatyczny“ — powiada publicysta faszystowski. „Nowe pokolenia... pogardzają kierunkami pośrednimi“.

Rzeczywistość nas uczy, iż jedną z głównych przyczyn odwrócenia się mas od ultrademokratycznego parlamentaryzmu jest przeświadczenie, że olbrzymie zagadnienia współczesnej doby, polityczne, gospodarcze i społeczne, przedewszystkiem zaś autorytet i kredyt państwa na wewnątrz i na zewnątrz, ściśle są uzależnione od tego, czy państwo jest rządzone silną ręką, czy też panuje w niem wielogłowa anarchja parlamentarna. Z tem trzeba się pogodzić. W prawdzie tej tkwi istota współczesnych dykta-

tur i tendencji do przebudowy ustrojów na przeciwstawnych demoliberalizmowi XIX-go wieku zasadach.

Zrozumiał to w Polsce szef obecnego rządu. Czy zrozumiały to masy wyborcze, ryzykownie powołane do głosu sześcioprzymiotnikową ordynacją, zobaczymy już wkrótce!